

**Andre Norton  
and P.M. Griffin**

# **Ognista ręka**

**Przekład Andrzej J.Kowalczyk  
Tytuł oryginału: Firehand Ross Murdock vol. V**

*Mojemu wujowi Patrickowi Murphy'emu, który nauczył mnie,  
jak budować okrągłe wieże  
P.M.G.*

# 1.

Oczy Rossa Murdocka zamigotały płomykami ognia, który właśnie rozpałił. Ogień. Starożytny symbol ogniska domowego. Źródło ciepła i światła. Sprzymierzeniec ludzkości w walce z ciemnością i rzeczywistymi czy wymyślonymi stworami, które ją zamieszkiwały. Przyjaciół człowieka. Wróg człowieka. Ogień może także ranić, świadczyły o tym poparzona twarz i ręce Murdocka.

Mimo to ogień był mu pomocą. Ból, czysto fizyczna męczarnia, przedarł się przez łańcuchy przymusu mentalnego, które kosmici próbowali nałożyć na jego umysł, by poddać go swojej woli.

Zapłonął w nim gniew i rozszerzał się jak płomień ognia, który właśnie rozpałił. Ci obcy prześladowali go od wielu dni. Śledzili go bez wytchnienia przez cały czas, gdy szedł w dół rzeki, rozpaczliwie usiłując dotrzeć do miejsca spotkania. Szukali go, skierowali przeciwko niemu potworne siły swoich umysłów, aby go złamać i zmusić do powrotu. Każdy jego krok był walką z własnym ciałem, a kiedy chciał się przespać, przywiązywał się do drzewa albo do korzenia, żeby w stanie nieświadomości nie wrócić i nie oddać się w ich ręce.

Podniósł głowę. Poraniony, głodny, wyczerpany, jednak tego dokonał. Wprawdzie za późno, ale jednak dotarł. Był wolny i odparł ich pierwszy atak.

Będzie wolny. Wszystko jedno, czy uda mu się jakimś cudem wrócić do własnych czasów, czy pozostanie w epoce brązu, czy będzie żył jeszcze wiele lat, czy umrze wkrótce z głodu albo od miecza — i tak nękać go będą problemy, których źródło znajdowało się na jego rodzinnej Ziemi. Łysawcy nie dostaną go i nie będą nim rządzić.

Murdock spojrział na broń, którą ścisnął w prawej dłoni. Nie wyglądała na taką, która będzie skuteczna przeciwko paralizującej sile obcych. Była to tylko płonąca głownia wyjęta z ogniska rozpalonego z drewna wyrzuconego przez morze, ale wystarczy — jeśli tylko będzie miał odwagę jej użyć.

Znów zaatakowali. Byli zdecydowani skruszyć jego niewytłumaczalny opór, jednak wyteżył wszystkie siły, by zwalczyć dotkliwy ból, który eksplodował w jego głowie. Nadal panował nad swoim umysłem. Był w stanie myśleć, był w stanie kontrolować mięśnie.

Rozpostarł lewą dłoń na szerokiej powierzchni głazu. Powoli, bezlitośnie przybliżył do niej płonąca głownię...

Ross usiadł, tłumiąc krzyk, który go obudził. Jego serce nadal dudniło z przerażenia wywołanego nocnym koszmarem. Minęło kilka chwil, zanim całkowicie odzyskał kontrolę nad sobą.

Niech szlag trafi tych Łysawców! Niech szlag trafi każdego z ich po trzykroć przeklętego rodzaju! Gdy nie spał, wspomnienie pierwszego starcia z ich wolą nie sprawiało mu kłopotu, ale w czasie snu zbyt często jego umysł ogarniały przerażenie i ból.

Cóż, tym razem sam był sobie winien. Gdy był zmęczony po porannym wysiłku, powinien odświeżyć się pływaniem, zamiast rozkładać się pod drzewem jak jakiś turysta podczas wakacji tam, na Terrze.

Agent czasu wstał i poszedł plażą do brzegu morza. Oddychał głęboko, żeby świeże powietrze rozwiało ostatnie ślady nieprzyjemnego snu.

Spoglądał ponuro na rozciągający się przed nim piękny krajobraz, nie odczuwając zachwyty, który towarzyszyłyby mu w innych okolicznościach.

Lazurowe niebo łączyło się na horyzoncie z błękitem bezkresnego oceanu przechodzącym nad mieliznami w turkus. Woda była ciepła, doskonała do pływania. Nie odczuwało się szoku termicznego, powodowanego zetknięciem rozgrzanego ciała z zimną wodą. Powietrze również było wspaniałe, rozgrzane, ale tak rześkie od morskiej bryzy, że nie czuło się jego gorąca.

Wszystko było doskonałe na tej Hawaice z odległej przeszłości. Tak cholernie doskonałe...

Ross Murdock przycisnął do czoła pokryte bliznami po oparzeniach palce lewej dłoni, ale odzyskał panowanie nad sobą. Byli nieodwołalnie uwięzieni i będą musieli tu zostać przez resztę swoich dni. Musiał się z tym pogodzić i zrobić wszystko, aby ułożyć sobie życie jak najlepiej.

Nie był w stanie! Starał się, ale nie znajdował tu niczego, co byłoby dla niego podporą, czemu mógłby się poświęcić bez reszty. Tak było, dopóki on i jego towarzysze — człowiek i delfiny — nie połączyli się z tubylcami, by odeprzeć międzygwiazdnych najeźdźców, których celem było zniszczenie wszystkich ważniejszych form życia na tym świecie.

Przez moment w jego bladych, szarych oczach zapłonął ogień. Odkąd siłą rzeczy stał się uczestnikiem Projektu i zaczął podróżować w mglistą przeszłość swojej rodzimej Terry, walczył z tym starożytnym, śmiertelnie niebezpiecznym ludem gwiazdnych wędrowców, których nazwał Łysawcami z powodu ich ogromnych głów pozbawionych włosów. To oni byli wrogami z jego koszmarów. Świetnie się do tego nadawali ze swoim znakomitym uzbrojeniem, z przerażającą zdolnością kontroli umysłów i całkowitą pogardą dla wszelkich odmiennych form życia.

Uniósł głowę. Kiedyś przecież ich pokonał. Należał do zespołu, który zdobył jeden z ich statków gwiazdnych i sprowadził go Terrę wraz z całą biblioteką taśm z nagraniami z podróży, co otworzyło jego rodzajowi świat gwiazd i planet je okrążających. Zabił tam wtedy kilku gwiazdnych zbrodniarzy.

Światło znów go opuściło. Westchnął. Hawaika była jednym ze światów, na które doprowadziły terrańskich odkrywców taśmy z zdobyte na Łysawcach. Znaleźli pokrytą lotosami planetę, na której było żadnych większych form życia i nic nie wskazywało, żeby kiedykolwiek istniały, dopóki on sam, Gordon Ashe, Karara Treli i towarzyszące jej delfiny — Tino-rau oraz Taua — nie wybrali w przeszłość planety, w sam środek czasu, gdy poprzednia rasa całkowicie wyniszczyła lokalne formy życia. Pomogli tubylcom zjednoczyć się — bo istniały tu dwie odrębne rasy — i poprowadzili ich do zwycięskiej walki z najeźdźcami. Ceną ostatecznego zwycięstwa była jednak utrata portalu, przez który tutaj weszli. Zwycięstwo i życie dla Hawaiki były zarazem wyrokiem dla niego i jego ludzi.

Młody człowiek zadrżał i westchnął głęboko. Kiedy portal zniknął, zostali zamknięci w czasie, w historii tego obcego świata, na zawsze odcięci od swoich czasów, swojego ludu i swojej pracy. Od wielkiej bitwy upłynęły trzy miesiące. Trzy miesiące, a wydawało mu się, jakby to były trzy lata. Albo trzydzieści...

Spoglądał ponuro, gdy nagle jego zadumę przerwały plusk i śmiech. Jakieś dziesięć metrów od niego wyłoniła się z wody smukła kobieta, a chwilę później dwa rozbrykane srebrnobłękitne kształty — delfiny baraszkujące tak, jak tylko one potrafią.

Ross pomachał ręką, bo oczekiwano od niego jakiejś reakcji, ale szybko odwrócił się i poszedł w stronę oddalonych skał, gdzie mógł usiąść i chwilę spokojnie pomyśleć.

Zmienił trochę zdanie. Los, który przypadł w udziale ich misji, nie był nieszczęściem dla wszystkich jej członków. Delfiny świetnie zaadaptowały się w tym świecie i w tych czasach. A Karara...

Murdocka mimo upału przeszył dreszcz. Ten świat i ten czas były jakby dla niej stworzone.

W bitwie przeciwko najeźdźcom ludzie z Terry złączyli się i mieszała z trzema Foanna, ostatnimi, jakie zostały ze starej, magicznej rasy, rządzącej niegdyś Hawaiką. Do podjęcia tego drastycznego kroku zmusiła ich potrzeba. Uczynili to mimo niebezpieczeństwa, że mogłoby to ich samych jakoś przemienić. Murdock i jego partner, doktor Gordon Ashe, wyszli z tego bez szwanku. Mówiąc ściślej — zostali odrzuceni przez Siły, które przywołali. Ale inaczej było z Trehern. Zbadały ją i uznały, że się nadaje. Znow wstrząsnął nim dreszcz i zamknął oczy. Kiedy do nich wróciła, nie była już człowiekiem.

Ross raz jeszcze przyjrzał się istotcie igrającej z delfinami. Jej osobowość pozostała bez zmian. Prawie. Błogosławił za to nieznanne bóstwa, które rządzą czasem i przestrzenią. Nigdy nie lubił Karary, mimo że szanował jej umiejętności i odwagę. Nie miało to zresztą znaczenia. Byli towarzyszami, Terranami, ludźmi pośród pięknych, ale obcych istot...

Karara była przedtem istotą ludzką. Teraz była jedną z Foanna, jeszcze zaledwie cieniem Foanna, ale z każdym tygodniem, gdy coraz lepiej rozumiała i poznawała tajemną trójcę, różnica między nią a towarzyszami z Terry zdawała się pogłębiać — zarówno w jej wyglądzie, jak i w jej wnętrzu.

Z początku sądził, że ta przeklęta planeta zmieniała również Gordona. Nie pod względem fizycznym ani psychicznym. Ross miał wrażenie, że Gordon traktuje go inaczej niż podczas pierwszej wspólnej misji. Jemu także łatwo przychodziło obcować z Foanna, ale on był naukowcem, żądnym wiedzy i zdolnym do skoncentrowania się na nauce. Gdyby nie Projekt, który ich połączył, Ross Murdock niewiele miałby wspólnego z tym człowiekiem.

Agent czasu zacisnął palce na rozgrzanym od słońca kamieniu Teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, niewiele miał do zaoferowania Hawaice. Nie pasował tutaj. Nie był w stanie połączyć się mentalnie z Foanna, chociaż one potrafiły odczytywać fragmenty jego myśli. Co więcej, nie chciał dawać im głębszego dostępu do swoje go wnętrza i sama myśl o tym budziła w nim niechęć.

Murdock uśmiechnął się smutno. Przez swój egoizm i litość nać sobą źle ocenił stosunek Ashe'a do miejsca ich wygnania. Gordon mógłby lepiej sobie radzić, ale był równie nieszczęśliwy, jak Ross.

Przed wszystkim był archeologiem, a nie antropologiem, a już na pewno nie należał do tych miłośników czystej teorii, którzy ślęczą nad faktami zebranymi przez innych jak skąpiec nad pieniędzmi, których nigdy nie wyda. On też poświęcił się Projektowi Czasu i perspektywom gwiazdnych światów, które Projekt otwierał. Fakt że został odcięty od tego wszystkiego i wciśnięty siłą w fotel obse watora, był dla niego równie zabójczy, jak i dla jego niespokojnego młodszego towarzysza.

Jeśli chodzi o więź między nimi, to nie miał na ten temat zdania Nie uległa zerwaniu ani nie osłabła. Zmieniły się tylko sposoby je okazywania w tych całkowicie zmienionych warunkach, w których przyszło im żyć.

To, że archeolog spędzał wiele czasu z Foanna, wynikało za równo z jego wykształcenia i zainteresowań, jak i z faktu, że umiał się z nimi dobrze porozumieć. Pan Czasu, pomyślał Ross, nieświadomie powtarzając sformułowanie, którego użyła Eveleen. Ogarnęły go nagle ból i wstyd. Powinien klęknąć przed nimi z wdzięczności, zamiast wzbudzać w sobie zazdrość. To przecież im ten stary człowiek zawdzięczał całkowite wyleczenie ran umysłu, które od niósł po stracie Trávisa Foksa i jego kolonii. Ashe bez powodu czuł się za to odpowiedzialny, a ból i poczucie winy omal go nie zniszczyły.

— Ross! Odwrócił się.

— Tutaj, Gordonie!

Dołączył do niego. Ashe był prawie o głowę wyższy od Murdocka i o kilka lat od niego starszy, ale ciało miał smukłe, twarde i zbrązowiałe od słońca Hawaiki, chociaż nalegał, żeby obaj chronili się przed promieniami słońca, które na dłuższą metę mogą okazać się niebezpieczne.

— Spójrz na tych troje — powiedział Ross, wskazując na Kararę i morskie ssaki z wyraźną przyjemnością. Jedno było pewne: nikt nie przyłapie go na tym, że jak jakiś rozpieszczony nastolatek kręci nosem na los, którego nie jest w stanie zmienić.

— Znaleźli swój dom — zgodził się Gordon z uśmiechem. Popatrzył na towarzysza badawczo, ale zaraz przeniósł wzrok na koniec plaży, w stronę statku o wysokich masztach stojącego przy brzegu.

— Obserwowałem dzisiaj ciebie i Torgula. Wytrącenie mu broni zajęło ci dokładnie dwie minuty i czterdzieści sekund, a on przecież uprawia szermierkę na miecze odkąd przestał raczkować. Nawet na Eveleen zrobiłoby to wrażenie.

Ross poczuł ostre ukłucie smutku na wspomnienie tej silnej, choć małej instruktorki walki dawną bronią, uczestniczącej w Projekcie. Zmusił się do śmiechu.

— Powiedziałyby, że jest całkiem niezłe, i kazałyby mi doskonalić się we władaniu jakimś innym śmiercionośnym narzędziem.

Mimo wszystko był zadowolony. To właśnie Ashe nalegał, żeby — zamiast wyłącznie walczyć z brzemieniem czasu — uczył się od otaczających go ludzi wszystkiego, czego się da, a zwłaszcza ich sposobów walki i żeglugi morskiej. Tak jakby przygotowywał się do następnej misji, starając się wyszkolić jak najlepiej, by zasłużyć na swoje wynagrodzenie.

Posłuchał go dość chętnie, ale nie miał do tego serca, choć zajęcie było interesujące, a wysiłek pozwalał mu zachować dobry refleks i bystry umysł. Chroniło go to także skutecznie przed obłądem. Nauka rzemiosła wojennego Tułaczy, samoobrona i kierowanie statkami, które mieli we krwi, nie pozwalały na takie trwonienie czasu jak przez ostami kwadrans.

Nagle przepełniło go poczucie winy. Popatrzył posepnie na archeologa. Tak wiele zawdzięczał temu człowiekowi.

— Nie chcę wracać — powiedział nagle. — Nie chcę być tym, kim byłem.

— Nawet nie przypuszczałem, że chcesz. — Murdock zaszedł już daleko na drodze drobnych przestępstw, gdy odkryli go ludzie Projektu.

Było to jakieś sześć terrańskich lat temu. Był wtedy chłopcem o instynktach wodza klanu lub komandosa, w czasach, kiedy takie talenty były raczej szkodliwe dla otoczenia, a wykorzystane mógł być tylko w takich wyspecjalizowanych grupach jak ich. Ross udowodnił, że był jednym z ich najciekawszych odkryć, a być może najlepszym.

— Wydoroślałeś, młody przyjacielu. — Oczy mu rozbłyły. — Tylko nadal brakuje ci cierpliwości.

— Dużo nam jej jeszcze będzie potrzeba — powiedział cicho Ross starając się nie zdradzić smutku, który ścisnął mu gardło.

— Nie sądzę — odparł jego partner. — Na twoim miejscu myślałbym o pokazaniu swoich nowych umiejętności Eveleen Riordan dużo wcześniej. To chyba kwestia dni.

## 2.

Murdock czuł, jak napinają mu się mięśnie klatki piersiowej i brzucha. Zaczerpnął głęboko tchu, żeby się opanować i spojrzał spokojnie w niebieskie oczy rozmówcy.

— Nie żartuj, Gordon. To wcale nie jest śmieszne... Ashe roześmiał się.

— Uspokój się, Rossie Murdocku. Obawiam się, że trochę się nad sobą rozczuliłeś, ze szkodą dla myślenia.

— Mów dalej. — Chętnie powiedziała by mu, gdzie może sobie wsadzić takie uwagi, ale Ashe miał rację, a poza tym ciekawość wzięła górę nad chęcią słownej riposty.

— Spójrz na sprawę z punktu widzenia Projektu. Pięcioro doświadczonych, bardzo drogich agentów czasu nagle znika, a na ich miejscu pojawia się w pełni rozwinięta cywilizacja Hawaiki z nieznanymi dotąd okazami flory i fauny. Jak sądzisz, jak powinni zareagować?

— Otworzyć portal tak szybko, jak tylko się da, i dotrzeć do nas. — Zrodziła się w nim nadzieja, której nie chciał tracić. — Gordon, ale to trwa już trzy miesiące — powiedział.

— Naszego czasu. Poza tym będą musieli dogadać się z tubylcami, a potem ustalić nie tylko właściwą epokę, ale także dokładny czas, miesiąc, tydzień, a może nawet dzień.

Ross spojrzał na falujące wody oceanu.

— Dlaczego wcześniej nic nie powiedziałeś? Ashe westchnął.

— Bo nie byłem pewien. Było tyle wątpliwości, tyle rzeczy, o których nie miałem pojęcia, tyle domysłów. Ross, byłbyś w stanie zaakceptować wieczne wygnanie, ale chciałem ci oszczędzić lat oczekiwania i niepewności. Za bardzo sam się z tym męczyłem.

Murdock rzucił mu szybkie spojrzenie.

— Przepraszam — opuścił głowę. — Nie na wiele ci się zdałem. Gordon uśmiechnął się.

— Zrobiłeś, co do ciebie należało.

— Mówisz, że to kwestia dni? — zapytał młodszy agent, czując, że narasta w nim niecierpliwość. Niecierpliwość? To było jak powrót do życia.

Pokiwał głową.

— Foanna są tego samego zdania. Pomogły mi znaleźć oznaki, że przełom jest bliski. — Skrzywił się. — Tak prawdę mówiąc, to próbowałem im pomóc. Ynvalda odkryła coś wczoraj rano; początki zakłóceń, które wydają się być tym, na co czekamy.

— Być może — odparł ostro Ross. Kosmici już wcześniej użyli terrańskich portali czasowych. Przeszli przez nie, żeby siać spustoszenie na każdym poziomie. Poza tym nie można uznać za przyjaciół całej ich rasy. Podziały od wieków były przekleństwem ludzkości. Były też inne podobne do Projektu przedsięwzięcia, których operatorzy, szukając zemsty, gdy tylko pojawiała się szansa, zachowywali się nie lepiej niż bandy Łysawców.

— Nie będziemy tu przecież stali z uśmiechem na twarzy i otwartymi ramionami, kiedy portal się pojawi. O ile się pojawi. Musimy być całkowicie pewni, kto i w jakim celu z niego wyjdzie.

Murdock nagle znów spojrzał na ocean.

— Gordon, a co z Kararą? Dla niej nie ma powrotu. Nie może być.

— Jest agentką — odparł cicho zapytany.

— Była. Teraz jest jedną z Foanna. Jeśli z nami wróci, chłopcy rozłożą ją na czynniki pierwsze, a przynajmniej będą się starali to zrobić. Nie będzie już dla niej życia.

Ross patrzył na szczęśliwą trójkę. Przepęłniał go ból na myśl o rym, co wkrótce będą musieli zapewne wycierpieć, a co będzie znacznie gorsze od tego, co sam niedawno przeżył. Dotknie to całą trójkę. Łączyły ich takie związki, że to, co raniło człowieka, raniło również morskie ssaki.

— Hawaika, ta Hawaika to teraz ojczyzna Karary. Niech zostanie razem z delfinami, jeśli tego chcą. Po prostu powiedz szefom, że chce tu pozostać z własnej woli.

Jesteś wspaniałomyślny, młodszy bracie, i błogosławiony. Czuć i współczuć to wielki dar, choć nie zawsze łatwy dla jego posiadacza.

Te słowa zadźwięczały nie w jego uszach, ale bezpośrednio w umyśle. Ross zdążył się już trochę przyzwyczać do używanych przez Foanna metod mentalnego komunikowania się, ale musiał się jeszcze nauczyć, żeby nie podskakiwać z zaskoczenia ani nie chmurzyć się gniewnie, kiedy odwracał głowę w stronę źródła słów–myśli.

Powietrze przed nim zadrgało. W następnej chwili jakby zgęstniało i uformowało się w postać w szarym płaszczu. Stała przed nim Ynvalda, odrzuciła kaptur do tyłu i pozwoliła atmosferze na tyle się uspokoić, żeby Terranie mogli ją rozpoznać.

Był zły i nie zważał na to, że mogła wyczuć jego irytację. Nie znosił również tego, że ciągle go w ten sposób zaskakiwano, i nie znosił tych teatralnych chwytów. Nie widział też celu w dalszym zajmowaniu się Foanna, przynajmniej w takim zakresie, jaki należy do obowiązków agenta czasu. To było inaczej niż w przypadku Tułaczy i Rozbijaków, przyznawał, ale ani on, ani Gordon nie powinni poddawać się wrażeniu, jakie wywierały na nich Foanna.

— Witaj, pani — powiedział Ashe. Powitanie należało do niego, jako że był przywódcą ludzi. — Słyszałaś naszą rozmowę?

— Częściowo — odpowiedziała melodyjną mową swojego gatunku.

Ynvalda zwróciła się do Murdocka. Wyczuwał w niej lekkie rozbawienie wywołane jego gniewem, ale jej głos i wyraz twarzy były poważne.

— Nie musisz się obawiać o naszą siostrę — zapewniła go. — Potrafi się bronić i nie przejdzie przez żadne z waszych wrót.

— Chyba że sama postanowi to zrobić — odparł spokojnie.

Foanna przez chwilę mierzyła go wzrokiem.

— Masz rację, młodszy bracie — powiedziała łagodnie. — Ta decyzja należy całkowicie do niej. Przyjmuję upomnienie.

Ashe odetchnął. Ross coraz częściej wznosił się ponad swój dotychczasowy poziom, szczególnie wtedy, gdy chodziło o prawa innych.

— Porozmawiam z nią, gdy wyjdzie na brzeg — obiecał — chociaż wszyscy wiemy, jaka będzie odpowiedź jej i delfinów.

Gordon przymrużył oczy, starając się stłumić budzącą się w nim nadzieję.

— Masz dla nas jakieś wieści, pani? — Musiał się bardzo wysilić, żeby pytanie zabrzmiało obojętnie. Myśl o domu, myśl o Terrze przepęłniała całe jego jestestwo...

Powoli skłoniła głowę, przytakując.

— Tak. Portal uformował się i wkrótce powinien się otworzyć, ale czy wyjdą z niego przyjaciele czy wrogowie, tego żaden ze śmiertelników po tej stronie nie może wiedzieć ani nawet się domyślać.



### 3.

Ross Murdock przykucnął za wysoką, połamaną kamienną kolumną, serce waliło mu jak młotem. Oblizał suche usta niemal równie suchym językiem i mocniej ścisnął broń, choć ręce bolały go już od tego wysiłku.

Jeśli z portalu wyłonią się Łysawcy, to im pozostanie tylko ułamek sekundy, żeby ich odeprzeć, rozkojarzyć, do czasu, gdy Foanna będą w stanie zastosować silniejsze moce. Ludzie–wrogowie mogliby stanowić większy problem...

Sieć uformowała się. Dobrze znany wzór wskazywał, że przynajmniej urządzenie użyte do jego utworzenia skonstruowali ludzie.

Pojedyncza sylwetka nabrała kształtów. Przybysz był mały i wydawał się jeszcze mniejszy, gdy kucając, starał się utrudnić ewentualnym wrogom trafienie. Starła się. Ross otworzył usta ze zdziwienia. Pewnie by się z niego śmiali, gdyby ktokolwiek oderwał wzrok od portalu i spojrzał na niego. Jakkolwiek formalnie była agentem, to była jedną z tych osób, których przybycia z przyszłości, żeby ich ratować, spodziewał się najmniej.

Kobieta nabrała odwagi i wyprostowała się.

— Doktorze Ashe, Murdocku, Trehern, na wszystkie świętości, nie zastrzelcie mnie — powiedziała z ledwie wyczuwalną niepewnością świadczącą o tym, że nie była całkiem spokojna.

— W porządku, panno Riordan — krzyknął Gordon. — Proszę wyjść... Kto jeszcze jest z panią?

— Nikt. Tylko ja.

Eveleen rozejrzała się i natychmiast spostrzegła młodszego agenta.

— Ross Murdock! — wyciągnęła do niego rękę. — Cieszę się, że znów cię widzę. Obu was — dodała — ale nigdy nie miałam przyjemności uczyć pana, doktorze Ashe, więc pana tak dobrze nie znam.

Ross serdecznie uściskał jej dłoń. Ucieszył go jej widok. A raczej — jej razem z tym wspaniałym, działającym portalem czasu.

To nie znaczy, że sama instruktorka walki nie była na swój sposób piękna — miała wielkie, brązowe, ozdobione długimi rzęsami oczy, delikatne rysy twarzy i kasztanowe włosy okalające łagodną błądź jej celtyckiej cery. Była mała i smukła, niezwykle proporcjonalna i poruszała się z wdziękiem tancerki. Ale w tej chwili uderzyło go nie tyle jej piękno fizyczne, ile to wszystko, co oznaczało jej przybycie tutaj.

Nagle odprężenie i wyraźne zadowolenie opuściły nowo przybyłą. Zesztywniała i odkręciła się na pięcie, żeby stanąć twarzą w twarz z trójką Foanna. Oczy jej zabłyśły, jakby gotowała się do walki.

— Cofnąć się! — parsknęła. — Natychmiast precz z mojego umysłu i trzymać się z daleka!

— Spokojnie, panno Riordan — szybko wtrącił się Ashe. — To są Foanna. To nasi sojusznicy, nasi przyjaciele.

Ross wyprostował się. Tylko on potrafił w pełni docenić reakcje instruktorki na specyficzną formę przesłuchania stosowaną przez tubylców.

— Zostawcie ją! — błyskawicznie zmienił ton, choć było w nim więcej prośby niż rozkazu. — Dajcie jej kilka minut, o wielkie. My ją znamy.

— Pokój, młodszy bracie. Witamy młodą siostrę.

Eveleen podeszła bliżej do Murdocka. Spojrzała na Foanna, próbując utrzymać pozory pewności siebie mimo mocnego bicia serca.

— Wybaczcie, o wielkie — powiedziała miękko — ale my „ludzie” uważamy nasze myśli i odczucia za prywatną własność. Niechętnie znosimy wtargnięcie w nasze umysły bez względu na jego cel, tym bardziej że nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni.

Ynlan uśmiechnęła się.

— Z młodszym bratem jest tak samo. Bądź spokojna. Nie możemy przebić tarcz ochronnych w waszych umysłach, choć twój zadaje więcej bólu, bo nas odrzucasz.

— Dziękuję za zrozumienie, o wielka. — Terrańska kobieta rozejrzała się. — Gdzie jest Karara?

— Mieliśmy tu kłopoty z Łysawcami — odparł szybko Ashe. — Niestety Kararze się nie udało.

Uśmiech rozjaśnił oczy Eveleen.

— Miała w tych wydarzeniach wyjątkowo duży udział. Zanim Ashe zdążył coś powiedzieć, włączyła się Yngram, trzecia spośród Foanna.

— Znasz nas i wiesz, czego można się po nas spodziewać, młoda siostró. Jak to możliwe?

Terranka spojrzała figlarnie na Gordona.

— Z zapisów pozostawionych przez Kararę, pani. Złożyła dokładny raport z tego, co tu się stało, a wraz z nim informację, czego należy oczekiwać, gdy w pełni rozwinięta cywilizacja hawaikańska nagle pojawi się tam, gdzie jej nigdy nie było. Zostawiła też instrukcje dla was, jak macie się zachowywać wobec nas. Terrańska historia kontaktów z ludami o innych kulturach na naszym własnym świecie jest haniebna — dodała bez ogródek.

Evelan wzruszyła ramionami.

— Jak już mówiłam, nie lubimy, żeby ktokolwiek mieszał się do naszych umysłów. Poznaliśmy umiejętności Łysawców w tym zakresie i staraliśmy się znaleźć odpowiednich ludzi i wyszkolić ich w odpieraniu tego rodzaju ataków. Kiedy dowiedzieliśmy się o waszych zdolnościach, zapadła decyzja, że najlepiej będzie wysłać tu właśnie mnie.

— To był mądry wybór — zapewniła ją Ynvalda. — Jesteś silna, młoda siostró. — Zawahała się. — Wspomniałaś o tym, że tylko czytałaś o Foanna. Czy my...

Agentka czasu pokręciła głową.

— Nie, o wielka, niestety nie, choć pamięć o was jest obiektem wielkiej czci. Bardzo długi okres dzieli ten czas od przyszłości.

— Czy możesz nam powiedzieć kiedy? Albo jak? Kobieta skinęła głową.

— Jeśli naprawdę chcecie wiedzieć, pani — odparła niechętnie. Foanna przez chwilę nic nie mówiła.

— Nie. Masz rację, młoda siostró. Najlepiej jest, gdy ci, którzy wędrują ścieżkami życia, nie znają ani godziny, ani sposobu, w jaki się ono zakończy.

Eveleen znów zwróciła się do Ashe'a.

— Musisz sprowadzić Kararę, doktorze. Nie ma mowy o zabraniu jej z powrotem. Hawaika czci pamięć czterech, a nie trzech Foanna. Ale muszę z nią porozmawiać. Musi wiedzieć dokładnie, co ma zapisać dla nas i dla jej przybranego ludu.

— Nie zostanie sama — powiedział Murdock.

— Oczywiście. Oceany Hawaiki z przyszłości przepelnione są niezwykle inteligentnymi delfinami rozumiejącymi się z ich żyjącymi na suchym lądzie pobratymcami zarówno za pomocą słów jak i umysłów. Zabranie stąd Tino-rau i Taua oznaczałoby skazanie tej rasy na zagładę.

Ynvalda skinęła głową.

— Stanie się, jak sobie życzysz. Nasza siostra nie zakwestionuje twego postanowienia.

Foanna zwróciła się do obu mężczyzn.

— Czy chcecie porozmawiać z waszą młodą siostrą bez świadków? — zapytała.

— Jeśli pozwolisz, pani — odparł Ross, zanim Ashe zdołał coś powiedzieć. — Panna Riordan ma zapewne nowiny dotyczące naszego ludu, których z chęcią byśmy wysłuchali, i może także powie nam o nowych zadaniach dla nas.

— Tak właśnie jest, o wielka — potwierdziła Eveleen. — Niczego nie musimy przed wami ukrywać i wolno mi mówić przy was, jeśli sobie życycie, ale tylko niewiele z tego, co mam do powiedzenia, dotyczy przeszłości bądź przyszłości Hawaiki. Możecie teraz przeniknąć mój umysł, żeby stwierdzić, czy mówię prawdę. Sądzę, że mogłabym opuścić osłony mentalne, jeśli tylko zechcę.

— Nie ma potrzeby, Eveleen — odparła Foanna. Jej akcent sprawiał, że imię śpiewnie zabrzmiało w jej ustach. — Promieniuje od ciebie prawda. Nie stanie się krzywda ani nam, ani naszym ludziom jeśli zostawimy was teraz samych. Kiedy już skończycie, przyprowadzimy do was Kararę. Do tego czasu żegnaj i jeszcze raz serdecznie witamy, młoda siostró.

Foanna zbliżyły się do siebie. Zdawało się, że wokół nich zbiera się mgła, ukrywając je przed wzrokiem Terran. Kiedy opadła, już ich nie było.

## 4.

Murdock jak zwykle z ulgą patrzył, jak odchodzą. Potem odwrócił się do Terranki. Uśmiechnęła się do niego krzywo.

— Ta trójka była straszniejsza niż sobie wyobrażałam.

— Są w porządku. Dobrze jest mieć je w walce po swojej stronie. Kiedy trzeba, można na nie liczyć.

Ross był lekko zaskoczony, że ich broni, ale już mu się zdawało, że Hawaika przechodzi, do historii, do jego historii. Przed nim znów była przyszłość i jakoś czuł, że nie będzie ona ani prosta, ani łatwa. Nie miał nawet co marzyć, że będzie bezpieczna. Taki już był zawód agenta czasu.

Przypatrywał się bladymi oczyma swojej instruktorce walki.

— W porządku, Eveleen, wyduś to z siebie. Gordon nachmurzył się.

— Coś nie tak, Ross?

— To ona ma mówić. — Opanował się. — Przepraszam, Eveleen. Nie miałem zamiaru brać cię w krzyżowy ogień pytań, ale jesteś albo byłaś instruktorem, a nie czynnym agentem. Poza tym, tam w Projekcie, musieli mieć cholernie ważny powód, żeby wysłać kogoś tak doświadczonego, i to z samej góry, jak ty, na zwyczajną wyprawę po agentów, choćby nawet chcieli wypróbować odporność twojego umysłu. Według mnie to może oznaczać tylko jedno — kłopoty.

Westchnęła.

— Całą furę kłopotów, ale nie dla Hawaiki. Przydzielono mi to zadanie bardziej ze względu na moje umiejętności bojowe niż na nie wypróbowaną umiejętność przeciwstawiania się przejęciu umysłu.

— Usiądźmy więc wygodnie — zaproponował starszy z mężczyzn. — Zdaje się, że to zajmie trochę czasu.

— Obawiam się, że tak.

Eveleen Riordan spojrzała na jednego, potem na drugiego z nich.

— Wasza piątka okazała się talią pełną dzokerów, które zmieniły bieg historii na znaczną skalę. Dla Hawaiki rezultat nie mógłby być lepszy, ale konsekwencje zmian poszły dalej. Planeta zwana Dominion krążąca wokół gwiazdy Panna ma mniej powodów do wdzięczności za wasze starania.

Kiedy przybyliśmy tam po raz pierwszy — ciągnęła Evellen — zastaliśmy świat składający się z wielkich miast i bogatych farm oraz ludzką cywilizację zdobną do podróży międzygwiazdnych, która skolonizowała wszystkie planety w swoim systemie i kilka krążących wokół sąsiednich gwiazd. Rozwinęli także technikę umożliwiającą komunikację międzygwiazdową w sposób równie łatwy i prosty jak rozmowa telefoniczna u nas.

Jednak napęd, którego używają, nie jest tak dobry jak ten, którym posługują się Łysawcy. Jest znacznie wolniejszy. W praktyce z układu Panny wyrusza się w podróż tylko w jedną stronę. To powstrzymało ich przed dalszą ekspansją. Najbardziej interesujące dla nas jest jednak to, że latają osobiście, nie uzależniając się od taśm z nagraniami z podróży. Tego właśnie chcieliśmy nauczyć się od nich jak najszybciej i właśnie zawieramy z nimi dotyczący tego układ handlowy, a ściślej mówiąc, już zawarliśmy.

Jej twarz spochmurniała.

— Nasi osadnicy na Hawaice stworzyli całą cywilizację z niczego. Ci, którzy odwiedzili Dominion, byli równie zaskoczeni, widząc wokół same popioły.

Gordon zaniknął oczy.

— Panie Czasu — wyszeptał.  
— Łysawcy? — syknął Ross. Skinęła głową.  
— Najwyraźniej. Musieli uderzyć tam wszystkimi siłami. Przy życiu pozostały zaledwie zarodniki lub komórki alg.  
Instruktorka pochyliła się do przodu.  
— Mieli już wcześniej oko na tę planetę. Według starej historii, Łysawcy próbowali dokonać inwazji na Dominion, ale nadeszła ona jakieś czterysta lat później i tubylcy byli w stanie ją odeprzeć.  
— Jak? — zapytał Murdock.  
— Za pomocą ataku mentalnego, który sprawił, że cała siła uderzeniowa najeźdźców pozbawiona została zdolności myślenia. Nie było to zbyt piękne, ale Łysawcy sobie na to zasłużyli.  
— W jaki sposób nasza robota na Hawaice mogła na to wpłynąć? — zapytał Ashe.  
— Mamy do dyspozycji tylko nasze scenariusze symulacyjne oparte na prawdopodobieństwie, ale sądzymy, że załoga statku kosmicznego, który odpędziliście od Hawaiki zanim znikła, zdążyła złożyć raport, że inne ich statki zostały zniszczone przez ludzi zdecydowanie pochodzących spoza tej planety. Albo Dominion zostało odkryte przez nich wkrótce potem i jego zniszczenie było swego rodzaju środkiem bezpieczeństwa, albo postanowili dać większy priorytet spustoszeniu, niż to wcześniej planowali. W nowej historii tej planety uderzyli silniej i wcześniej.  
— Wspomniałaś, że tubylcy byli ludźmi. Czy są lub byli tacy jak my?  
— To część tej tragedii. To właściwie mogliśmy być my.  
— Terranie? — zapytał z niedowierzaniem.  
— Prawdopodobnie. Cofnięci w głąb historii, ale już w erze naukowej Dominianie wynaleźli pewien rodzaj kapsuły do podróży w czasie, co wskazuje na fakt, że ich odlegli przodkowie zostali tam przeniesieni z innej planety.  
— Jeśli zatem wziąć pod uwagę wszystkie niekompletne informacje, które mamy do dyspozycji, możemy założyć, że jakaś inna rasa, na pewno nie nasi tysi przyjaciele, dotarła do Terry akurat w momencie, gdy homo sapiens zaczynał rozprzestrzeniać się na planecie, zabrała z sobą kilka plemion, osiedliła je na Dominionie i sztucznie podniosła ich poziom cywilizacyjny, zanim sama znikła. Prawdopodobnie padła ofiarą Łysawców.  
— Tak czy inaczej, na Dominionie używano już żelaza, a jego ludność skupiała się w małych miastach i państewkach, kiedy my tkwiliśmy jeszcze w epoce brązu.  
— I nie udało im się bardziej rozwinąć techniki lotów kosmicznych? — zapytał Murdock.  
Spojrzała na niego.  
— Rozwinęli ją sami, przyjacielu. Nikt nie dał im w prezencie gotowego statku kosmicznego do skopiowania. Poza tym mieli też co innego do roboty. Postęp techniczny nie przebiegał u nich tak jak u nas — wzdłuż linii prostej. Robili postępy także w dziedzinie rozwoju mentalnego i duchowego, a przez dłuższy czas pracowali nad planetami swego własnego systemu solarne. Udało im się w pełni je wykorzystać, nie czyniąc przy tym żadnych szkód. Ich historia była znacznie bardziej pokojowa niż nasza — licząc od tego, co nastąpiło wkrótce po ich epoce feudalnej. Postęp nie dokonywał się szybko, bo nie było wielkich wojen, które by go napędzały.  
— Poczekaj — wtrącił się Ashe. — Powiedziałaś, że rozwinęli własny napęd międzygwiazdny. Dlaczego po prostu nie przejęli pomysłów od Łysawców, tak jak my to zrobiliśmy? Mieli do dyspozycji całą ich flotę, a my tylko jeden statek.  
— Byli za mało rozwinięci technologicznie, żeby zrobić użytek z łupu. Po prostu zniszczyli to, co zdobyli. Ich uczeni od tamtej pory przeklinają to szaleństwo, ale pozwoliło im oni pójść własną drogą, a między innymi wyzwolić się też z niewoli

taśm.

Ross spojrział na nich ze zniecierpliwieniem.

— Wszystko jedno, jak tam było. Czy teraz my mamy jakimś sposobem przepędzić całą morderczą flotę Łysawców?

— Nie, tego nie możemy zrobić. Dominianie muszą sami prowadzić tę wojnę i ją wygrać. W żadnym wypadku nie wolno nam ujawnić naszej obecności ani wobec napastników, ani nawet wobec tubylców.

— Dlaczego? — Coś w jej słowach, w tym, jak je wypowiedziała, w tym, jak wyglądała, gdy to mówiła, sprawiło, że Murdock w duchu poczuł chłód własnego grobu.

— Łysawcy wiedzą, że na Terrze są ludzie, aczkolwiek prymitywni. Udało nam się przeżyć bez szwanku powrót cywilizacji hawaikańskiej i zniszczenie Dominionu, prawdopodobnie dlatego, że żadna z tych planet nie należała do naszej historii. Może być inaczej, jeśli w ich wielkich łbach pojawi się myśl, że można by rozegrać to bezpieczniej i zgotować nam los Dominionu. A łatwo wpadną na tę myśl, jeśli znów poczują się zagrożeni przez ludzi z innego świata.

— Mamy więc pozwolić ponownie umrzeć tej planecie? — zapytał ponuro Murdock.

Nagle gniewnie uniósł głowę.

— Chyba nie oczekujesz od nas, że wrócimy i odkręcimy wszystko, że zabijemy Hawaikę? — Pytanie było ostre, ale logiczne.

— Nie! — powiedziała stanowczo. — Nie mamy również zamiaru pozostawić Dominion własnemu losowi.

— Znaleźliśmy sposób, żeby temu zapobiec? — zapytał zwięźle Ashe. Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Gdyby szefostwo myślało inaczej, nie byłoby sensu prowadzić tej rozmowy, a nawet wspominać o zniszczeniu, przynajmniej nie teraz.

— Jest pewne rozwiązanie, a przynajmniej można podjąć próbę. Wiele zależy od szczęścia. — Kobieta pochyliła się do przodu, była śmiertelnie poważna, bardziej niż wtedy, gdy mówiła o zagładzie Dominionu. — Wszystko zależy od tego, czy miejscowa ludność zdoła w porę wykształcić broń mentalną, żeby odeprzeć atak Łysawców, tak jak było w ich starej historii. Tym razem nie powiodło im się. Coś zablokowało rozwój.

Ross przymrużył oczy.

— A więc mamy na nowo napisać ich historię, usunąć tę blokadę?

— Musimy się bardzo postarać. Warn, dzokerzy, udało się zrobić to dla Hawaiki. Teraz mamy zamiar wyświadczyć podobną przysługę Dominionowi. Znaleźliśmy coś, co wygląda na punkt zwrotny w jednej z lokalnych wojen, która miała miejsce siedemset lat temu według naszego czasu. Jeśli wynik tej wojny zostanie odpowiednio zmieniony, resztę będziemy mogli zostawić Dominianom.

Eveleen wyciągnęła z dużego mapnika dwie mapy, przypiętego do pasa. Pierwsza ukazywała osiem wielkich kontynentów osadzonych wśród sześciu obszarów wody, z których każdy upstrzony był niezliczonymi wyspami.

Wskazała na jedną z nich, oddaloną o mniej więcej czterysta kilometrów od północno-zachodniego wybrzeża największego z kontynentów.

— Nie ma za bardzo na co patrzeć, prawda? Skrawek ziemi, a życie całej planety zależy od wyniku jakiejś dawnej wojny o jego posiadanie.

Na pierwszej mapie położyła drugą. Była to szczegółowa mapa wyspy.

— Oto nasze pole walki.

— Kraina lodowców — zauważył Gordon. Wskazywał na to krajobraz, tak byłoby przynajmniej w przypadku Terry, a dokonane w kosmosie odkrycia wskazywały na to, że siły natury działały w podobny sposób na planetach tego samego typu.

— Tak się wydaje na pierwszy rzut oka. Z legendy można wyczytać, że przeciętne wysokości są tu większe niż u nas, ale kraina jest naprawdę piękna. Północna część jest bardziej dzika od reszty wyspy.

Góry są wyższe i groźniejsze, poprzedzielane wąskimi, kamienistymi dolinami. Gleba jest całkiem dobra, ale nie ma jej za wiele, natomiast na całej wyspie jest mnóstwo wody. Na południu jest tylko kilka naprawdę stromych szczytów, a doliny są szerokie i niezwykle urodzajne.

— Ten poziomy łańcuch zdaje się dzielić całość na dwie części — północną i południową — zauważył Ross.

— Właściwie jest to kilka łańcuchów górskich razem, ale w sumie na jedno wychodzi. Dla ludzi nie umiejących latać jest to bariera niemal nie do przebycia. Pojedynczy wędrowcy albo jeźdźcy mogą przedostać się przez nią w kilku miejscach, ale tylko tą przełęczą może przejechać wóz albo przejść szybko większa liczba osób, a i tak jest ona zamknięta w ciągu kilku zimowych miesięcy.

— Jak jest z tą wojną?

— Historia jakich wiele — powiedziała z niesmakiem, którego nie chciało jej się nawet ukrywać. — Było to ładne, zrównoważone społeczeństwo feudalne, dopóki władca jednej z domen, na które podzielona jest wyspa, nie zrobił się chciwy. Największa i najlepsza domena na północy to Dwór Kondora, ale jej ton, Zanthor I Yoroc, chciał czegoś więcej. Którejś wczesnej wiosny, bez ostrzeżenia zaczął napadać na swoich sąsiadów, połykając jednego po drugim, zanim byli w stanie stawić jakikolwiek opór.

Tylko jeden władca, Luroc I Loran z Krainy Szafiru, miał dość czasu, żeby rozpocząć walkę — opowiadała Eveleen. — Jego domena była położona najdalej na południe, tuż przy granicznym łańcuchu górskim. Jak na ten region była wielka, bogata i gęsto zaludniona, więc miał do dyspozycji niezłą armię czy milicję. Ale Zanthor uwzględnił w swoich planach to, że przeciwnik będzie przygotowany. Dwór Kondora miał piękne wybrzeże i port. Najeźdźca zrobił z nich użytek, żeby w tajemnicy sprowadzić wielkie hordy najemników z kontynentu. Wypuścił ich na Luroca, gdy tylko obie armie się spotkały. Obrońcom zgotowano rzeź. Wzmocniony zapasami, które zdobył w Kramie Szafiru, Zanthor uderzył przez przełęcz na formującą się koalicję południowych domen, zanim zdołały stworzyć skuteczną obronę. W ciągu najbliższych dwóch tygodni zima zamknęła przejście przez przełęcz i Zanthor został zablokowany, ale zwyciężył. Wyspa należała do niego.

Jego imperium przeżyło go tylko o kilka lat. Żaden z jego synów ani najemnych dowódców, których obdarował ziemią, nie miał dość siły, by utrzymać zdobycze. Osłabiali się wzajemnie, spiskując i prowadząc między sobą wojny, do czasu aż lokalna ludność powstała i przepędziła większość z nich do morza. Potem przywrócono dawny porządek najlepiej, jak umiano, ale wszystkich szkód nie dało się naprawić. Mutacja, która miała dać Dominianom z przyszłości ich mentalne siły, powstała na tej wyspie. — Eveleen postukała palcem w mapę. — Jej zarodki były już wówczas, ale rzeź i późniejsze osłabienie zasobu genetycznego, którego przyczyną była trwająca całe dekady obecność najemników z kontynentu, na całe stulecia wstrzymały rozwój.

— Czy to wszystko i tak by się nie zdarzyło? — zapytał Ashe.

— Nie wiemy. Nie byłoby powodu, żeby grzebać w zamierzchłej historii Dominionu, gdyby nie to spotkanie z Łysawcami. Wiemy jedynie tyle, że konieczna jest zmiana wyniku tej wojny. Popatrzyła kolejno na obu rozmówców.

— Dominion było piękną, bogatą planetą, a jej lud był dobrą, utalentowaną rasą. Chcemy ich uratować, tym bardziej że pośrednio jesteśmy odpowiedzialni za ich zagładę.

— Jest jeszcze sprawa ich niezależnych lotów międzygwiazdnych — zauważył oschle Murdock.

— Tak, jest — odpowiedziała chłodno Eveleen.

— Więc mamy jakoś opóźnić podbój południa przez Zanthora, ofiarowując władcom krainy jedną zimę, żeby zdążyli zorganizować opór najemników?

— Właśnie tak.

— Żadnych widoków na to, żeby po prostu wysadzić przełęcz w powietrze i zamknąć Zanthora w jego krainie, jak się domyślam?

— Żadnych. Nie możemy kłaść na szalę losu Terry.

— Czy niebezpieczeństwo, które mu grozi, jest naprawdę tak ogromne? — zapytał Ross, ściągając brwi.

— Najwyraźniej tak, jak wynika z niepełnych danych, którymi dysponujemy.

— To nie ma znaczenia — wtrącił zniecierpliwiony Gordon. — Wielkie czy nie, nikt nie będzie ryzykował.

— Jasne — zgodził się Murdock. — Ja też bym nie ryzykował. Przez dłuższy czas w skupieniu studiował mapę.

— Jakich rodzajów broni używają? Wyobrażam sobie, że to jakieś prastare żelastwo, skoro ciebie do tego zaangażowano, Eveleen.

— Prastare — zgodziła się. — Miecze, łuki. Prymityw. Są pewne różnice we wzornictwie i sposobie użycia, rzecz jasna, ale szybko pojmiecie, o co chodzi. — Uśmiechnęła się do niego szelmowsko. — Jeżdżą na wielkich jeleniach. Będziecie, chłopcy, mieli niezłą zabawę, ucząc się na nich jeździć.

— Jestem tego pewien — odpowiedział, ale natychmiast wrócił do przeglądania mapy. — Po co tu w ogóle bitwa? Ci durnie z Krainy Szafiru mają w tych górach partyzancki raj, jeśli tam jest równie dziko, jak w naszych terrańskich górach. Wystarczy przenieść wszystko, co ma jakąkolwiek wartość, i wszystkich na wzgórze, gdzie nie dotrze żaden z najeźdźców, i zastosować przeciwko Zanthorowi taktykę walki partyzanckiej. Nie przepędzą go, ale zatrzymają go przez dwa tygodnie, usuwając mu sprzed nosa zapasy i łupy, na które ma chętkę. Sami nie poniosą strat, a kiedy zacznie się wiosenna kampania, okaże się, że Zanthor nie ma czym karmić wojska. Czy będzie musiał przedostać się przez przełęcz? — zapytał na koniec.

Skinęła głową.

— Będzie musiał.

— Musimy zacząć jak najwcześniej. Trzeba zbudować domy i obsiać pola na wyżynach. Musi to być gotowe na czas, tak żeby można było spalić wszystko, czego nie da się zabrać ze sobą, i uciec... — Agent czasu przerwał. Popatrzył zmieszany na Ashe'a.

— Przepraszam. Nie powinienem...

— Mów dalej — odparł tamten. — Świetnie ci idzie.

Ross znów skierował wzrok na mapę, ale już tak się w nią nie wpatrywał.

— Będzie nam potrzebna pełna współpraca wszystkich, szczególnie władcy, zwłaszcza jeśli mamy działać szybko i w tajemnicy. Obawiam się, że z tym możemy mieć problem, bo jak dotąd nikt nie wpadł na pomysł zastosowania takiej taktyki.

— Oni wojny prowadzą otwarcie, w staromodnym stylu bij zabij, a nie kryjąc się po wzgórzach — potwierdziła jego obawy. — Sądzę, że dość łatwo uda nam się przekonać Luroca o niebezpieczeństwie, ale trzeba będzie sporo zachodu i nie lada taktu, jeśli chcesz zorganizować obronę jego domeny na twój sposób. I nawet wtedy może będziesz musiał zadowolić się bardzo wątpliwym zwycięstwem. — Eveleen westchnęła. — To właśnie dlatego jest tyle niepewności co do tego, czy zdołamy obronić Dominion.

Mężczyzna spojrział na nią ze zdziwieniem.



— Ja będę się musiał zadowolić?

Ashe spojrział w oczy Eveleen, potem przeniósł wzrok na partnera.

— Będiesz dowodził tą częścią misji — powiedział. — Już objąłeś dowództwo.

— To pasuje do naszej koncepcji — powiedziała Eveleen szybko, zanim Ross zdążył zaprotestować. — Ty i ja będziemy udawali oficerów najemników eskortujących naszego uczonego kolegę. Doktor Ashe przekaże ostrzeżenie Lurocowi. Potem jedynym logicznym wyjściem dla nas byłoby zajęcie się planowaniem i prowadzeniem wojny o Krainę Szafiru, o ile uda się nam przekonać władcę do naszych planów.

— A co z tobą? — zapytał ostro Murdock. — Czy to jest do przyjęcia, Eveleen? — przygotował się do odparcia ataku, chociaż pytanie było całkiem rozsądne.

Jej skinienie głową oznaczało, że się z nim zgadza:

— Tak, doprawdy — odparła ochoczo. — Dominion to nie Terra. Wielkiej Matki nigdy tam nie zapomniano, lud wciąż ładną, wyrafinowaną wersję tej bogini, dopóki istniała tam cywilizacja. W całej historii planety kobiety miały wysoką pozycję. Co prawda kobiety nigdy nie pełniły funkcji tonów w czasach, o których mówimy, ale również nie było tam męskich kapłanów. Prawie każdy zawód otwarty był dla obu płci, łącznie z profesją najemnika. Będą mnie uważali za kogoś niezwykłego, bo niewiele kobiet podejmuje się takiej pracy, ale nie będę jakimś dziwadłem, a moja obecność w takim charakterze nie wzbudzi niczyich podejrzeń.

Jej brązowe oczy przykuły jego wzrok.

— Podjęcie się tej roli jest dla mnie ważne, Ross, ważne jest też wciągnięcie w to, co ma nastąpić, jak największej ilości kobiet z jego domeny. Mutacja zrodziła się najpierw w nich i to tylko dzięki nim mentalne możliwości rasy mogą być wykorzystane w różnych dziedzinach poza jedną — bezpośrednim kontaktem między jednostkami. Mężczyźni będą musieli być zdolni do ukierunkowania swojej mocy za pośrednictwem kobiet, by zniszczyć Łysawców. Żeby tego dokonać, potrzebne jest całkowite zaufanie i wzajemna akceptacja pomiędzy obiema płciami. Musimy uczynić wszystko, żeby to w nich zaszczepić, i jest to dla nas równie ważne, jak pokrzyżowanie planów Zanthora i Yoroca.

— A moja rola? — zapytał Gordon.

— Będiesz bogatym, bardzo uczonym lekarzem ze środkowego kontynentu, który na początku udał się na północ, żeby studiować manuskrypty zgromadzone w tamtejszych świątyniach i porównywać ich zawartość z wiedzą z własnej krainy. Trzej najemnicy, zwłaszcza wyższej rangi, włóczący się po wyspie byliby bardzo podejrzani w czasie, w którym mamy zamiar się tam pojawić. Ale dwoje z nas może zupełnie niewinnie podróżować w charakterze ochrony wybitnego człowieka... Musisz zostać lekarzem — dodała, uprzedzając wszelkie wątpliwości na ten temat. — Poza stanowiskami tona i najwyższych rangą dowódców najemników medycyna jest jedynym zawodem, który da ci odpowiedni prestiż umożliwiający zdobycie posłuchu.

Nasza historia jest taka — ciągnęła z zapalem Eveleen — my, wojownicy, zauważyliśmy obecność ogromnej ilości podobnych do nas najemników w portowym mieście, w którym poświęcałeś się studiom. Zastanowił nas ten fakt w związku z brakiem jakichkolwiek wojen w okolicy. Ostrożnie szperając, cała nasza trójka wpadła na ślad spisku Zanthora i pospieszyła, żeby podzielić się alarmującymi wieściami z odpowiednimi ludźmi. Wiarygodne będzie to, że w tym celu porzuciłeś swoje badania. Dominiońscy uzdrowiciele z tych stron poważnie traktowali przysięgę, że będą chronić życie, jednak nie wahali się brać udziału w walce, jeżeli uważali to za konieczne. Dodatkowym argumentem będzie fakt, że zdrada Zanthora była całkowicie sprzeczna z obyczajami tamtych czasów, co sprawiło, że udało mu się całkowicie wszystkich zaskoczyć. Nikt nie wierzył, że coś takiego może się stać, dopóki się nie

stało. Dla każdego, a szczególnie dla człowieka, który zaprzysiągł, że będzie bronić życia, byłby to godny potępienia uczynek. Musiał więc zrobić wszystko, żeby udaremnić I Yorocowi stworzenie imperium.

— Kupuję to, panno Riordan, ale jestem archeologiem, a nie lekarzem. Sądząc z tego, co usłyszeliśmy, misja potrwa długo, a jeśli będę zmuszony leczyć...

— Jeśli wziąć pod uwagę twoje staranne przeszkolenie w zakresie pierwszej pomocy i wyrastającą ponad przeciętną wiedzę medyczną naszych czasów, jesteś o niebo lepiej przygotowany niż którykolwiek z twoich rzekomych dominiońskich kolegów. Nie zapomnij o tym, że oni wszyscy działają na poziomie wiedzy średniowiecznej. Niemniej, dla pewności, przejdiesz wcześniej przyspieszony kurs asystenta medycznego.

— Potrzeba dwóch, trzech lat intensywnych studiów, żeby zostać wykwalifikowanym asystentem lekarza!

— Nie wszystko będzie ci potrzebne i już teraz sporo wiesz — zapewniła go. — Będziesz też miał z sobą niezły zapasik terrańskich lekarstw, wszystkie pięknie zamaskowane... Nie obawiaj się, poradzisz sobie doskonale, nawet jeśli miałbyś kiedyś rozpocząć tam praktykę, doktorze.

— Nie byłoby prościej ogłosić mnie jakimś obcym tonem, który z pewnych powodów urwał się ze swojej domeny?

Pokręciła głową.

— Niestety nie. Oni po prostu nie oddalają się zanadto od swoich domen. Jakakolwiek historyjka, którą byśmy opowiedzieli, byłaby nazbyt melodramatyczna, wręcz absurdalna. Poza tym ton, który nie ma specjalnych interesów na wyspie, a mimo to wybrał się w długą podróż tylko po to, żeby ostrzec przed Zanthorem, byłby mniej wiarygodny od lekarza.

— Doktor mógłby także liczyć na jakąś ładną nagrodę na koniec? — zasugerował Ross.

— Jakiś szczodry patronat byłby oczywiście mile widziany. Gordon pokiwał głową, godząc się z nieuchronnym.

— Kim właściwie są ci tonowie? — zapytał. — Lordami? Królewiaćkami? To może być ważne, przecież będziemy musieli zbliżyć się do nich i nimi kierować.

— Ani jednym, ani drugim. To słowo nie ma odpowiednika w żadnym z terrańskich języków, które znam. Bliskie jest pojęciu właściciela ziemskiego, tłumaczy się je też jako szlachetny albo wysokiego rodu właściciel ziemski. Ale jest w tym spora dawka wodza klanu, a także przewodniczącego rady i prezesa zarządu spółki.

— Porządek społeczny jest inny niż u nas. Domeny należą wprawdzie do tonów, ale wykorzystywane są przez całą ludność, zyski dzielone są pomiędzy rodziny, jak również służą całemu społeczeństwu. Tonowie biorą największą dolę z zysku, ale każdy, kto na nią pracuje, może się przy tym pożywić.

Eveleen uśmiechnęła się.

— Wkrótce sami się tego nauczycie. Zaczniemy trening, jak tylko wrócimy.

Ross zatrzęsł się w duchu. Już raz przechodził zaawansowane szkolenie zafundowane mu przez Projekt, kiedy wraz z Gordonem Ashe'em odgrywali role terrańskich kupców w epoce brązu. Było to na tyle dawno, żeby doświadczenie to zaczął zasnuwać delikatny welon nostalgii, jednak Ross nie mógł wyzbyć się obaw. Odgrywanie roli handlarza amfor w przeszłości jego własnej planety było dostatecznie trudne, a teraz musiałby nie tylko walczyć, ale i dowodzić wojną partyzancką i do tego udawać nieodrodnego syna Dominion z układu Panny.

W duchu zaśmiał się sam z siebie. Przecież palił się do tej roboty, może nie? Teraz ma, czego chciał. Pozostaje tylko zacisnąć zęby i robić swoje.

Terranie stali obok oczekującego na nich portalu. Wkrótce opuszczą starożytną Hawaikę, żeby przenieść się do jej współczesnego odpowiednika, gdzie czekają ich całe tygodnie pracy i wysiłku.

Kiedy będą gotowi — na tyle, na ile można być gotowym — zacznie się ich właściwa praca. Wsiądą na statek lecący ku popiołom tego, co było kiedyś Dominionem z układu Panny, przejdą tam przez portal czasu i znajdą się w epoce, w której rozstrzygną się losy planety. Łódź podwodna przewiezie ich z bezludnej wyspy będącej terminalem portalu do zagrożonego obszaru, a pod koniec misji prawdopodobnie odnajdzie ich tam helikopter, o ile którekolwiek z nich przeżyje. Żyjąc wśród tubylców, będą narażeni na te same niebezpieczeństwa co oni.

Nadeszła chwila rozstania. Pożegnali się już z delfinami i ze swoimi towarzyszami spośród Tułaczy. Pozostali jeszcze Foanna i Karara, która wciąż omawiała z Eveleen Riordan raport, który miała sporządzić.

Ross szybko pożegnał się z dziwną trójką, zanim jeszcze ulga, jaką czuł w związku z opuszczeniem tego miejsca, nie stała się nazbyt widoczna i wykraczająca poza granice uprzejmości.

Ashe rozmawiał z jednym z tubylców. Miał trochę mieszane uczucia. Cieszył się, że może wrócić do własnego życia i swojego czasu, ale robił to z ciężkim sercem. Bez względu na to, co wraz z towarzyszami uczynił dla samej Hawaik, nie był w stanie pomóc Foanna. Kiedy te trzy, które są teraz z nim, umrą, ich rasa wygaśnie. Nie było nadziei na odwrócenie biegu wydarzeń, ani na zniszczenie się wizji, którą miał chwilami przed oczyma.

Przepchnął go wstyd i poczucie porażki, więc schylił głowę.

— Przepraszam — powiedział w końcu. — Żałuję, że ani ja, ani żaden z nas nie okazał się godnym przyjęcia przez siły, które rządzą waszym gatunkiem.

Ze wszystkich Terran tylko Karara została wybrana, a ona też była kobietą...

— Nie mogło być inaczej, Gordonie — odpowiedziała Ynvalda. — Musimy się z tym pogodzić. Tak jest niewątpliwie najlepiej. Nasz świat jest martwy, martwy duchowo dla młodszego brata. Byłby taki zapewne i dla ciebie. Zmiana formy i umiejętności nie zdałaby się na nic, jak sądzę. Stworzeni jesteście — z ciała i ducha — do innych działań i innego życia.

— Może tak jest, ale znaleźliśmy tu prawdziwych przyjaciół i wiele mogliśmy się nauczyć i wiele osiągnąć.

— O przyjaźni się nie zapomina. Co do reszty — może zdarzy się, że zdobędziecie to, czego pragniecie, w inny sposób i w innych miejscach. Gwiazdy i przestrzenie czasu stój ą przed wami otworem. — Odwróciła lekko głowę.

— Siostry wróciły.

Gdy to mówiła, do pokoju weszły dwie kobiety. Eveleen, mała i jasna, wydawała mu się bardziej promienna niż jej towarzyszka otoczona migotliwą aurą.

Cokolwiek się zdarzyło podczas ich długiej rozmowy, teraz — kiedy zbliżał się czas rozstania — obie były wyciszone i zamyślane. Trehern popatrzyła na swych dawnych towarzyszy. Byli ostatnim ogniwem łączącym ją ze starym gatunkiem, ze światem, który ją zrodził, i z życiem, które kiedyś należało do niej...

Uniosła podbródek i smutny uśmiech pojawił się na jej ustach. Jeszcze raz spojrzała na nowo przybyłą.

— Eveleen, powiedziałaś mi, co mam spisać, ale nie mówiłaś, czy powstanie z tego dobra książka.

— Bestseller dezertera! — odparła Eveleen. — Kiedy dotrze do nas, będzie bestsellerem na skalę planetarną, na skalę między gwiazdą — historia i legenda w jednym, ślicznym opakowaniu.

Karara roześmiała się i potrząsnęła głową.

— Teraz nie boję się zacząć! Nigdy nie znosiłam tych drętwych tomów, które każą człowiekowi czytać w szkole. Mierziła mnie myśl, że sama stworzę coś podobnego.

— Nie obawiaj się. Taką klasykę czyta się z przyjemnością. Nadszedł czas. Gordonowi ścisnęło się serce. Ross miał rację, mówiąc, że dla tej ciemnowłosej kobiety nie ma już miejsca w innych światach. Nawet teraz, gdy żegnali się na zawsze, między nią a Murdockiem i Riordan wznosiła się pewna bariera wynikająca z faktu, że kiedyś była człowiekiem, Terranką, a już wkrótce nie będzie jej z nimi.

Może zostanie władczynią siły, ale Karara Trehern była także kobietą, dziewczyną, a teraz miała zostać całkowicie odcięta od swojego własnego czasu, swojego świata, swojego gatunku. Nie trudno było wyobrazić sobie i poczuć smutek i strach, który musiał płonąć pod maską odwagi.

— Kararo — wyszeptał.

Podeszła do niego, a on objął ją ramionami. Ashe pocałował ją czule w czoło.

— Ucz się dobrze, Kararo, ale bądź także szczęśliwa.

Ross opanował się. Czy on w ogóle był człowiekiem, czy w ogóle zasługiwał na to miano, on, który przywiązywał do tego tak wielką wagę?

Ross także wziął w ramiona towarzyszkę, ledwie Gordon ją puścił. Ich usta spotkały się w mocnym, prawdziwym pocałunku. Chciał, żeby wiedziała, że bez względu na to, czym stała się teraz, nadal potrafiła rozpalić uczucia.

Odwzajemniła pocałunek z namiętnością, wiedziała bowiem, że również ta część życia zamyka się dla niej na zawsze. Dobrze było znaleźć się w czyichś ramionach ten ostatni raz.

W końcu Karara wycofała się z uśmiechem, choć łzy błyszczały w jej oczach. Stała obok tych, które teraz stały się jej siostrami, podczas gdy trójka, która miała odejść, wkroczyła w portal, zamigotała i znikła z jej oczu i z jej czasu.

## 5.

Pot wystąpił mu na czoło. Zanthor I Yoroc zdjął hełm i trzymał go w zgięciu ramienia. Dzień był gorący, jeździł więc często z odkrytą głową. Nikt z czworga będących z nim ludzi nie miał prawa domyślić się, że coś tu jest nie w porządku.

Ściągnął gęste brwi. Nie w porządku? Wszystko jest, jak trzeba. Tylko to przemożnie silne wezwanie było niezwykle, ale był w stanie się temu przeciwstawić. Zwalczał je już od dwóch dni. Przestał, ponieważ był ciekaw jego źródła i przyczyny, a tylko odpowiadając na nie, mógł się przekonać, co się za tym kryje. Ton Dworu Kondora zwykł stawiać czoła wyzwaniom, również tym, które pochodziły z jego wyobraźni.

Zasępił się. Nie, to wezwanie było prawdziwe. Miało cel i kres, choć ton nie wiedział jeszcze, co to mogło być i skąd pochodziło. Z tego powodu, że nie był w stanie określić celu poszukiwań ani tego, co go spotka, gdy cel zostanie osiągnięty, postanowił nie jechać sam. Towarzyszyło mu trzech dzielnych szermierzy i jeden z jego synów.

Spojrzał przelotnie na młodego człowieka jadącego z lewej strony. Był wątłej budowy, pozbawiony odpowiedniej koordynacji i szybkości ruchów tak ważnych dla wojownika. Tarlroc I Zanthor mógłby stać się przedmiotem pogardy dla większości mężczyzn, ale spośród synów Zanthora on właśnie dysponował najbystrzejszym umysłem. Potrafił też trzymać język za zębami. Dobrze służył swemu ojcu jako urzędnik, a w tej dziwnej podróży mogło się okazać, że bardziej przyda się jego umysł niż mięśnie i umiejętności wojownika.

Jechali już prawie dwie godziny, a żaden z towarzyszy Yoroca nie wyraził słowa protestu ani zaciekawienia. Wiedzieli, co robią. Władca Dworu Kondora nie tolerował łamania dyscypliny ani kwestionowania jego rozkazów przez tych, którymi dowodził.

On sam nie wahał się co do kierunku jazdy. Nie miał wątpliwości. To było tak, jakby posuwał się za pomocą szczegółowej mapy, tyle że ona była w nim samym. Kiedy zbaczał z kursu, jego wewnętrzny niepokój wzrastał, dopóki nie powrócił na właściwą drogę.

Koniec przyszedł nagle. Cała piątka wstrzymała swe wierzchowce na skraju świeżo wyrąbanej czy raczej wypalanej wśród drzew i krzewów polany. To, co ujrzeli, sprawiło, że gapili się jak dzieci pastucha po raz pierwszy wchodzące do wielkiego miasta na kontynencie.

Najbliżej nich stały trzy budowle wyglądające jak słomiane ule, ale zrobione ze stali albo jakiegoś metalu o podobnej barwie. Na drugim krańcu stały obok siebie dwa słupy. Wyglądały, jakby kiedyś były wysokie, a potem pozginał je poskręcał i poczercił niewiarygodnie gorący ogień.

Wszystko to było dziwne, niewytłumaczalne, ale było to niczym w porównaniu z pięcioma mężczyznami — pięcioma istotami, które najwyraźniej zbudowały ten dziwaczny obóz, a teraz stały naprzeciw nowo przybyłych, jakby oczekiwały ich przyjazdu. Wszyscy byli chudzi i niscy jak na dominiońskie standardy. Mieli długie twarze o ciastowatej bladokremowej cerze. Ich czaszki nadawały im groteskowy wygląd — były ogromne i całkowicie bezwłose. Czarne oczy patrzyły twardo i przenikliwie. Nie okalały ich brwi ani rzęsy. Wszyscy byli jednakowo ubrani w opalizujące niebieskie uniformy, które zdawały się ciasno przylegać do ich szczupłych ciał. Dziwnie wyglądające urządzenia zwisały z pasów zapiętych wokół ich szczupłych talii.

Zanthor otrząsnął się ze zdumienia. Spojrzał na towarzyszy i zirytowany stwierdził, że żołnierze gapią się z głupkowatymi minami na obcych. Tarlroc oderwał wzrok od

przybyszów, odwrócił głowę, jakby zmuszając się do tego siłą woli, i przymrużonymi oczyma spojrzął na I Yoroca.

Ton udał obojętność i skupił całą swoją uwagę na demonach. W zwyczaju jego ludu było, że ten spośród władców i żołnierzy, który pierwszy autorytatywnie rzuci wyzwanie, zyskuje przewagę w debacie. Mogło się to okazać skuteczne również wobec tych bezwłosych. Lepiej zrobić jakiś ruch, zanim oni to zrobią.

— Kim jesteście, wy, którzy obozujecie na ziemiach Dworu Kondora bez zezwolenia? — spytał chłodnym głosem.

— O tym chcielibyśmy porozmawiać z władcą tej krainy.

Spojrzał na syna. Cała uwaga Tarlroca skupiona była na dziwnych przybyszach. Inni stali jak posągi, nie wykazując zainteresowania ani swoimi dowódcami, ani istotami stojącymi na polanie.

— Jestem tonem.

— Przybyliśmy, żeby wesprzeć twoje plany. Tarlroc I Zanthor wyprostował pochyłe ramiona.

— I swoje własne plany także, oczywiście. — Jego słowa brzmiały, jakby musiał je siłą wydobywać z krtani, ale z satysfakcją stwierdził albo raczej poczuł, że demony na dźwięk jego głosu lekko zadrżały.

— Czy to spadkobierca tona przemówił w obronie swojej spuścizny? — zapytał władczym głosem jeden z piątki przybyszów.

— Jestem tylko młodszym synem — odparł I Zanthor wyniosłym tonem, dorównującym pogardliwemu stwierdzeniu rozmówcy — trzecim z czterech, ale wiem, jakie należy mi się miejsce i jak winni się zachować ci, którzy dopraszają się względów mojego ojca.

Na chwilę zapadła cisza.

— Niechaj ton i jego syn wejdą do naszych kwater, abyśmy mogli rozmawiać w wygodnych warunkach — zaprosił ich mówiący w imieniu obcych.

Zanthor uśmiechnął się chłodno. Czy uważają go za durnia tylko dlatego, że odpowiedział na wezwanie, które teraz przestało brzmieć w jego głowie?

— Dzień jest ładny. Niewiele takich nam zostało przed nadejściem zimy. Wynieście zatem swoje siedziska na zewnątrz, by móc się nim rozkoszować podczas rozmowy — odparł gładko.

Tak też uczyniono. Wyniesiono niskie stołki bez oparc. Ich plecione siedzenia zrobione były z jakiegoś materiału, którego dominioński władca nie był w stanie od razu rozpoznać. Każdy z panów z Dworu Kondora dostał po jednym stołku. Na pozór przypadkiem usiedli w ten sposób, żeby mieć na oku zarówno obcych, jak i własną, unieruchomioną eskortę.

Dalsza zwłoka nie miała sensu, a może nawet byłaby niebezpieczna. I Yoroc natychmiast przystąpił do rzeczy:

— Twierdzicie, że chcecie mi pomóc. Na jakiej podstawie sądzicie, że potrzebna mi wasza lub czyjokolwiek pomoc?

— Chcemy cię widzieć władcą całej tej wyspy.

Bładożółta skóra tona poczerwieniała, odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

— Podbić całą wyspę, dysponując tylko garnizonem pomocnej domeny? Musicie być szaleńcami, ale zapewniam was, że ja sam jestem przy zdrowych zmysłach... Chodź, Tarlroc. Dość czasu już zmarnowaliśmy.

— Garnizon z twojej domeny może pokonać garnizon z innej, potem z następnej i znów z następnej, jeśli będziesz uderzać na nie z osobna i w szybkim tempie. Rozdaj łupy z pierwszego podboju swoim żołnierzom, żeby rozbudzić ich apetyty i podbudować morale, a resztę zdobyczy użyj, żeby opłacić najemnych wojowników, których w tajemnicy sprowadzisz. Twoje siły będą wtedy wystarczające, żeby

zmiądzzyć każdą domenę z osobna. Jeśli będziesz się przemieszczał odpowiednio szybko, to wyspa będzie twoja, zanim jakakolwiek opozycja zdąży się zjednoczyć, aby cię powstrzymać.

Zanthor siedział w milczeniu. Poważnie myślał o przyłączeniu domeny sąsiadującej z nim od wschodu. Ton Jaskółczego Gniazda był stary i słabego zdrowia, a jego następcą był powszechnie nie lubiany daleki krewniak. Tę domenę mógł zająć i zatrzymać dla siebie. Jednak sprawa, o której mówi ten odziany na niebiesko demon, to zupełnie co innego. Owszem, rzecz to pożądana, ale bynajmniej nie tak łatwa do osiągnięcia, jak to wynikało z optymistycznej prognozy obcego.

Wreszcie pokręcił głową.

— Garstka kupionych rycerzy nie dokona tego wszystkiego. Potrzebne byłyby całe kolumny, a nie zaledwie kompanie, a ja nie mam na to środków. Dowódcy spodziewają się dobrej zapłaty, a znaczna część ich wynagrodzenia musi być wypłacona przy składaniu przez nich przysięgi.

Demon wskazał głową wielkie, kwadratowe białe pudło wyniesione wraz ze stołkami z podobnej do ula budowli. Dwaj jego towarzysze bez słowa podnieśli wieko i odstąpili na bok.

Władca domeny wstrzymał oddech. Choć metal, który był w środku, miał formę długich, prostokątnych sztab, a nie znajomych pierścieni, jego żółty kolor nie pozostawiał wątpliwości.

Zanthor przybrał surowy wyraz twarzy.

— Po co mi to pokazujecie? Czego właściwie oczekujecie ode mnie?

— Pokazujemy, co możemy ci dać. Na znak naszych dobrych intencji możesz zabrać ze sobą tyle tego złota, ile twoje zwierzęta będą w stanie bez kłopotu udźwignąć. Oczekujemy jednak, że zwrócisz nam po trzykroć tyle, gdy zakończysz swoją wojenną kampanię. Żeby zaś zapewnić sobie naszą pomoc na przyszłość, musisz dostarczyć nam teraz dobrą stal, miedź i inne materiały, które określimy dokładnie po wyrażeniu przez ciebie zgody. Dasz nam też głowy swoich wrogów — ich kobiet, ich potomstwa oraz ich mężczyzn.

— Chcecie, żebyśmy spędzili tutaj połowę ludności wyspy na rzeź? — zapytał z niedowierzaniem syn tona.

— To nieistotne, gdzie i kiedy umrą. Domagamy się tylko, żeby umarli.

I Yoroc pokiwał głową w zamyśleniu. To miało sens. Za jednym zamachem ukarze przeciwników i ograniczy prawdopodobieństwo buntu. Wyludnione ziemie mogą być uprawiane przez potulnych osadników przybyłych z kontynentu...

— Ale dlaczego? — zapytał. — Skąd ta nienawiść do nich i chęć pomagania mi?

— Pomagamy ci, bo jesteś w stanie wykonać naszą wolę. Reszta nie powinna cię interesować.

— Jest was tutaj tylko pięciu...

— Reszta twoich żołnierzy nie stanowi dla nas większego problemu niż ci, którzy przyjechali tu z tobą. Moglibyśmy zrobić z nimi to samo... Czy przyjmujesz naszą propozycję?

— Rozważę ją w odpowiednim czasie — odparł pewnym głosem ton Dworu Kondora. — To ja stoję w obliczu wojny. Wy ryzykujecie wasze złoto, część waszego złota. A ja kładę na szalę moje życie i moje ziemie. Tymczasem muszę sprawdzić, czy złoto, które obiecujecie, jest prawdziwe.

— Jeśli weźmiesz złoto, my będziemy musieli dostać zapłatę. Twoja broń...

I Yoroc przymrużył oczy. Pokręcił przecząco głową.

— Zatrzymujemy naszą broń i broń naszej eskorty. Jednak te ścierwa nie mają dla nas wartości. Weźcie trzech z nich jako zapłatę. Jeśli uznam, że mamy sobie coś więcej do powiedzenia, wrócę niebawem.





## 6.

Murdockowi serce waliło jak oszalałe, jednak siłą woli powstrzymał się, żeby nie okazać obecnym swego podniecenia.

To nie było ich pierwsze takie spotkanie. Jego grupka przemierzała wyspę, poczynając od jej najbardziej na południe wysuniętego przylądka, na którym wylądowali. Nieśli ostrzeżenie o zbliżającym się niebezpieczeństwie do tych tonów poszczególnych regionów, których w wyniku rozpoznania uznali za przywódców konfederacji, którą starali się wspierać. W większości spotykali się ze zrozumieniem, gdyż ich wieści były wiarygodne i poparte mocnymi dowodami. Wiele domen zaczęło troszczyć się o uzbrojenie i zapasy, a ich władcy spotkali się, żeby omówić wspólną obronę przed Zanthorem I Yorokiem na wypadek, gdyby przestrogi niesione przez przybyszów okazały się prawdziwe. Jak do tej pory udało się przyspieszyć poczynania organizacyjne o kilka decydujących miesięcy, jednak armia właściwie się nie zebrała i na tym etapie operacji niewiele wojska przesunięto na pomoc. Żaden z władców Południa nie dał się bowiem całkowicie przekonać, że przeciwko nim pomaszerują wkrótce potężne hordy najemników.

Gordon Ashe ponownie przyniósł wieści i raz jeszcze spotkał się z tymi samymi argumentami, ale tym razem sukces — i to być może największy z możliwych — był niezbędny. Siedzieli w wielkiej sali Krainy Szafiru. Naprzeciw nich siedział ton Luroc I Loran i jego szef sztabu. Jeśli tu im się nie uda, wszystko będzie stracone.

— Nie waham się uwierzyć w najczarniejsze nawet intencje przypisywane przez ciebie tonowi Dworu Kondora, uzdrowicielu O Asheanie — powoli rzekł Luroc, jakby bardziej do siebie niż do gościa. — Nie ja jeden uważam, że nie jest prawdziwym synem Królowej Życia, ale nie mogę uznać za prawdziwą wieści, że przedstawia on sobą tak wielkie niebezpieczeństwo. Choć jego domena, w porównaniu z innymi domenami Pomocy, jest dość potężna, i tak nie byłaby w stanie nająć tak wielu mieczy, jak twierdzisz.

Ross czuł, że narasta w nim gorzkie poczucie klęski. Spotkanie toczyło się tak samo jak gdzie indziej. Nie uzyskają niczego więcej poza obietnicą, że ton podwoi czujność i postawi garnizon domeny w stan pogotowia. W tym momencie mogło to wystarczyć na południu, ale tutaj potrzebna była bardziej konkretna decyzja. Bez pełnej wiary i poparcia ze strony Luroca nie będą w stanie rozpocząć przygotowań, których celem miało być utrzymanie zdolności wojennych domeny, a co za tym idzie — ocalenie Dominionu z układu Panny.

Do wszystkich diabłów ze wszystkich piekieł, o których kiedykolwiek słyszał! Co jest z tymi ludźmi? Bez trudu byli w stanie wyobrazić sobie przyłączenie ich ziem siłą, ale żaden z nich nie mógł uwierzyć, że napastnik może zgromadzić odpowiednie środki, aby doprowadzić swoje plany do zwycięskiego końca. Kiedy Zanthor da im nauczkę, będzie już za późno. Oczy płonęły mu z niecierpliwości.

— Mylisz się, tonie — powiedział nagle, przerywając ciszę, która zapadła w sali. — Dwór Kondora jest w stanie wynająć najemników. Już ich wynajął. Będą walczyli tak długo, aż osiągną cel, który nakreślił przed nimi ich władca. Jeśli nie ruszymy natychmiast, żeby pokrzyżować mu plany, za kilka tygodni będzie już za późno.

Murdock wiedział, że zwracając się bezpośrednio do tona i zgromadzonej przy nim świty, złamał zwyczaj. Mężczyźni i nieliczne kobiety, którzy z innych powodów niż zapewnienie bezpieczeństwa, własnej domenie wybrali karierę wojownika, nie cieszyli się wysokim poważaniem, choć ich zdolności doceniano, gdy służyli w dobrej sprawie. Najemnik nie powinien nieproszony zabierać głosu podczas takiej jak ta

narady bez względu na pozycję, jaką zajmował w swoim środowisku. Eveleen i Murdock nie byliby nawet zaproszeni, gdyby ich świadectwo nie było niezbędne.

Obecni, łącznie z towarzyszami Murdocka, spojrzeli na niego ostro, niektórzy z niesmakiem, lecz wszyscy byli zadziwieni.

Ross położył ręce na stole. Skoro już zaczął, powinien jasno wyłożyć sprawę. Ma teraz szansę, znikomą, co prawda, ale drugiej nie będzie.

— Jestem człowiekiem walki, tonie I Loranie, a nie zarządcą ziem — mówił szybko, korzystając, że zgromadzeni go słuchają. — Dwór Kondora będzie miał do dyspozycji na krótki czas całe kolumny, a nie tylko kompanie najemników, a jeśli żołnierzom zagwarantuje się duży udział w łupach i łatwe zwycięstwa, a ich dowódcom bogate domeny na południu, to ich lojalność wobec Zanthora będzie przez nich traktowana jako część kontraktu. Nie ma chyba wśród nas nikogo, kto nie marzyłby o zdobyciu takich posiadłości, bez względu na swoją znaczącą rangę i mimo nikłych szans na spełnienie tych marzeń. Znajdzie się mnóstwo mężów gotowych walczyć dla takiej władzy, licząc na godziwe zyski również w drodze do tego celu.

Ton patrzył na wojownika z ponurym wyrazem twarzy, ale było to raczej zamyślenie niż gniew.

— Jeśli tak jest — powiedział wreszcie — to po co przyszlście do nas? Co kilkuset żołnierzy, albo nawet zjednoczenie się południowych domen może zdziałać przeciw takiej potędze, jak w tym przypadku, jeśli Zanthor I Yorok jest w stanie rzeczywiście zgromadzić te nieprzeliczone hufce?

Ross Murdock uśmiechnął się.

— Nie są nieprzeliczone, tonie. Dowódcy kolumn będą służyć długoterminowo wyłącznie za obietnicę ziemi. Liczba domen na pomocy czy na południu jest ograniczona, a Zanthor nie będzie chciał rozparcelować ich zbyt wiele i pozbyć się nad nimi bezpośredniej kontroli, zastępując jednych władców innymi. Nie, nie możesz spotkać się z nim w otwartej walce. Nie sądzę, żeby mogła to uczynić cała Północ, nawet jeśli byłoby dość czasu, żeby się przygotować. Tylko konfederacja domen może go pokonać. Sprawą Krainy Szafiru jest dla tona I Carlroca zyskanie na czasie i obrona naszej własnej skóry.

Luroc uniósł brwi.

— Obrona własnej skóry? — powtórzył. Agent czasu wzruszył ramionami.

— To jest mój plan, tonie I Loranie. Tylko ja i moi towarzysze wierzymy, że ma szansę powodzenia. Wymaga on innego sposobu prowadzenia walki, w której muszą być zaangażowani wszyscy twoi ludzie. Jeśli zechcesz spróbować, zaciągnę się do twojej służby, żeby go wykonać, a przynajmniej, żeby przygotować do niego twój lud.

Ton nie odpowiadał przez kilka długich sekund.

— Jak się zwiesz, mężu wojny? — zapytał wreszcie.

Terranin wypuścił wstrzymywany oddech. Starał się nie zdradzić, jak wielką odczuł ulgę. Pytając o imię, dominioński władca dawał mu prawo uczestniczenia w poważnej dyskusji na zasadach równości.

— Rossin A Murdock, tonie. Kapitan najemników.

— Jaki jest ten twój plan, kapitanie?

Ross opisał obmyśloną przez siebie wojnę partyzancką i przygotowania, które domena musi poczynić, żeby zwyciężyć. Gdy skończył mówić, rozległy się nieprzychylnie pomruki.

— Chcesz, żebyśmy chowali się po wzgórzach jak tropione wilki, żebyśmy pozostawili na pastwę wroga nasze domostwa i pola, nie stając do otwartej walki? — zapytał młody człowiek, bardzo przystojny wedle standardów swojej rasy. Ubrany był w prosty mundur garnizonu domeny, a pasek porucznika biegł ukośnie przez jego pierś.

— Chcę, żebyście walczyli tak, by odnieść zwycięstwo. Wojna będzie was sporo kosztować bez względu na to, jak postacie. Przeprowadźcie ją według mojego planu, a przynajmniej będziecie mieli jakąś szansę. Możecie też potroić swoje siły, jeśli wszyscy zdolni do noszenia broni przejdą odpowiednie przeszkolenie. A jeśli chodzi o wasze domy i pola, to i tak ich nie utrzymacie. Przyjmijcie, że je utracicie do czasu, aż Zanthor nie zostanie pokonany, zbudujcie nowe w tajemnicy, a stare wydajcie na pastwę płomieni, aby uniemożliwić korzystanie z nich siłom Dworu Kondora.

— Łatwo to mówić bezdomnemu włóczędze — warknął młodzieniec.

— Łatwo czy trudno, ja podaję tylko fakty. Straty są nieuniknione. Do was należy podjęcie decyzji, czy będziecie działać na rzecz nieprzyjaciela, czy przeciw niemu.

— Uspokój się, Allranie — powiedział stanowczo Luroc, uprzedzając ripostę ze strony młodego oficera. — Powiedziałeś, że możesz nas poprowadzić, kapitanie A Murdock. Czy jesteś w stanie to zrobić? Do walki i kierowania wierzchowcem, potrzeba dwóch zdrowych rąk.

Agent czasu zachnął się na te słowa. Spojrzał na ręce, które trzymał przed sobą, na stole. Lewa pokryta była strasznymi bliznami. W społeczeństwie, które dysponowało prymitywną medycyną, takie oparzenia spowodowałyby zapewne amputację dłoni.

Podniósł ramię, tak żeby każdy mógł je widzieć, i zacisnął kilka razy palce.

— Nadal są sprawne — powiedział do tona.

Eveleen Riordan uniosła głowę.

— Po mężu, który miał odwagę włożyć rękę w ogień, by nie pozwolić wrogowi zawładnąć swoją wolą, można się spodziewać, że będzie miał dość siły, by tą ręką władać. Królowa Życia widać pobłogosławiła mu, wysyłając uzdrowiciela, który potrafił uratować jego dłoń.

Gordon pomyślał, że to dobry ruch. Ukazywał on Rossa jako człowieka odznaczającego się wielkim hartem ducha, a zarazem zamykał usta tym, którzy chcieliby dociekać, jak to się stało, że najemnik w stopniu kapitana na dłuższy czas podjął się pełnić mało intratną i nudną funkcję ochroniarza wędrownego uczonego. Wdzięczność za wyleczenie ręki — przysługę graniczącą z cudem — musiała być bardziej zobowiązująca niż jakakolwiek przysięga. Eveleen przedstawiała się jako pierwszy oficer Murdocka, zobowiązana do pozostawania pod jego komendą bez względu na to, czy dowodzi kompanią, do czego upoważniał go jego tytuł, czy nie.

I Loran nadal był zachmurzony.

— Żądasz od nas wiele, a gwarancją są tylko wasze słowa, kapitanie.

— Stosując się do jego rad, możesz tylko zyskać — powiedział łagodnie Ashe. Te słowa, jak przewidywał, poruszyły pozostałych.

— Jakże to, uzdrowicielu?

— Jeśli ostrzeżenia ziszczą się, a obawiam się albo raczej jestem pewien, że tak będzie, uchronisz swoich ludzi, swoje stada, zbiory i nieruchomości. Nie dość, że ocalisz własnych wojowników, to jeszcze zwiększysz kilkakrotnie ich liczbę i tak rozstawisz oddziały, że będą w stanie pokonać wroga.

— To prawda — odparł drwiącym tonem Dominiamin — ale jeśli hordy najemników, o których mówicie, okażą się mrzonką, stanę się niezłym pośmiewiskiem dla połowy domen na tej wyspie.

— Przeciwnie, tonie I Loranie. Twój zysk nadal będzie ogromny. Każdy, kto będzie się z ciebie śmiał, okaże się durniem. — Archeolog odchylił się do tyłu, kładąc ręce przed sobą. Ross uśmiechnął się lekko rozpoznając przeblysłk jego starych kupieckich chwytów... — W najgorszym przypadku zbierzesz podwójne plony i założysz pola oraz gospodarstwa na wyżynach, łącznie z niezbędnymi domostwami i budynkami gospodarczymi. Jeśli zechcesz je wykorzystać, choćby tylko dla wypasu

bydła, to bez trudu znajdziesz rodziny chętne do ich zasiedlenia.

Ashe spoważniał.

— Rzeczą mniej konkretną, choć może nawet ważniejszą jest fakt, bez względu na to, czy się mylimy, czy nie, że zwiążesz ze sobą swoich ludzi lojalnością tak silną, że będą gotowi rzucić się dla ciebie w ogień. Bo przecież to ty zatroszczysz się o nich, zanim niebezpieczeństwo grożące Krainie Szafiru zdoła się w pełni skryształizować.

Luroc pokiwał głową. Znów utkwiał wzrok w Murdocku.

— Nauczysz moich ludzi, mężczyzn, kobiety i dzieci Krainy Szafiru, jak prowadzić tak dziwny rodzaj wojny?

Agent zacisnął usta, gdyż nagle przypomniał sobie historię Terry i jej niezliczone pokolenia małych istot zabijanych w nie kończących się konfliktach.

— Tylko dorosłych — odparł trochę zbyt ostro. — Pozostałych zostawmy w spokoju.

To nie była przemyślana wypowiedź, ale poczuł zmianę i jakieś ciepło wśród otaczających go. To nie byli ludzie dążący do wojny, nawet ci spośród nich, którzy służyli w lokalnym garnizonie. Chcieli tylko zajmować się swoimi sprawami, bronić swojej własności i spodobało im się, że ten dziwny wojownik troszczy się o ich dzieci, że chce je uchronić, jak tylko się da, przed tym, co jego zdaniem wkrótce nadejdzie.

— Pokażę wam, jaki rodzaj walki mam na myśli. Porucznik kadet Riordan zajmie się podstawami nauki posługiwania się bronią.

To ostatnie stwierdzenie przyjęte zostało z pełnymi niedowierzania spojrzeniami. Nie tyle jej płeć wywołała tę reakcję... nikt, kto zostawał najemnikiem, nie byłby w stanie dojść do jej rangi, a nawet, po prostu przeżyć, jeśli by nie potrafił posługiwać się narzędziami swojego zawodu... Chodziło po prostu o jej wzrost. Lud Dominionu był rośli. Wszyscy byli wysocy, mocno i proporcjonalnie umięśnieni, masywnej budowy ciała. Wśród nich Gordon i on wyglądali zaledwie na podrostków. Eveleen Riordan zaś wyglądała jak młoda dziewczyna, która dopiero stoi na progu kobiecości. Nie mógł winić tych ludzi, że — najwyraźniej — wątpili w jej umiejętności.

Riordan doszła do tych samych wniosków. Instruktorka walki uśmiechnęła się do Luroca.

— Uczyłam posługiwania się bronią — wyjaśniła — więc to logiczny wybór, bym teraz instruowała początkujących. Będę zresztą uczyła twoich rolników i rzemieślników. Żołnierze z garnizonu wiedzą, jak posługiwać się hakiem i mieczem, i nie ma potrzeby, aby przychodzili do mnie. — Przerwała, jakby nagle przyszło jej coś do głowy. — Chyba, że chcieliby nauczyć się innych technik walki, którymi my dysponujemy. Przybывamy z daleka i możemy pokazać rzeczy nieznane twoim wojownikom.

Murdock przyglądał jej się w zamyśleniu. Przyszło mu na myśl, że Eveleen większość swoich bitew stoczyła właśnie w ten sposób — przy pomocy dyplomacji, czasem okraszanej nieśmiałością, a nawet pewną rezerwą. Tego nauczył się od niej. Nie zyskuje się przyjaciół i sojuszników, odzierając ich z godności. Jeszcze raz podjął dyskusję:

— Pomijając jej wcześniejsze doświadczenia, chcę, żeby to właśnie porucznik Riordan zajęła się szkoleniem. Twój lud nawet jeśli uzyska jakąś techniczną sprawność w posługiwaniu się bronią, nie uwierzy, że będzie umiał stawić czoła zahartowanemu najemnikom. Mała i szczupła Eveleen stanowić będzie żywy przykład tego, co można osiągnąć, nawet jeśli nie dysponuje się wielką siłą i wzrostem. Mam nadzieję, że lud Krainy Szafiru będzie umiał wyciągnąć z tego wnioski dla siebie.

Agent odchylił się do tyłu tak, jak wcześniej zrobił to Gordon.

— Ja wiem, jakimi umiejętnościami ona dysponuje, ale wy macie prawo się o tym

przekonać. Pójdźmy na strzelnicę i pozwólmy jej posłać kilka strzał do celu.

Allran A Aldar zachmurzył się.

— Chcesz, by zmierzyła się z mymi ludźmi?

— Nie, tylko żeby pokazała, że umie strzelać.

Eveleen zwróciła się do dowódcy.

— Jaki miałyby być cel tych zawodów, poruczniku? — zapytała. — Nie widzę potrzeby współzawodniczenia z twoimi najlepszymi ludźmi. Ci, których miałabym w przyszłości uczyć, są przecież nowicjuszami. Dlaczego miałabym chcieć pokazać, że umiem mniej od nich? To z pewnością nie przyczyniłoby się do wzrostu ich zaufania.

— To prawda — zgodził się Luroc. Wstał. — Myślę jednak, że nie tylko ja chciałbym zobaczyć, co potrafisz. — Rozkazał jednemu ze strażników, by przygotowano cel dla niezwyklej wojowniczkii. Nie było sensu rozkazywać, by przyniósł także łuk i strzały, bo miała własne, do których była przyzwyczajona, i cudzych nie wzięłaby do ręki.

Ashe podszedł do Rossa.

— Czy to konieczne? — zapytał ściszym głosem.

— Tak.

Murdock lekko odwrócił głowę, żeby ukryć uśmiech. Przynajmniej raz poczuł się starszy i stosunkowo bardziej doświadczony. Gordon był bardzo mądrym i otwartym człowiekiem. On, Ross Murdock, nie aspirował do takiego miana, pamiętał jednak, jak wraz z innymi agentami czasu został przedstawiony Eveleen Riordan. Byli zgraną paczką tępołowych młodych ogierów i gdyby wiedzieli, z kim mają do czynienia, nie wyśmiewaliby się z niej otwarcie.

Instruktorka walki wydawała się być wtedy całkowicie nieświadoma ich niechęci, ale wiedziała dobrze, że mają prawo poznać jej umiejętności, zanim zaczną ich uczyć. Postąpiła teraz podobnie wobec tona Krainy Szafiru. Wtedy, jako że znajdowali się na strzelnicy dla broni krótkiej, powiedziała, że chociaż współczesna broń nie jest jej specjalnością, wystrzela magazynek, kiedy oni skończą.

Pistolety i rewolwery znane były z tego, że na dalszy dystans tracą na celności. Wszyscy ćwiczący usiali tarcze strzelnicze otworami, większość z nich miała nieduży rozrzut. Wiele było złośliwych uśmiezków, kiedy kobieta zajęła miejsce i sprawdziła pistolet.

Poczucie wyższości opuściło Rossa, gdy uniosła broń oburącz. Trzymała ją poziomo, a nie pionowo jak pozostali.

Strzeliła. Odrzut szarpnął pistoletem w bok, znów wycelowała i strzelała, dopóki miała naboje w magazynku.

Oczom widzów nie ukazała się powierzchnia popstrzona otworkami po kulach. Była tylko jedna wielka dziura w samym środku tarczy. Wszystkie trzy kule trafiły precyzyjnie w sam środek!

Okazało się, że ojciec Eveleen był w wojsku sierżantem, człowiekiem o przestarzałych poglądach. Uważał, że jego obowiązkiem jest nauczyć swoje dzieci wszystkiego, co dotyczy jego zawodu — zarówno małą córeczkę, jak i rosnącego syna.

Murdock pokręcił głowę. Dobrze oceniała swoje możliwości. Jej znajomość zaawansowanej techniki zabijania była niczym w porównaniu z tym, co była w stanie zrobić, posługując się archaiczną bronią oraz walką wręcz.

Po tym pokazie nie miała więcej problemów, kiedy zaczęła szkolenie i okazała się wyśmienitą nauczycielką. Ale wielu mężczyzn trzymało się od niej z daleka, jeśli chodzi o stosunki prywatne nie związane z tym, czego wymagał od nich Projekt. Ross nie należał do tej kategorii. Wkrótce polubił tę drobną kobietę, szczególnie gdy

dowiedział się, że swój zaskakujący czasem zasób wiedzy na różne dziwne tematy zawdzięczała obserwacji i lekturom, którym oddawała się poza służbą, a nie na lekcjach w jakimś modnym college'u...

Dotarli na strzelnicę. Zgromadził się tam już tłumek. Agent czasu spostrzegł, że ludzi było tu więcej niż w sali obrad. Wieść o pokazie musiała się roznieść.

Eveleen przygotowywała swój łuk. Murdock czekał w napięciu. Miał nadzieję, że właściwie wyczuł miejscowych i że ich reakcja na biegłość Eveleen w obchodzeniu się z bronią będzie podobna do reakcji uczniów na jej rodzimej planecie.

Miał też nadzieję, że podczas testu nie powinie jej się noga. Nie było łatwo obchodzić się z tymi dziwnie wygiętymi łukami, które w sprawnych rękach zaskakiwały celnością i zasięgiem. Zajęło im sporo czasu opanowanie tej broni.

Pierwsza strzała wyleciała i trafiła w cel. Potem następna i jeszcze jedna. Murdock roześmiał się z ulgą na widok biegłości swojej towarzyszki.

Ostatnia strzała drżała w pęku wcześniej wystrzelonych. Przez chwilę nie było reakcji, potem widzowie wydali głośny, entuzjastyczny okrzyk.

Allran A Aldar zbliżył się do Eveleen, gdy miała zamiar podejść do tarczy, żeby wyjąć strzały.

— Poruczniku kadecie Riordan? Odwróciła się szybko.

— Tak, poruczniku.

— Ta sztuczka z jednoczesnym naciąganiem cięciwy i celowaniem...

— Chciałbyś się tego nauczyć?

— Chciałbym — odparł. — I chciałbym, żeby moi podwładni też się tego nauczyli.

Myślę, że ojciec będzie chciał, żeby nauczył się tego cały garnizon.

Eveleen uśmiechnęła się szeroko.

— Zrobię to z największą przyjemnością.

## 7.

Ross Murdock poklepał swoją łanię po szyi. Nieuchronne w ostatnich minutach oczekiwania napięcie czuł zarówno wierzchowiec, jak i jeździec i dla obojga było to równie trudne do zniesienia.

Jego łania, którą nazwał Lady Gay, nie zdradziła ich rzecz jasna ani parsknięciem, ani niespodziewanym poruszeniem. Była równie dobrze przystosowana do wojny, którą prowadzili, jak sam agent czasu. Jego blade oczy nabrały surowego wyrazu. Po roku takiego życia wszyscy powinni być do niej przystosowani.

Nieprzyjaciel był jeszcze dość daleko. Ross pozwolił sobie na wspomnienia i wrócił pamięcią do poranka, kiedy długo oczekiwana konfrontacja w końcu nadeszła.

Garnizon Krainy Szafiru jechał z wielką pompą i paradą, przypuszczalnie aby stawić czoła nadciągającym siłom Dworu Kondora, tak jak czynili to wszyscy ich pobici sąsiedzi, z tym że ich armia była znacznie większa i lepiej przygotowana od tamtych.

Wiedzieli, że jadana spotkanie niebezpieczeństwa. Posuwali się ostrożnie. Dobrze wyszkoleni zwiadowcy przetrząsali okolicę. Dotarli wreszcie na miejsce, które Zanthor I Yoroc wybrał jako miejsce ich zagłady. Wiedzieli, że otoczony wzgórzami płaskowyż jest zasadzką. Wiedzieli też, że muszą w nią wpaść, ale nie dać się złapać. Obrońcy udali, że chwycili przynętę, którą była własna armia Dworu Kondora ustawiona u podnóża długiego, niskiego pagórka, ale nie zaangażowali się w pełni w walkę i kiedy uprzednio ukryci najemnicy nagle wyłonili się zza wzniesienia, pod którym stała armia Zanthora, ludzie z Krainy Szafiru nagle odstępili i w pozornym nieładzie zaczęli uciekać na południe. Zwycięscy — jak im się zdawało — wrogowie rzucili się w pościg.

Pogoń trwała pełne dwie godziny, więcej niż potrzeba było na ( to, żeby się dobrze ukryć. Przez cały czas liczba uciekających topniała, aż wreszcie ostatni wojownicy zniknęli wśród dzikich wzgórz tak niespodziewanie, jakby Foanna z Hawaiki teleportowały ich na inną planetę.

Ton Dworu Kondora nie pofatygował się, by wydać rozkaz przeszukania okolicy. Uznał, że ma do czynienia z obszarpaną bandą zdemoralizowanych ludzi, którzy nie stanowią już dla niego żadnego niebezpieczeństwa. Zawrócił armię, żeby objąć w posiadanie dwór i pola uprawne Krainy Szafiru.

Dotarł do siedziby Luroc I Lorana, lecz tam, gdzie były pastwiska i rosły plony, ujrzał tylko dymiące ruiny i tłący się popiół. Powszechność zniszczeń i konsekwencja, z jaką ich dokonano, zmroziła mu serce w piersi, gdyż zrozumiał, jaki ogień płonie w duszach jego nieprzejednanych przeciwników.

Dreszcz momentalnie zniknął, ale nie zniknęła świadomość, że posunięcie przeciwnika wymusiło zmiany w jego planach. Utrata zaopatrzenia, które spodziewał się zdobyć w Krainie Szafiru, przyniosła kres nadziei na przebicie się na południe i podbój tamtejszych domen w ciągu tego sezonu. Pora była późna i minął już czas, kiedy rozsądny dowódca mógł pozwolić sobie na utrzymanie w polu dużej ilości żołnierzy. Podczas długich zimowych miesięcy nie będzie w stanie zaopatrywać swoich oddziałów przez Korytarz, a nie chciał zdawać się na hit szczęścia i liczyć na to, że uda mu się wystarczająco szybko zdobyć zapasy, które pozwolą mu wyżywić armię.

— Nie ma to realnego wpływu na wynik wojny — pomyślał w końcu i machnął na to ręką. — Tyle że zwłoka jest irytująca no i trzeba będzie żywić najemników przez całą zimę. Wróci wiosną, wykończy wszystkich zbiegów, którzy się jeszcze nie

wykrwawili na śmierć lub nie padli z głodu na swoich jałowych urwiskach, a z tymi, którzy zbiegli na południe, rozprawi się mieczem nieco później. Tymczasem udało mu się osiągnąć najpilniejsze cele.

Zanthora I Yoroca nigdy specjalnie nie interesowała ta prymitywna kraina, którą mieszkańcy Krainy Szafiru nazywali Nizinami. Sama w sobie nie była godnym celem, ale zdobycie jej dawało kontrolę nad Korytarzem, jedynym przejściem przez góry, które pozwalało na dotarcie do bogatych południowych domen. Pomiedzy nim a tą obfitą zdobyczą był tylko czas. Trzeba poczekać te kilka miesięcy do wiosny — marzył Zanthor w tej godzinie triumfu.

Usta Terranina wygięły się w chłodnym uśmiechu. Zanthor poważnie się mylił w ocenie sytuacji obrońców. Kraina Szafiru nie głodowała. Daleko jej było do tego. Zebrano już plony zarówno na nizinach, jak i na wyżynach i były to plony obfite. A zwierzęta, ludzie, i ich zapasy mieli dobre schronienie przed ostrą górską zimą. Teraz musieli tylko zaplanować odwet i przygotować się do jego wykonania. Kiedy tylko zakończyli działania bojowe i przenieśli nielicznych rannych w bezpieczne miejsce, Murdock podjął szkolenie swojej armii w zakresie tego nowego rodzaju wojny. Był to styl walki, który do tego stopnia wykorzystywał surowy krajobraz, że stał się on prawdziwym sprzymierzeńcem żołnierzy, a nie tylko teatrem działań wojennych. Jego wartość szybko została doceniona, a żołnierze z garnizonu, podobnie jak i reszta ludności zamieszkująca domenę, z łatwością do niego przywykli.

Ku uldze Terran kobiety Krainy Szafiru odpowiedziały na wezwanie i stanęły w potrzebie u boku mężczyzn. Większość okazała się równie dobra, jak oni. Kiedy dochodziło do walki, biły się z determinacją i zimną furią, która zaskoczyła nie tylko ich własnych mężczyzn, lecz także Terran.

Dowodzenie w wojnie należało całkowicie do Murdocka. W dniu udaremnionej zdrady zdarzyło się jedno straszne nieszczęście — Luroc został ugodzony strzałą w plecy i runął na ziemię ze swego stojącego dęba wierzchowca. To właśnie Ross był tym, który uniósł z pola zranionego władcę i wywiózł w bezpieczne miejsce.

Ton wylizał się z ran, lecz z ich powodu pozostał na zawsze kaleką. Stwierdził, że sam nie będzie w stanie poprowadzić swoich hufców, i w uznaniu zasług, jakie oficer najemników poniósł dla dobra jego ludu, formalnie złożył w jego ręce dowodzenie wojskiem.

Zanthor bardzo szybko miał się przekonać, że nie ma do czynienia z godną pożałowania garstką obszarpańców, ale z armią silnych, zaprawionych w sztuce wojennej wojowników, którzy nie tylko bronili ze śmiertelną skutecznością swoich twierdz, ale tak skutecznie atakowali oddziały wroga przemierzające ich kraj, że najeźdźcy mogli poruszać się po Krainie Szafiru tylko w wielkich, doskonale uzbrojonych kolumnach, a i te nie były w stanie przejść przez domenę, nie odnosząc poważnych strat zadawanych im przez oddziały pod wodzą Ognistej Ręki.

Ross znów się uśmiechnął. To imię szybko do niego przylgnęło. Mówili tak o nim zarówno jego towarzysze broni, jak i ci, przeciw którym walczył. Z początku trochę go to kępowało, ale Ashe od razu zaczął podsycać jego legendę i okazało się, że jak zwykle ma rację. Otaczała go legenda w tajemniczy sposób dodająca ducha jego ludziom i zarazem osłabiająca nieprzyjaciół. Zanthor I Yoroc był uzależniony od swoich najemników i cokolwiek ich niepokoiło lub sprawiało, że byli z niego niezadowoleni, działało na korzyść jego przeciwników.

Jeżeli ton Dworu Kondora był zawiedziony w swoich nadziejach całkowitego rozgromienia wojsk Krainy Szafiru, to jeszcze większe rozczarowanie przyniósł fakt, że południowych krain nie udało mu się podbić równie szybko, jak poprzedniego roku północnych sąsiadów. Domeny, które teraz pragnął przyłączyć nie sprzyjały jego wysiłkom jak tamte. Ich władcy nie byli głupi. Zaskoczenie dawało mu na początku



łatwe zwycięstwa, ale ostrzeżeni mieszkańcy Południa nie mieli złudzeń co do swojej nietykalności. Pozornie samobójcze spalenie przez mieszkańców Krainy Szafiru swoich zapasów i zima, która nastąpiła zaraz po tym, dały im cenny czas i kiedy najeźdźcy przybyli, zastali przygotowaną na ich przyjęcie silną konfederację, na której czele stanął zdolny dowódca ton Gurnion I Carlroc z Krainy Wierzb, najpotężniejszej z domen, na które Zanthor patrzył chciwym okiem.

Minęła zima, wiosna i lato od czasu, gdy obie armie zmierzyły się po raz pierwszy. Były to długie miesiące pełne trudów i ciągle nasilającej się przemocy, gdy siły Dworu Kondora i stawiające im opór wojska konfederatów zwały się w okrutnej, totalnej wojnie.

Ton Luroc poszedł za radą agentów czasu i nie pozwolił na formalne zjednoczenie się z konfederacją, czego z początku życzyła sobie większość jego poddanych. Byli zbyt mali, żeby przynieść ; znaczącą pomoc siłom sprzymierzonych, pozwoiliwszy się im połączyć. Przywódcy domeny doszli do wniosku, że lepiej przysłużą się sprawie Południa i swojej własnej, jeśli będą prowadzili wojnę w sposób, którego nauczyli się, zanim jeszcze Dwór Kondora zdradziecko na nich napadł.

Sama ziemia dała im pracę oraz sposobność do zemsty za wszystko, co stracili. Zanthor nie był w stanie uderzyć na Południe, nie przechodząc przez należącą do Krainy Szafiru nizinę i wąską szczelinę Korytarza. Zmuszony był teraz także tą samą drogą przewozić zaopatrzenie dla swojej armii.

Był to dość okazały region, choć mały w stosunku do wszystkich ziem pozostających pod władaniem Luroca. Za duży jednak i zbyt surowy, żeby można go było choć częściowo skutecznie obsadzić garnizonami. Oprócz tego wojownicy I Lorana znali go jak własną kieszeń i cały ten teren był w zasięgu odważnych szybkich jeźdźców działających poza wyżyną.

Dowódca partyzantki nie przepuszczał żadnej nadarzającej się okazji — uderzał na konwoje z zaopatrzeniem podążające na południe i nękał bez ustanku kolumny wroga, zmuszając je, by wycofały się do leżących na pomocy baz albo pospiesznie dołączyły do sił głównych na południu.

Nawet agenci czasu nie byli z początku świadomi, jak niezwykle istotne znaczenie miało zastosowanie ich taktyki.

Obie wielkie armie rozpoczęły swój ą krwawą walkę, dysponując mniej więcej wyrównanymi siłami zarówno jeśli chodzi o ilość ludzi, jak i o zasoby, ale z upływem czasu Zanthorowi I Yorokowi coraz trudniej było utrzymać w odpowiedniej sile swoje wojska. Znacznie trudniej niż jego przeciwnikom.

Domeny południowe były bogate i dobrze zarządzane, a ci, którzy nie uczestniczyli bezpośrednio w konflikcie, chętnie oferowali swoją pomoc, obawiając się losu, jaki może im przypaść w udziale, jeśli konfederacja poniesie klęskę.

Imperium Dworu Kondora nie stanowiło równie solidnej bazy. Domena była bogata, ale sama nie mogła udźwignąć ogromnego obciążenia wojną prowadzoną przez swego tona. Inne domeny, które Zanthor zdobył, tym bardziej nie były w stanie temu poddać. Zostały splądrowane podczas pierwszych gwałtownych tygodni wojny, kiedy łatwe zwycięstwo uderzało do głów i nikt nie myślał o ewentualnych późniejszych trudnościach. Zanthor gorzko teraz żałował takiego marnotrawstwa, ale jego skutków nie da się odrobić, przynajmniej do czasu, gdy zapanuje pokój i będzie można poświęcić czas oraz środki na odbudowę.

Jego własne posiadłości zaspokajały zaledwie jedną trzecią jego potrzeb i Zanthor był zmuszony importować resztę. Z początku nie było to trudne, gdyż nawet odlegli sąsiedzi nie chcieli narażać się na jego gniew, ale kiedy perspektywa zwycięstwa na południu oddalała się, pomoc stawała się coraz bardziej skąpa i udzielano jej z coraz większym ociąganiem. Musiał słono płacić, żeby zaspokoić potrzeby swojej armii.

Co by się nie działo, potrzeby te musiały być zaspokajane, i to szybko. Związał ze sobą najemników szczerą zapłatą w złocie i obietnicą bogatych włości na południu, ale nie byli chętni znosić dla niego głodu ani mrozu, tym bardziej że nagroda była obecnie równie daleka, jak w dniu, w którym składali przed nim przysięgę. Częste i udane wypadki sił Krainy Szafiru także podkopywały ich morale, a każdy spalony albo skradziony wóz, każdy uprowadzony jelen, który potem służył przeciwko nim, musiały być szybko zastąpione nowymi bez względu na trudności i koszty.

Do tej pory I Yoroc w większości dawał sobie radę z tym wyzwaniem, ale przyszły czas, kiedy najemnicy byli mniej niż usatysfakcjonowani, a każdy sukces ludzi Ognistej Ręki zmniejszał ich posłuszeństwo i dyscyplinę wojskową, a coraz częściej także ich chęć do walki.

Ciągłe ataki partyzantów sprawiały, że wobec groźby całkowitej utraty kontroli nad tym obszarem Zanthor zmuszony był do odciągania coraz większej liczby ludzi z frontu oraz wysyłania ich na patrole i do pilnowania konwojów. Zaczynało mu dotkliwie brakować żołnierzy do walki z głównym wrogiem. A tymczasem nieprzyjaciel doskonale rozumiał, na jakie trudności napotyka Zanthor, i wzmagał nacisk, żeby tym lepiej to wykorzystać.

Murdock wyprostował się. To już wkrótce.

Rozejrzał się. Gordon był po lewej, a Eveleen po prawej. Allran, drugi w hierarchii po Eveleen porucznik dominiański, jeden z tych, którzy zwyczajowo jeździli z nimi, czekał w pewnym oddaleniu, poza zasięgiem jego wzroku.

Murdock skoncentrował się. Jeźdźcy wjechali właśnie na leżące na pomocy niskie wzniesienie.

Przyjrzał im się i szybko policzył. Dwudziestu pięciu, trzydziestu jeźdźców piklujących kilkunastu wielkich zwierząt jucznych. Jechali szybko, ale ostrożnie. Starali się, o ile to możliwe, nie pokazywać swoich sylwetek na tle nieba, ale partyzanci spodziewali się ich nadejścia i wiedzieli, gdzie na nich czekać.

Ross spojrzął na Ashe'a, ten pochwycił jego spojrzenie i uniósł dłoń w starym terrańskim geście zwycięstwa. Zwiadowcy nie zawiedli. Wrogowie jadą prosto na nich, trzeba będzie tylko trochę zmienić pozycję, żeby stanąć z nimi do walki.

Agent poczuł znajomy napływ fali strachu, ale nie dał po sobie poznać, że się boi, gdy unosił do ust róg wojenny. Było już ciemno, toteż światło słońca ani księżycy nie odbijało się od okuć.

Najeźdźcy zdawali się zbliżać z męczącą powolnością, jakby poruszali się w wodzie, chociaż wiedział, że w rzeczywistości jechali w szybkim tempie.

Trzydziestu jeźdźców to oddział mały, ale dzięki temu szybszy i łatwiej mogący się ukryć niż większa jednostka. Mieli szczęście, że go wykryli. Przepuścili już wiele takich konwojów, odkąd nieprzyjaciel wpadł na pomysł, żeby tak je organizować.

Zanthor na pewno nie był głupcem. Przeanalizował taktykę swoich przeciwników i szybko zrozumiał, że na dłuższą metę więcej zapasów dotrze do celu, jeśli konwoje będą mniejsze. Wielkie kolumny, choć nie można ich było zniszczyć pojedynczym atakiem, były z natury powolne, dobrze widoczne i stawały się celem ataków podjazdowych na całej długości trasy bez względu na to, ilu strażników ich pilnowało.

Murdock wsiadł na jelenia, a inni poszli w jego siady. Nie wydawali żadnego dźwięku i nie wykonywali gwałtownych ruchów, które mogliby dostrzec wojownicy z kolumny znajdującej się na stoku, poniżej ich stanowisk.

Dowódca partyzantów nadal uważnie przyglądał się kolumnie, patrzył, jak poszczególni jeźdźcy dosiadają wierzchowców.

Po kilku minutach, zadowolony, skinął głową. Byli ostrożni, ale nie bardzo. Nie zauważą niebezpieczeństwa do samego końca.

Oba oddziały były prawie równe liczbą. Tamtych było trzydziestu, ich — dwudziestu siedmiu, ale jeśli dodać do tego czynnik zaskoczenia i łut szczęścia, to — Murdock był tego pewien — szybko pokonają wrogów, zanim tamci się zorientują i rozpoczną regularną, kosztowną dla obu stron walkę.

Kolumna nadal posuwała się pod górę i wreszcie znalazła się na wysokości zasadzki.

Partyzanci zastygli w bezruchu. W końcu kolumna znalazła się tuż obok nich. Wtedy Ross przytknął róg do ust.

Zanim róg zamilkł, na wojowników Domu Kondora spadł grad strzał.

Tylko niewiele strzał zaszkodziło wrogom. Większość odbiła się od mocnych hełmów i tarcz.

Tak było zazwyczaj podczas zasadzek i Murdock nie był rozczarowany. Jego łucznicy mierzyli wysoko, żeby nie ranić cennych jeleni. Ich celem było raczej zdezorientowanie ofiar przed rozpoczęciem bitwy niż położenie ich od razu trupem. W innych okolicznościach, gdyby mieli do czynienia z innym celem, jego łucznicy byłiby w stanie zadać nieprzyjacielowi straszliwe straty, czego już niejednokrotnie dokonywali w ciągu ostatnich miesięcy.

Wysłano tylko jedną salwę. Zanim najemnicy zdążyli się otrząsnąć z zaskoczenia i zaprowadzić porządek w swoich szeregach, nastąpiła szarża.

Próbowali się bronić. Też mieli łuki i szybko je napięli, ale cel błyskawicznie się przemieszczał i nie mogli już oddać drugiej salwy.

Agent czasu galopował w stronę kolumny wroga, gdy poczuł uderzenie w prawy rękaw. Nie miał nawet czasu, żeby spojrzeć, co się stało. Przed nim stał pierwszy przeciwnik.

Opór przeciw szarżującym wojownikom Krainy Szafiru nie miał szans. Potyczka była ostra, nawet brutalna. Walka trwała kilka minut. Wojownicy Murdocka zwyciężyli.

Pięciu wrogów zabito, ośmiu było rannych, w tym jeden ciężko. Większość pozostałych schwytano wraz z wierzchowcami i zwierzętami jucznymi. Te ostatnie powiązane były liną, żeby łatwiej było je prowadzić, toteż nie rozproszyły się podczas walki. Czterem najemnikom udało się przebić i uciec.

Oddział partyzancki nie odniósł strat, nie licząc lekkiego draśnięcia na rękę jednego z wojowników i równie niegroźnej rany zadanej wierzchowcowi Allrana.

Ponieważ części wrogów udało się uciec, partyzanci nie zwlekali z odwrotem. Zostali tylko trochę dłużej, żeby opatrzyć ciężko rannego jeńca.

Przez następną godzinę jechali szybko i forsownie, aż Ross uznał, że oddalili się wystarczająco od ewentualnej pogoni, i zezwolił na postój.

Oczy płonęły mu, gdy patrzył na owoce zwycięstwa. Dwudziestu sześciu wrogów było w niewoli lub padło trupem, zdobyto ich sprzęt i wierzchowce, nie wspominając o kilkunastu wspaniałych jeleniach pociągowych. Już samo to było obfitym połowem, a jeszcze należało doliczyć pękate paki.

Okazało się, że zawierały bogate łupy. Oddział jechał na front i wioził ze sobą wszystko, co potrzebne jest do przetrwania, zanim nie zostaną przywrócone regularne linie zaopatrzeniowe.

Murdock przyglądał się z satysfakcją, jak po kolei rozładowywane są juczne zwierzęta. Dotrą na linię walki, ale z innej strony niż zamierzali ci, którzy je wysyłali.

Niektórzy z jego towarzyszy, wśród nich Allran, byli mniej zadowoleni z tego, co znaleźli w bagażach.

— Siekane mięso i kukurydza! — utyskiwał dominioński porucznik. — Jadaliśmy już lepiej na koszt Zanthora.

Murdock uśmiechnął się.

— Jego żołnierze też... Nie narzekaj, kolego, Gumion zrobi z tego właściwy użytek.

Eveleen usłyszała tę wymianę zdań i przyłączyła się do rozmowy.

— Nie zwracaj na niego uwagi, kapitanie. On się tylko dąsa, bo zranili jego Sundance.

Ross popatrzył na zwierzę.

— To lekka rana, ale weź łanię sierżanta. To dzielny wierzchowiec i będzie ci dobrze służyć, dopóki twój nie wydobrzeje.

Porucznik skinął głową w podziękowaniu i poszedł odebrać wierzchowca sierżantowi.

Kraina Szafiru nie należała do konfederacji i to, co zdobyli w walce, należało według prawa wojny do nich. Ton Gumion i tak był zaskoczony, że w czasie miesięcy nieformalnego sojuszu zmagający się z wrogiem partyzanci przysyłają mu tyle zapasów i wierzchowców. Tylko wielkoduszność tych ludzi i zrozumienie jego potrzeb sprawiły, że dzielili się z nim łupem.

Eveleen zamyśliła się.

— Ma rację, wiesz. Rzeczywiście zmieniło się zaopatrzenie, które Dwór Kondora wysyła dla swoich armii.

Kiwnął głową.

— Zmienił się rodzaj pożywienia, ale ilość pozostała niezmienną i jakość nadal jest wysoka. Żaden wojownik nie ma prawa narzekać na takie jedzenie.

Ross poczuł, że Eveleen mu się przypatruje. Szukała śladów ran. Wyciągnęła dłoń i palcami poszerzyła rozdarcie pozostawione przez strzałę.

— Dobra koszula, ale wymaga naprawy — skomentowała ironicznie.

— Bardziej niż moje ramię.

Oboje odwrócili się, usłyszawszy cichy gwizd.

— Zobaczmy, co Gordon znalazł — zaproponował kapitan. Poszli razem.

Ashe właśnie otworzył pakunki niesione przez ostatnie ze zwierząt jucznych i najwyraźniej znalazł coś całkowicie nieoczekiwanego.

Terranie zbliżyli się do niego. W rękach miał otwartą torbę. Oczy rozszerzyły się im ze zdumienia. Złoto.

— W innych pakach jest to samo? — zapytał Murdock po chwili milczenia.

— Tak. Nic dziwnego, że biedne zwierzę pozostawało w tyle za innymi. Jest tutaj tego tyle, że można opłacić małą armię.

— Prawdopodobnie dlatego je wieziono — zauważyła Eveleen. — Niektóre z kompanii najemników muszą już być zniecierpliwione.

— Ja też tak to widzę — zgodził się Ross. Uśmiechnął się. — Zdaje się, że dzięki naszej interwencji będą musieli niecierpliwie się trochę dłużej.

W błękitnych oczach Ashe'a pojawiły się iskielki.

— Jak przypuszczam, nie wyślemy tego na południe wraz z resztą łupów?

Murdock udawał kpiąco, że rozważa taką możliwość.

— Myślę, że nie. Tonowi Lurocowi należy się od czasu do czasu jakiś prezencik, żeby ułagodzić jego serce. Poruczniku Riordan, jak myślisz, czy to się nadaje do tego celu?

— Jak najbardziej, Ognista Ręko — odparła, dostosowując się do jego kpiąco-poważnego tonu.

— Doktorze? Myślę, że i ty się zgodzisz?

Ross popatrzył bystro na partnera, bo nie doczekał się odpowiedzi.

— No co, Gordon?

Oczy archeologa patrzyły w dal. Miał zaskoczony wyraz twarzy.

— Przepraszam, Ross — powiedział, wracając myślami do towarzyszy — ale w

tym jest coś dziwnego.

— W zabranii złota? — zapytał zaskoczony.

— Nie. W tym, że to złoto jest w sztabach.

— Łatwiej je transportować — stwierdziła Eveleen. — Ta sama ilość w pierścieniach zajmowałaby znacznie więcej miejsca.

— Tak. W naszych czasach nie kwestionowałbym tego, ale ludzie z epok przedtechnicznych zazwyczaj nie obchodzili się ze złotem w taki sposób. Nosili je na sobie, używali go w charakterze ozdób albo wytapiali z niego monety lub coś w tym rodzaju. Odlewanie złota w obrzydliwe bloki i układanie go jak cegły jest charakterystyczne dla społeczeństw przywiązujących większą wagę do maszyn.

— Na Terrze — powiedział po namyśle Murdock. — Ale pamiętaj, że Zanthor wyprzedza swoje czasy pod wieloma względami. To dlatego udało mu się podbić prawie całą Pomoc i dlatego zająłby całą tę cholerną wyspę, gdybyśmy nie przybyli i nie zepsuli mu zabawy. Uznano by go za geniusza, gdyby skupił się na jakimś szlachetnym celu.

— Myślę, że masz rację — zgodził się archeolog, ale oczy nadal miał nieufne. Wreszcie wzruszył ramionami. — Mam nadzieję, że w końcu dorwiemy Zanthora i Yoroka żywego. Chcę przeprowadzić długą rozmowę w cztery oczy z tym sukinsynem, choćby dla rozszerzenia wiedzy o naszych rodzimych psycholach.

Oddział partyzancki nie zabawił zbyt długo w tym miejscu. Ponownie załadowali zwierzęta juczne, a skrępowanych jeńców przywiązali do ich własnych wierzchowców. Jedyne ciężko rannego umieścili w noszach między dwoma jeleniami. Jego rany były naprawdę ciężkie, ale jeśli udałoby mu się przetrwać podróż na południe, to na miejscu otrzymałby pomoc medyczną, a potem, wraz z kompanami, byłby traktowany lepiej niż konfederaci albo obywatele Krainy Szafiru, którzy wpadli w ręce Zanthora.

Ross popędzał ludzi, wystawiając na próbę ciężko objuczone zwierzęta, dopóki nie dotarli do podnóża gór, do miejsca, gdzie nie obawiał się przybycia nikogo obcego. Tam oddział rozdzielił się. Większość pojechała w charakterze straży z jeńcami, reszta wróciła do bazy, zabierając ze sobą złoto, juczne zwierzęta, łanię, którą wziął sobie Allran, i bojowego wierzchowca, pięknego młodego jelenia, który przyciągnął uwagę Rossa.

## 8.

Kwarta władcy domeny była większa od innych kwater w obozie i odznaczała się znacznie większym luksusem. Sporą część podłogi pokrywały futra, a ze ścian zwisały wyprawione skóry i tkaniny będące zarówno dekoracją, jak i osłoną wnętrza składającego się z dwóch pomieszczeń — wielkiej sali obrad i mniejszej służącej do spania. Meble, choć nieliczne ze względu na konieczność utrzymania mobilności obozu, były dobrej jakości. Znajdowało się wśród nich kilka wyściełanych wygodnych krzesel.

Sam Luroc był nadal przystojnym mężczyzną: wysoki, o szerokich ramionach, grubo ciosanych, ale regularnych rysach płaskiej twarzy i spokojnych czarnych oczach, które zdawały się czytać w myślach rozmówców. Włosy, nieco ciemniejsze niż u większości jego ludzi, miał przyprószone siwizną.

Widać było po nim siłę umysłu i woli, tę siłę, która zgodnie z naturą szła w parze z potężnym ciałem. Wojna jednak nie była zajęciem dla niego, bo miał niewielki pożytek ze swych nóg. Bez pomocy nie mógł zrobić więcej niż kilka kroków, jeśli to powolne, bolesne powłóczenie nogami można w ogóle było nazwać chodzeniem. Żeby wyjść na zewnątrz, musiał podpierać się kulami albo zasiadać na krześle niesionym przez wojowników. Nawet dosiadanie jelenia było dla niego męczarnią, ale mógł jeździć, jeśli naprawdę wymagała tego wyższa konieczność, taka jak na przykład obrady konfederacji tonów i dowódców ich wojsk, z których właśnie wrócił.

Kiedy wszedł Murdock, ton siedział przy ogniu, bo dzień był chłodny jak na początek jesieni, a unieruchomienie sprawiało, że Luroc mocniej odczuwał zimno.

Wpatrywał się w nowo przybyłego ze skupieniem, a jego uwadze nie uszedł żaden szczegół wyglądu tego człowieka, który tak bardzo różnił się od jego własnych pobratymców. Nagle odprężył się, uznając, że ostami wypad partyzancki zakończył się pomyślnie, tak jak mu już wcześniej doniesiono.

Odważemnił pozdrowienie i poprosił młodzieńca, aby usiadł obok niego.

Ross natychmiast posłuchał. Wiedział, że ton nie lubi spoglądać do góry na swego rozmówcę, zwłaszcza gdy rozmowa miała być dłuższa.

W innej sytuacji natychmiast zaczęłby zdawać sprawozdanie z przebiegu ostatniej misji, ale tym razem przyjrzał się najpierw Lurocowi dokładnie, z troską. Podróż na południe i narada musiały być dla niego niezwykle wyczerpujące.

— Jesteś zmęczony, tonie. To, co mam do powiedzenia, może poczekać do jutra.

Ross zaczynał już wstawać, gdy władca Krainy Szafiru uniósł rękę.

— Zostań, kapitanie.

Czarne oczy przeszły go nagle na wylot.

— Czy uważasz, że to dla ciebie hańba wobec twoich kolegów po fachu prowadzić taki rodzaj wojny, I Loranie? — zapytał go bez ogródek.

— Z takimi sukcesami? Jasne, że nie! Dominionin uśmiechnął się na to zapewnienie.

— To dobrze, bo Gurnion wynajął najemników, wielki oddział, pod dowództwem Jerana A Murdoca.

Terranin szybko pomyślał, przypominając sobie wszystko, czego dowiedział się podczas przygotowań do tej misji. Co wie o tym komendancie...

Nagle przypomniał sobie i uniósł brwi. Na całym kontynencie nie było większej ani lepszej siły do wynajęcia — i droższej.

— W każdym razie mogą sobie na niego pozwolić najwyżej na jakiś rok, dwa lata wojny — zauważył.

Luroc przyglądał mu się ze zdziwieniem.

— Jakież powiązania rodzinne?

— Jeśli, to bardzo odległe... Nie, w mojej rodzinie nie było moźnych ani nawet średniozamoźnych — odpowiedział zgodnie z prawdą. Pytanie było zasadne, jeśli wziąć pod uwagę podobieństwo w brzmieniu nazwisk i ten sam zawód. Ta bliskość brzmienia imion terrańskich i dominiońskich sprawiała, że agenci czasu mogli sobie pozwolić na przybieranie pseudonimów bardzo zbliźonych do ich prawdziwych nazwisk. Tak było bezpieczniej, gdyby pod wpływem stresu albo choroby zdradzili przypadkiem, jak naprawdę się nazywają.

Murdock spochmurniał.

— Noszę nazwisko mego ojca i imię, które nadał mi przy moich narodzinach. Jeśli wódz naczelny uważa, że stanowi to problem...

— Ależ nie — zapewnił pospiesznie gospodarz. Jego głos złagodniał. — Zazwyczaj tak szybko się nie obrażasz, przyjacielu.

— Zachowałem się jak dureń — usprawiedliwiał się Murdock. — Przepraszam, tonie I Loranie.

Władca zachichotał.

— Przynajmniej potrafisz przeproszać.

Na stoliku, pod ręką tona, stała butelka wina. Luroc podniósł ją i wręczył rozmówcy wraz z rogowymi kubkami umieszczonymi dla wygody tuż obok.

— Dalej, wypij to, żeby zwilżyć sobie gardło, i złóż mi sprawozdanie. To był podobno wyjątkowo obfity połów i chciałbym poznać szczegóły.

Murdock z ochotą spełnił prośbę. Sprawozdanie zakończył własnymi przemyśleniami na temat znaczenia tego wszystkiego, co widzieli i zdobyli.

— Mówisz o zwycięstwie — stwierdził I Loran, kiedy tamten skończył. — Czy uważasz, że nadchodzi?

Terranin kiwnął głową.

— Tak. Z nikim nie dzielę się swoimi poboźnymi życzeniami ani nadzieją, zwłaszcza z tobą. Uważam, że w wojnie z Dworem Kondora nastąpił przełom. Jeśli nie padniemy ofiarą jakiegoś koszmarnego zbiegu okoliczności albo sami nie popełnimy niewybaczalnego błędu, to zwyciężymy.

— Nie wspominałeś o tym wcześniej.

— Nie. Dopiero zdobycie tego złota sprawiło, że otwarcie mówię o tym, o czym wcześniej jedynie myślałem. Najemnikom w czasie wyjątkowo długich kampanii wypłaca się czasami nieznaczną część żołdu, ale nigdy nie są to aż tak wielkie pieniądze. — Uśmiechnął się ponuro. — Powód jest jeden — przewożenie wielkich sum jest zbyt niebezpieczne.

— Ale Zanthor podjął to ryzyko. Pokiwał głową.

— Żeby uspokoić swoje wojska, jak sądzę. Jest bardzo uzależniony od wsparcia ze strony swoich najemników i musi zatrzymać przy sobie tych, którzy są z nim teraz. Wie, że nowych nie uda mu się zdobyć.

Starszy mężczyzna zmarszczył brwi.

— Jak dotąd nie miał kłopotów z zaciągiem wojsk pod swoje sztandary.

— To już przeszłość. Nadal będzie sprowadzał kompanie, pojedynczych ludzi, ale nie będzie mógł zwerbować pokaźniejszej armii. Nie starczy mu złota ani ziemi na nagrody, nawet gdyby odniósł całkowite zwycięstwo, a ono jakoś nie chce nadejść. Ci, których ma przy sobie, uzyskają zapewne prawo do nieograniczonego plądrowania wszelkich domen, które ma zamiar zdobyć i które chciałby ochronić. To, co zostanie, po prostu nie wystarczy na werbunek nowych sił dla prowadzenia żmudnej kampanii, której końca nie widać.

— A więc z tego samego powodu jego obecni dowódcy i ich ludzie zaczynają już

być zmęczeni walką i ciągłymi obietnicami?

— Właśnie. Chyba że wyciągam niewłaściwe wnioski, ale wątpię, żebym się mylił. Tańsze, prostsze wyżywienie i zmiana sposobu zaopatrywania wojsk są dowodem trudności, których Zanthor nie doświadczał na początku kampanii. Następnym dowodem, że przestało mu się powodzić, jest zachowanie jeńców, z których wielu jest rozczarowanych, ale nie wściekłych, że wpadli w nasze ręce.

Przerwał, żeby napełnić swój kubek i nalać Lurocowi.

— Mówię to wszystko w oparciu o swoje obserwacje poczynione w Krainie Szafiru. Warunki na froncie mogą być jednak na tyle inne, że przeczą mojemu rozumowaniu. Co powiedział ton I Carlroc?

— Widzi rzecz podobnie jak ty, choć jest trochę mniejszym optymistą. Uważa, że czeka nas jeszcze ciężka kampania.

— Ciężka i prawdopodobnie długa — zgodził się agent czasu. — Mówiłem, że zwyciężymy, a nie, że już zwyciężyliśmy. Dwór Kondora nie podda się łatwo.

Luroc streścił to, co powiedzieli mu dowódcy sił sprzymierzonych o swoich planach, i przekazał ich prośbę, żeby partyzanci Ognistej Ręki nie ustawiali w wysiłkach, a nawet, o ile to możliwe, wzmoгли działania.

Oczy starca zabłysły, gdy powtarzał tę prośbę.

— Okazuje się, że ich zdaniem wkład Krainy Szafiru w wojnę jest większy, niż nam się kiedykolwiek zdawało.

Ross nieznacznie uniósł głowę. Był dumny ze swych dowódczych osiągnięć i cieszył się, że sprzymierzeńcy również je doceniają.

— Będziemy nadal wywierać presję na Zanthora — obiecał. — Natomiast jeśli chodzi o wzmoczenie nacisku, to zależy to od jego działań. Jeśli dostarczy nam nowych celów — zaatakujemy je. Jesteśmy w stanie to zrobić.

— Możemy być pewni, że łupy z najbliższych dwóch, trzech miesięcy będą równie obfite, jak dotychczas?

— Bardzo prawdopodobne — odparł Murdock. — Ton Dworu Kondora musiał zdać sobie sprawę z tego, że niewiele jego konwojów prześlizgnie się przez śniegi i nasze oddziały. Przecież jest już jesień. Teraz będzie musiał działać szybko, żeby sprowadzić nowych wojowników na miejsce tych, których straci w walce, i dość zapasów, by przetrzymać zimę. Będziemy mieli wspaniałe polowania, zanim nadejdą pierwsze śnieżyce.

— Cele waszych ataków będą teraz dobrze strzeżone — ostrzegł go ton.

— Bez wątpienia. Ale i tak zrobimy wszystko, żeby sprawić wrogowi jak najwięcej kłopotów.

Jego szare oczy rozbłysły na widok pak leżących teraz na podłodze niedaleko od nich.

— Nie licz jednak, że takie łupy będą się często zdarzały. Ton Luroc zachichotał.

— Chyba ci to wybaczę, Ognista Ręko.

— Każesz je przenieść do wioski?

— Tak, i to jak najszybciej. Mamy tu sporo innej roboty niż pilnowanie skarbów. Gdzie odłożyć twoją część?

— Agent udający najemnika pokręcił głową.

— Nie teraz. Ty bardziej tego potrzebujesz. Mieszkańcy Krainy Szafiru muszą być nie tylko wolni, ale i bogaci, żeby nie stała się celem dla jakiegoś uzurpatora. To złoto pomoże wam zebrać siły.

I Loran patrzył na niego z namysłem.

— To mała częśćka tego, co dostaniemy, gdy padnie Dwór Kondora. Kraina Szafiru uzyska wtedy pełną rekompensatę i równy ze sprzymierzonymi domenami udział w łupach. To również postanowiono na zebraniu.



— Skarb, który ma się w garści, jest znacznie cenniejszy od tego, który ma się nadzieję otrzymać — Murdock zacytował dominiońskie przysłowie.

Luroc uśmiechnął się.

— Jesteś ostrożny, Ognista Ręko, ale nie mogę nie docenić tego, który oddał nam taką przysługę.

Znów spoważniał.

— Zrozum, Rossinie, nie pozwolę, żebyś odjechał z mojej domeny biedniejszy, niż przyjechałeś. Twój pas rycerski był wtedy pięknie inkrustowany klejnotami. Teraz ich nie ma.

Murdock wyprostował się, oczy mu płonęły.

— To była pożyczka na nasze wspólne potrzeby... — I dlatego musi być zwrócona.

— Nie za cenę ryzykowania wszystkim, o co tak ciężko walczyliśmy! Zrobisz to wtedy, kiedy będziesz w stanie spłacić dług i wypełnić wynikające z kontraktu zobowiązania wobec mnie bez nadwyrażania swoich włości. Wcześniej nie będę cię ogołacał.

Ton zmrużył oczy, ale podniósł ręce w geście poddania.

— Spokojnie, wojowniku! — powiedział lekko rozłoszczony. — Zawsze uważałem się za upartego, ale w tobie widzę równego mi uparciucha... Dobrze. Jako że niewiele jest możliwości wydania złota na tych pustkowiach, powierzam je tymczasem twojej opiece.

Ross roześmiał się lekko, aż władca popatrzył na niego ze zdziwieniem.

— Rzeczywiście, spokojnie, tonie Lurocu. Kłócimy się, jakbyśmy siedzieli spokojnie w odbudowanym dworze, a nie ukrywali się w górach. Możemy wierzyć, że zwyciężymy, i może nawet jest to uzasadniona wiara, ale zanim stanie się rzeczywistością, minie jeszcze sporo czasu. W tej chwili Zanthor I Yoroc nie ma zamiaru oddać nam nawet części swoich dóbr i podstępem zdobytych ziem. Mój udział w łupach przyczyni się nieco do tego, żeby o tym pomyślał.

Teraz I Loran także się roześmiał.

— Cieszę się, że nikt nas teraz nie słyszy! Dzięki ci za to, przyjacielu. Wysilek twój i moich ludzi niejednokrotnie pozwalał mi cieszyć się dobrymi wieściami, ale śmiech w tych trudnych czasach to prawdziwy skarb.

Ponownie spoważniał. Możliwe, że na odległym horyzoncie świta jutrzienka, ale terazniejszość jest nadal twarda i ciemna, a trudy wojny dają im się we znaki. Będą musieli skupić wszystkie swoje siły na walce i ona właśnie stanowić będzie treść ich życia w nadchodzącym czasie.

## 9.

Gdy Murdock po raz drugi wyszedł z kwatery tona, słońce już zachodziło. Było o czym mówić, kiedy układali plany na nadchodzące tygodnie oraz na przyszłoroczną kampanię, na wypadek gdyby konflikt nie zakończył się wcześniej.

Obaj byli zdecydowani co do tego, że trzeba znów uderzyć, i to jak najszybciej, i nękać najeźdźców przez najbliższe tygodnie. Wojna prawdopodobnie nie skończy się wraz z końcem sezonu, ale jeśli uda im się na tyle utrudnić działania Dworu Kondora, by jego armia wyruszyła w pole na kampanię wiosenną niezbyt dobrze przygotowana, to być może Zanthor przejdzie wtedy do całkowitej defensywy, może będzie walczył na swojej własnej ziemi albo zostanie pokonany, zanim nadejdzie następna zima.

Wieczorny chłód nasilał się, ale Murdock lubił taką pogodę. Postanowił pozostać na dworze i nie wracać od razu do swojej chaty.

Nie pragnął towarzystwa, opuścił teren obozu i poszedł w kierunku drzew. Chciał trochę pomyśleć o tej dziwnej rozmowie.

Być może Ross powiedział o wiele za dużo. Najemnicy stanowili jedno bractwo bez względu na to, z jakiej części świata pochodzili. Nie mieli w zwyczaju odmawiać przyjęcia złota albo jego ekwiwalentu ani nawet odkładać możliwości wejścia w jego posiadanie na później.

Szedł powolnym krokiem, patrząc na pokrytą liśćmi ziemię. Przysięga, którą złożył Krainie Szafiru, stanowiła część odgrywanej przez niego roli, ale uświadomił sobie, że odmawiając przyjęcia należnej mu części łupu, traktuje ją naprawdę bardzo poważnie. Troszczył się o tę domenę i jej sprawę nie tylko ze względu na wpływ, jaki wygrana wojna będzie miała na Dominion z układu Panny i jego historię, ale także ze względu na dobro Krainy Szafiru i jej dzielnego ludu. Nie był w stanie zmusić się do zabrania im środków, które, jak wiedział, będą im potrzebne, może nawet rozpaczliwie potrzebne, gdy przyjdzie im w ciężkim trudzie odbudowywać kraj po wojnie.

Poczuł, że coś ściska go za gardło, i przyspieszył kroku, instynktownie czując, że ruch stłumi ogarniające go, niechciane wzruszenie.

Agent czasu szedł jeszcze przez kilka minut i znów zwolnił, zatapiając się w myślach.

Nagle odgłos gromkich wiwatów sprawił, że się zatrzymał.

Ross zdał sobie sprawę, że nie odszedł daleko od obozu, że ciągle wokół niego krążył i omal nie wszedł na pole ćwiczeń, wielką łąkę, którą jego towarzysze broni przeznaczyli do ujeżdżania jeleni. Szybko poszedł tam, żeby dowiedzieć się, kto o tak późnej porze korzysta z pola, skąd wziął się ten entuzjizm i dlaczego — sądząc po odgłosach — zgromadziło się tam tylu ludzi.

Odpowiedź znalazł, gdy wyszedł z lasu, otaczającego łąkę, na której zgromadził się tłum jego partyzantów.

Wśród nich byli Allran i Eveleen. Mieli ze sobą dwa bojowe jelenie zagarnięte podczas wypadu. Właśnie poddawali je różnym próbom, które miały określić, czy zwierzęta nadają się do użytku w wojnie partyzanckiej.

To wyjaśniało, dlaczego zgromadził się taki tłum. Jeśli żadnemu z partyzantów z oddziału Murdocka nie uda się udowodnić, że radzą sobie z jeleniem, zwierzę zostanie oddane innym żołnierzom. Łania należała już do Allrana.

Ten ostatni właśnie skończył ją ujeżdżać. Porucznik stał obok niej otoczony wojownikami. Wszyscy byli w wysmienitych humorach.

Murdock pokiwał głową z uznaniem. Było to piękne, zgrabne zwierzę. Doceniał jej wdzięk tak samo jak jej przydatność w bitwie, ale w duchu marzył, by ujrzeć na miejscu łani konia, bojowego rumaka z dawnych dni jego własnej planety.

Łania oczywiście zupełnie nie przypominała małych, terrańskich jelonków, ale była do nich na tyle podobna, że w umyśle Terranina kojarzyła się z tymi zwierzętami z jego rodzimych lasów. Emanowała łagodnością, miała wielkie oczy i długie uszy, a trójpalczaste kopytka dodawały jej galopowi skoczności. Podczas skoku lub w szybkim biegu tylko środkowy palec dotykał ziemi. Nie miała rogów, a na szyi wyrastała jej krótka, miękka, ale zaskakująco mocna sierść. Jej ogon j przypominał ogon wołu — długi i cienki, zakończony kępką szorstkich włosów.

Skupił teraz uwagę na drugim jeleniu. Instruktorka walki dosiadła go i zaczęła krążyć wokół przeszkód, żeby zwierzę poznało je przed skokiem.

Inni też na nią patrzyli, bo właśnie miała zaczynać popis.

Agent czasu pomyślał, że siedząca w siodle Eveleen Riordan warta jest tych wszystkich spojrzeń. Jej umiejętności wykraczały poza doskonałość zwykłą dla jeźdźców z tej planety. Jechała ze szczególną gracją i odnosiło się wrażenie, że stanowi jedność z wierzchowcem.

Efekt był tym większy, że zdjęła swoje siodło i zamiast niego nałożyła na zwierzę derkę ze strzemionami używaną do tego rodzaju prób, dzięki której mogła wyczuwać wszystkie ruchy zwierzęcia — kiedy przyspiesza, a kiedy się waha, w jakim rytmie bierze przeszkody i jakie ma wady, a jakie zalety.

Pierwszą przeszkodę wzięła po mistrzowsku, tak bezbłędnie, że patrzący zamarli na widok doskonałości jeźdźca i zwierzęcia. Eveleen potrząsnęła z radości głową. Jej włosy, zwykle mocno związane, były rozpuszczone. Musiała je umyć po powrocie, bo rozwiewały się na wietrze, tworząc na tle zachodzącego słońca cudowną aureolę wokół jej głowy. Zauważył, że twarz miała zarumienioną z podniecenia i przyjemności.

Ross stał bez ruchu. Myślał o tym, jaka jest piękna według jego obecnych, już nie terrańskich, kryteriów urody.

Wzruszył ramionami i zaśmiał się z samego siebie. Ross Murdock staje się elokwentny jak zakochany, choć niekoniecznie zdolny młody poeta? Potrząsnął głową rozbawiony, a zarazem rozdrażniony. Co się z nim dzisiaj dzieje? Najpierw próbował odmówić przyjęcia fortuny zagarniętej w bitwie — choć i tak nie mógł liczyć na to, że będzie mógł ją zatrzymać dla siebie — a teraz te nagłe zachwyty nad urodą jednego z podległych mu oficerów. Przecież widzi ją nie po raz pierwszy.

Eveleen, nieświadoma reakcji, jaką wywołała, zauważyła go i uniosła dłoń w pozdrowieniu.

Ross pospiesznie wziął się w garść i odwzajemnił pozdrowienie, ale nie ruszył się z miejsca. Patrzył, jak dziewczyna kończy bieg z przeszkodami.

Jeleń sprawował się dobrze, bardzo dobrze. Ukończył ćwiczenie ze świetnym czasem bez niepowodzeń czy choćby jednej odmowy skoku. Doprawdy, zwierzę w ogóle nie denerwowało się tą próbą.

Kiedy Eveleen ściągnęła wreszcie cugle, Murdock zaczął iść w jej kierunku. Zobaczyła go i pozostawiając zgromadzonych, wyszła mu pospiesznie naprzeciw.

Szła szybkim i lekkim krokiem. Nadal przepełniona była radością, która towarzyszyła jej podczas jazdy. Spotkali się w połowie pola.

Oboje zatrzymali się, żeby spojrzeć na kasztanowego jelenia, którym zajął się stajenny, zanim odwrócili się w stronę obozu.

— Piękny jeleń — powiedział Ross. — Świetnie się spisał.

— Świetnie? To bajeczne zwierzę, rumak moich marzeń!

— Weź go sobie.

Zwróciła głowę w jego stronę tak szybko, że Murdock się uśmiechnął.  
— Kto ma do niego większe prawo niż ty? — zapytał. — Dobrze walczyłaś, żeby go zdobyć. Poza tym stanowicie zgraną parę. Może to potwierdzić każdy, kto was oglądał.

— Bardzo chcę go mieć — przyznała. — Ale jakoś trudno mi się było o niego upomnieć.

— To do ciebie niepodobne... No, śmiało. Będiesz go używała dla dobra naszej misji.

Jej wielkie oczy zabłyśły.

— Przyjmuję go z największą przyjemnością, a ponieważ jest w pewnym sensie darem Ognistej Ręki, myślę, że nazwę go Iskra.

Była lekko zdziwiona, że jej stwierdzenie nie spotkało się z kwaśną miną, ale natychmiast o tym zapomniała. Jej myśli zaprzętało coś innego. Teraz, gdy byli tu, w lesie, z dala od innych, poważnie spojrzała na Murdocka.

— Sporo czasu spędziłeś z Lurocem. Czy mówiliście o tym, czego dowiedział się, kiedy był na południu?

Przytaknął.

— I o naszych domysłach. Wszyscy są zgodni co do tego, że nie walczymy już o przetrwanie i że możemy zacząć myśleć o uporządkowaniu naszych spraw już w niezbyt odległej przyszłości.

— Tylko wolność dla Krainy Szafiru i obalenie tyrana pozwoli nam tego dokonać — powiedziała gwałtownie.

Murdock spojrział na nią zaskoczony.

— Nie zaprzeczam temu. Nikt temu nie zaprzecza.

Odetchnęła.

— Wiem, Ross. Tylko że to już tak długo trwa.

— Cóż, koniec jest bliski, jeśli nawet czeka nas przedtem cholernie ciężka walka.

Opowiedział pokrótce, co zaszło między nim a I Loranem, a potem, już powoli, wyłuszczył zarys własnych planów nasilenia kampanii przeciwko najeźdźcom. W miarę gdy mówił, jego plany coraz bardziej się krystalizowały.

Eveleen miała wątpliwości co do paru szczegółów, inne rozwinęła, dodała kilka własnych pomysłów, które z kolei Ross rozważył i ocenił. Czas mijał, ich rozmowa stawała się coraz bardziej zawiła i szczegółowa, aż wreszcie oboje zdali sobie sprawę, że kiedy tak rozmawiali, niepostrzeżenie zapadła noc.

Instynktownie zatrzymali się na skraju obozu, którego kontury widać było w migających światłach ognisk.

Zmęczenie wszystkich minionych dni zdało się opaść teraz na Murdocka.

Rozluźnił ramiona, żeby pozbyć się bólu, który dopiero teraz poczuł.

— Jutro zbiorę innych na naradę. Teraz myślę, że sen zrobi dobrze nam obojgu.

Nie zaprotestowała. Poszli szybko w stronę swoich kwater. Nie rozmawiali, bo każde z nich zajęte było myślami o pracy, która jeszcze ich czeka.

Po odprowadzeniu towarzyski Murdock pospiesznie udał się do swojej kwatery, małego domku będącego zarazem jego sypialnią i biurem.

W środku paliła się świeczka stojąca na stole służącym mu za biurko. Rzuciła słaby blask na wewnątrz.

Wziął świeczkę, nie patrząc nawet na papiery starannie ułożone na blacie, i poszedł do drugiej izby. Machinalnie przytknął płonący, knot do świecy przymocowanej do ściany przy drzwiach. Świeca zapaliła się, zadrgała i jej płomień się wyrównał.

Światła było teraz trochę więcej i raziło przyzwyczajone do i ciemności nocy oczy.

Usiadł i szybko rozejrzał się po izbie, choć nie widział szczegółów. Zmarszczył brwi. Jego wyposażenie bojowe wisiało na miejscu, wyczyszczone, gotowe do użycia,

a przecież nie zostawił go w takim stanie.

Wszystko było w porządku, trochę nawet za bardzo.

Ross usiadł na wąskim łóżku. Ktoś je już pościelił.

Usłyszał ciche pukanie do drzwi i do izby wszedł Gordon Ashe.

— Nie musiałeś tego robić — powiedział Murdock ospale.

— Jasne, ale pomyślałem, że sprawy z Lurocem zajmą ci połowę wieczoru i potem będziesz śmiertelnie zmęczony. Partyzant po wypadzie powinien mieć szansę wyspać się parę godzin, a nie prosto z siodła lecieć na naradę wojenną.

Westchnął.

— No dobrze, przyjmuję twoje dzisiejsze usługi. Dziękuję. Wódz partyzantów nagle podniósł wzrok.

— I Loran ofiarował mi udział w złocie.

Ashe uniósł brwi i uśmiechnął się rozbawiony.

— Jak mi się zdaje, są jakieś przepisy dotyczące tego — konflikt interesów albo coś w tym rodzaju — ale w tej chwili prawo zezwala...

— Daj spokój, Gordon! To wcale nie jest śmieszne. — Opanował się. —  
Przepraszam, jestem wykończony.

— Ano jesteś — teraz Gordon był śmiertelnie poważny. — Stwierdziłeś też, że bardzo podoba ci się Dominion z układu Panny i że możesz tu zrobić karierę, możesz tu żyć.

Ross poczuł się tak, jakby ktoś mu wbijał nóż. Odwrócił się szybko i opuścił głowę.

Ashe zacisnął palce na jego ramieniu.

— Karara została, Ross — przypomniał mu łagodnym głosem. — Tylko zastanów się dobrze, bardzo dobrze, zanim postanowisz, że ten świat i ten czas to twoja Hawaika.

## 10.

Precz!

Zanthor wbił wzrok w plecy wychodzącego najemnika i nie spuszczał z niego oczu, dopóki nie zamknęły się za nim drzwi. Rąbnął pięścią w stół, który służył mu za biurko.

— Znowu Ognista Ręka! Niech klątwa demonów go dosięgnie!

— Klątwy demonów już zostały wypowiedziane — odparł cicho Tarloc I Zanthor.

— To była resztką ich złota.

— Resztką tego, co nam dały — skorygował suweren.

— Czy znów się do nich wybierasz?

— Potrzebuję tego złota — odparł bez ogródek. — Nasi najemnicy dostali już pieniądze i sami je stracili, ale muszę im posłać coś na odczepnego, żeby złagodzić ich rozczarowanie, albo na wiosnę będę bez armii. Jak myślisz, długo to wtedy potrwa, zanim I Carlroc albo banda Ognistej Ręki nadzieją nas na swoje miecze jak na rożny?

— To może być najmniejsze z niebezpieczeństw, jakie nas czekają.

Napięcie w głosie Tarloca sprawiło, że jego ojciec spojrzał na niego bystro.

— Tak bardzo boisz się tych wielkogłowych? — zapytał z pogardą.

— Boję się i ty też powinieneś się ich bać. — Zawahał się. — Niczego nie czuleś, gdy z nimi byłeś? Nic ci nie zrobiły?

I Yoroc już miał odwarknąć jakimś zwięzłym zaprzeczeniem, ale zmienił zdanie.

— Nic. A przynajmniej nic od czasu, kiedy mnie do siebie sprowadziły za pierwszym razem. — Opisał dziwne, nieodparte wezwanie, którego wtedy doświadczył.

— Może jesteś bezpieczny — powiedział cicho Tarloc, jakby bardziej do siebie niż do ojca. — To by wyjaśniało...

— Nie widać, żeby zrobiły ci jakąś wielką krzywdę.

— Ale starały się — odparł ponuro. — Próbowaly unieruchomić mnie tak, jak uczyniły to z resztą twej eskorty, ale uwolniłem się. — Przeszły go ciarki. Dobrze radził sobie ze słowami, ale nie był w stanie opisać tego straszego pieczenia, niewidzialnego ognia, który zdawał się wypalać mu mózg, zwęgląc jego jaźń. Nie potrafił opisać swoich usilnych starań, żeby się od tego uwolnić. Po prostu nie wiedział, jak to się stało, poza tym że musiał niezwykle natężyć całą swoją wolę. — Nawet wtedy nie zostawiły mnie w spokoju. Cały czas zmuszały mnie do podporządkowania się.

— O co im szło? — zapytał Zanthor. — Jakoś wcześniej o tym nie mówiłeś.

Tarloc opuścił oczy.

— Chciały, żebym cię zabił.

— Demony wydały ci taki rozkaz?

— Nie bezpośrednio, ale wzbierały we mnie myśli, kiedy byliśmy przy nich.

Wspomnienia afrontów, obelg, razów. Niektóre z nich naprawdę się wydarzyły, ale większość musiała być złudzeniem nasłanym przez tych bezwłosych. Nie były to moje myśli.

— Jak widać, powstrzymałeś się. Jak do tej pory. Tarloc spojrzał na ojca.

— Nie chcę cię zabić — powiedział cicho. — Traktowałeś mnie całkiem dobrze.

Ktoś inny mógłby być gorszy. Doceniałeś moje zdolności, robiłeś z nich dobry użytek, częściej dopuszczałeś mnie do rady niż swego spadkobiercę...

Tarloc dostrzegł zniecierpliwienie na twarzy Zanthora, uniósł głowę.

— Nie rozklejam się ani nie zgłupiałem, ale my przecież paktujemy z demonami, które potrafią przyciągać do siebie ludzi, sprawiać, że żołnierze stają się oddychającymi zwłokami, wpychać myśli i żądze do ludzkich umysłów. Może dojść do sytuacji, że zamiast one nam, my im będziemy służyć.

— Masz głowę na tym swoim kościstym karku — przyznał szorstko ton Dworu Kondora. — A więc próbowały sprawić, żebyś mnie zabił? Dlaczego? Dlaczego same tego nie zrobiły? Te ogniste pręty, które widzieliśmy ostatnim razem, są w stanie przepalić zarówno ciało, jak i stal.

— Kto wie, jakie pobudki rządzą ich rasą? Mogły uznać, że mnie będzie łatwiej kontrolować. Bez względu na motywy ich działania widać wyraźnie, że chcą, abyśmy to my — abyś ty odwalił za nich mokrą robotę. Nie ufałbym im, nawet gdybyśmy podbili całą wyspę. — Wykrzywił usta. — O ile ją podbijemy.

— Jeszcze nie przegraliśmy — powiedział cicho I Yoroc. — A co do zaufania, to możesz być pewien, że ja im nie wierzę, bez względu na to, czy są w zasięgu mego wzroku, czy nie. Są sojusznikami z konieczności, a nie z wyboru.

Zanthor miał twarde, pełne determinacji spojrzenie.

— Każ siodłać nasze wierzchowce. Wielkie głowy nie spodziewają się teraz naszej wizyty. Może dzięki zaskoczeniu uzyskamy od nich jakieś ustępstwa.

Wodzowie Dworu Kondora jechali w milczeniu znaną sobie drogą. Ton zatopił się w myślach, ledwie opuścili zamek. Jego syn cieszył się z tego spokoju. Musiał, żeby zebrać siły, aby przeciwstawić się pokusie, która, jak wiedział, dopadnie go, gdy będą na miejscu.

Nagle I Yoroc ściągnął wodze.

— Wolałbym, żeby demony miały jak najmniej szans na odkrycie naszego przybycia przed czasem. Dalej pójdziemy na piechotę.

Uwiązali jelenie do drzewa na łączce, gdzie mogły się paść. Przed ludźmi wiła się ścieżka wydeptana przez dziwne stwory. Pójdą nią szybko i po cichu, ich nadejścia nie zdradzi trzask łamanych gałęzi.

Wkrótce wkroczyli na polanę. Znaleźli tam tych, których szukali. Demony zajęte były jakąś ciężką, dobrze zorganizowaną pracą.

Dwa zniszczone słupy leżały na ziemi, tak jak przy poprzedniej, drugiej z kolei wizycie. Pięciu obcych coś przy nich robiło. Już je wyprostowali. Metalowe blachy nieco odmiennego koloru wskazywały, w których miejscach nałożono łąty wzmacniające konstrukcję. Mogły mieć też jakiś inny cel, niezrozumiały dla Dominian. Dwa demony przy pomocy ognistych prętów topiły dostarczony ostatnio przez Zanthora materiał. Przygotowywały łąty do wtopienia ich w kolumnę, którą właśnie naprawiały.

Ludzie tylko przez chwilę mogli się przyjrzeć obozowi. Jeden z bezwłosych wyprostował się nagle i zwrócił twarz w ich stronę.

I Yoroc wykrzyknął swoje imię i wystąpił, trzymając ręce z dala od miecza. Tarlroc szedł krok za nim.

— Odłóżcie swoje ogniste pręty. Przychodzimy jak zwykle w pokoju.

— To nie w porządku, tonie. Dlaczego nas szpiegujesz?

— Przyglądać się przez chwilę to jeszcze nie szpiegowanie — odparł spokojnie Zanthor. — Dlaczego kazaliście synowi mnie zabić?

Odpowiedź nie nastąpiła natychmiast. Zanthor przymrużył oczy. — Myśleliście, że mi nie powie o waszych usiłowaniach?

— To był jedynie sprawdzian lojalności twego bliskiego współpracownika.

— Doceniam waszą troskę — odparł drwiąco I Yoroc — chłopak przeszedł próbę zwycięsko. Nie trzeba jej powtarzać.

— To dlatego tak szybko tu wróciłeś?

— Jestem tutaj, bo teraz ja z kolei chcę wypróbować waszą dobrą wolę. Chcę dostać pozostałą część złota. Prowadzę wojnę, którą zacząłem za waszą namową. Z marną jałmużną daleko nie zajdziemy.

— Nie dostarczyłeś nam nawet trzeciej części materiałów, o które prosiliśmy — odpowiedział jeden z demonów.

— Dostaliście wszystko, co miałem zamiar wam dać przed pokonaniem konfederacji — wyrzucił z siebie ton Dworu Kondora. — Potrzebuję stali na pancerze i miecze. O resztę też trudno, bo moi rzemieślnicy pracują na rzecz wojny. Otrzymacie zapłatę nie wcześniej, niż gdy zginą moi wrogowie.

Nie sposób było odczytać wyrazu twarzy bezwłosych, ale Zanthor wiedział, że są niezadowoleni, a może nawet wściekli. Jeśli się co do nich mylił...

Po kilku pełnych napięcia sekundach demon kiwnął głową w kierunku skrzyni.

— Możesz wziąć to, co tam jest. Więcej od nas nie dostaniesz ani złota, ani innej pomocy, dopóki nie dostarczysz tego, co obiecałeś.

Dominianie prowadzili ciężko obładowanego jelenia. Dopiero w okolicach dworu dosiedli wierzchowców, żeby nie wzbudzać niezdrowego zainteresowania.

Tarlroc miał białą twarz, palce mu drżały, gdy chwycił za wodze. Taka nienawiść. Wstrząsał się na myśl, co by się stało, gdyby dopuścił ją do siebie. Czy znowu próbowali, czy po prostu odczuwa ich złość tak, jak czuje swój strach? Popatrzył z zazdrością na ojca. Zanthor zdawał się być nieświadomy niewidzialnej burzy, którą wzbudził swą odmową i arogancją.

Tarlroc zwilżył wargi. Burza przestanie być cicha i niewidzialna, jeśli I Yoroc zauważy jego wzburzenie godzinę po konfrontacji z demonami.

— Co masz zamiar zrobić, żeby następna dostawa dotarła do naszych wojsk? — zapytał.

Zanthor uśmiechnął się z wyższością i zwolnił kroku, żeby zrównać się z synem. — Trochę wyślę jednym konwojem, trochę innym. Większość zostanie na nasze potrzeby i na wypłaty dla wojska. Najemnicy będą się musieli tym zadowolić. Zapłaciłem zgodnie z kontraktem przedstawicielowi komendanta A Hurona na Dworze Kondora i otrzymałem pokwitowanie jako dowód transakcji. Złoto stało się własnością naszych najemników, wieźli je na własną odpowiedzialność, gdy je stracili. Nie mam obowiązku płacić powtórnie. To samo dotyczy zapasów, ale te oczywiście uzupełnię.

— Jak?

— Wyślę jeden wielki konwój i wiele małych.

— Ognista Ręka...

— Zadał nam ciężkie straty i będzie tak czynił nadal, tym bardziej że zapewnimy mu dodatkowe cele, ale i tak część kolumn zaopatrzeniowych przedrze się. To wystarczy. Nasza armia nie obrośnie tłuszczem tej zimy, ale też nie będzie głodować ani marznąć, choć chciałbym, aby Carlroc myślał inaczej.

Tarlroc zaczerpnął głęboko tchu.

— Czy... czy myślisz, że nadal są szansę?

Zanthor i Yoroc roześmiał się.

— Jeśli będziemy mieli trochę szczęścia i poważnie zadbamy o nasze sprawy, to odniesiemy zwycięstwo. Niech wojna toczy się tak jak do tej pory aż do zimy. Konfederaci będą wierzyli, że jesteśmy bliscy wykrwawienia się na śmierć. Przyjdzie wiosna i moi najemnicy pójną i do walki z odnowionymi siłami.

— Sytuacja wróci do martwego punktu. W najlepszym razie do martwego punktu — odparł ponuro Tarlroc.



— Owszem, ale mam zamiar osobiście przejąć dowodzenie w polu i postać do walki nasze własne wojska z Dworu Kondora.

— Czy to wystarczy, żeby pobić konfederatów? Są silni...

— Nawet nie będziemy próbowali. Zaatakujemy samą konfederację, nie jej armię. Luroc i Loran dał mi lekcję. Teraz pokażemy, czy jesteśmy dobrymi uczniami. Moje wojska przedrą się siłą przez linię frontu, a jeśli będzie można, to prześlizgną się, gdy tymczasem najemnicy zwiążą walką oddziały konfederackie. Kiedy będziemy już na tyłach, pospieszymy na południe. Pod miecz pójdzie każdy mężczyzna, każda kobieta, każde dziecko, które znajdziemy. Każde zwierzę, którego nie będziemy w stanie zabrać pójdzie pod nóż. Wszystkie dobra, których nie uniesiemy ze sobą, zostaną spalone. Zobaczymy, jak długo armia Gurniona i Carlroca zachowa jedność, gdy tonowie dowiedzą się, że krew ich ludzi wsiąka w ruiny i popioły ich pól i domostw. Wtedy będziemy mogli rozprawić się z nimi pojedynczo, a potem wrócić i zapolować na Ognistą Rękę.

— Więc zapłacisz demonom? Zanthor ściągnął usta.

— Bezwłosym zdaje się bardzo zależy, żeby dostać te materiały, których żądali. Poważnie się zastanawiam, co zrobią, jak tylko położą na nich rękę.

— Zrobią sami to, do czego mnie chcieli nakłonić — prorokował Tarloc.

Ton zachichotał.

— Za bardzo się martwisz, Tarloku i Zanthorze. Może to są demony, ale pokazały, że nie są w stanie nami powodować ani nas skrzywdzić przy pomocy tych swoich sztuczek z wpływaniem na myśli — poklepał ręką swego miecza. — Dostaną stali, ile dusza zapragnie, ale można to zrobić na wiele sposobów. Nie spodoba im się sposób, w jaki ja wywiążę się z dostawy.

## 11.

Mimo wyczerpania i męczących, choć już zapomnianych snów, które dręczyły go w nocy, Murdock obudził się następnego ranka o zwykłej porze.

Leżał, przez kilka minut rozkoszując się luksusem łóżka i ciepłem chaty po ciężkich przeżyciach ostatnich dni.

Odrzucił na bok koc, pod którym leżał, i przez chwilę nań popatrzył. Przecież zdjął buty i położył się na wznak, nie naciągając go na siebie. Musiał to zrobić Gordon, zanim poszedł do swojej kwatery.

Pokręcił głową. Sen musiał spaść na niego z siłą toporu, gdyż nic nie pamiętał.

Jakkolwiek było, nocny wypoczynek posłużył mu. Był wypoczęty, odświeżony i — nagle zdał sobie z tego sprawę — potwornie głodny.

Na podłodze przed nim kładły się złote paski słonecznego światła przenikającego przez listewki okiennic jedyne, nieoszkłonego okna.

Wstał i otworzył okiennice. Poranek był piękny, niebo jasnoblękitne, powietrze rześkie i czyste.

Ashe musiał czekać na ten znak, bo przyszedł do chaty kilką minut później, przynosząc ze sobą jedzenie i wodę do mycia.

Murdock szybko uporał się z poranną toaletą. Usiadł do śniadania przy swoim wielofunkcyjnym stole, podczas gdy jego partner zdawał mu sprawę z tego, co działo się w obozie. Jego opowieść była zaskakująco szczegółowa, jeśli wziąć pod uwagę, że on też wrócił z wyprawy dopiero wczorajszego popołudnia. Dobrze wykorzystał czas, który Ross spędził z tonem.

Ashe popatrzył z podziwem na błyskawicznie opróżniony talerz i zwrócił się do Rossa:

— Cieszę się, że dziś nie wyglądasz już tak marnie jak wczoraj.

— Czuję się już lepiej. — Murdock wyglądał na nieco zmieszanego. — Zdaje się, że wczoraj wieczorem byłem trochę opryskliwy.

Gordon uśmiechnął się.

— Czasem dowódca musi na kogoś warknąć, nie jesteś przecież ze stali.

Ross pokiwał smutno głową.

— Uczę się, jak nie przesadzić w obie strony.

Już dawno temu doszedł do wniosku, że w tego rodzaju przedsięwzięciach pozycja młodszego partnera ma swoje zalety. Oczy mu pociemniały.

— Czasem martwię się, Gordonie. To ty powinieneś być dowódcą. Ja jestem dobry w polu, ale jeśli chodzi o taktykę, zwłaszcza gdy mieszkańcy Krainy Szafiru biorą w tym udział, i zaplanowanie tego, co będzie potem, i co ci ludzie będą musieli odbudować...

— Radzisz sobie świetnie — odparł spokojnie archeolog. — Jako wykształcony naukowiec, głęboko zaangażowany w sprawy domeny, zostanę prawdopodobnie wciągnięty w jakąś dyskusję na temat odbudowy, ale nie sądzę, żebym mógł zrobić coś więcej, niż tylko poprzeć decyzje I Lorana i twoje. Teraźniejszość i przyszłość Kramy Szafiru spoczywają w bardzo kompetentnych rękach.

Murdock uśmiechnął się w podziękowaniu.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz, przyjacielu. Zdaje się, że wiele zależy od zdania byłego złodziejaska.

Wzruszył ramionami.

— Czy Eveleen już wstała?

— Tak, choć zwykle ciężko ją zerwać z łóżka dzień po wyprawie, ale widziałem

ją, kiedy niosłem ci śniadanie.

— Pójdę jej poszukać — powiedział raczej do siebie Ross. — Mamy sporo spraw do omówienia.

— Pewnie jeszcze je. Nie ma co się spieszyć.

Ross stał w drzwiach, gdy ujrzał Eveleen siedzącą na trawiastym wzniesieniu tuż przy linii drzew. Instruktorka walki lubiła jeść śniadanie na dworze, jeśli tylko pogoda na to pozwalała, a szczególnie wtedy, gdy panował spokój i nie ciążył na niej żaden pilny obowiązek.

Podszedł do niej szybkim, energicznym krokiem, co kontrastowało z atmosferą spokoju panującą w obozie.

Murdock zauważył, że włosy ma inaczej ułożone, tym razem w stylu dominiońskich kobiet, które nosiły takie fryzury, zanim wojenna zawierucha wyгнаła je z domów. Bez wątpienia miała pod ręką swoją siatkę do włosów, aby mocją szybko założyć w przypadku alarmu albo nagłego rozkazu wyjazdu.

Wszystkie kobiety-wojowniczkz z Krainy Szafiru nosiły takie plecione druciane czapeczki, stanowiące część ich ekwipunku i w czasie bitwy chroniące włosy przed uchwyceniem ich przez przeciwnika.

Ze względu na jesienny chłód zamiast lnianej koszuli włożyła wełnianą, starą i trochę rozciągniętą na piersiach, koloru zielonego, powszechnie stosowanego przez partyzantów ze względu na walory maskujące.

Pomyślał bez związku, że Eveleen zawsze lubiła zieleń. Gdy spotkał ją po raz pierwszy trzy lata temu, kiedy demonstrowała przyszłym studentom swoje umiejętności strzeleckie miała ubranie w tym samym odcieniu.

Gdy był już blisko niej, przyspieszył kroku. Zdawała się być nieobecna i zamyślona bardziej niż zazwyczaj. Zauważyła go dopiero, gdy cicho wymówił jej imię.

Zaskoczona, rzuciła nań szybkie spojrzenie. Prędko opanowała się i z uśmiechem wskazała mu, żeby usiadł.

Rozsiadł się obok niej.

— Jesteś dzisiaj jakaś zasepiona — zauważył.

Pokiwała głową. Byli bardzo wrażliwi na swoje nastroje prawie od dnia rozpoczęcia aktywnej fazy tej misji, może dlatego, że musieli ze sobą tak ściśle współpracować, a zarazem utrzymywać w tajemnicy sekret swojego pochodzenia. Dobrze wyczuł jej nastrój i nie mogła już go ukrywać.

— Następca tona odpędził poprzedniej nocy wilki od naszych wierzchowców.

Popatrzył na nią zdumiony.

— To nie lada wyczyn jak na dziewięcioletniego chłopca. Spojrzała na niego swoimi wielkimi oczami.

— Ross, Conroc jest dzieckiem, dzieckiem, któremu zabrano dzieciństwo. Nie przejmuję się tak bardzo nami ani nawet większością naszych towarzyszy, ale ogarnia mnie wściekłość, gdy pomyślę o tych dzieciach, które muszą stać się dorosłymi, zanim zdołają się choćby dowiedzieć, co to znaczy być dzieckiem... Wiem, gadam jak kompletna idiotka, co?

— Nie. Sam jako dziecko nie przeżyłem czegoś aż tak strasznego, ale... — Ross ściągnął brwi i odczekał chwilę. — One zasługują na coś lepszego. Przynajmniej teraz możemy mieć nadzieję, że to wkrótce nastąpi.

Poczekał, aż Eveleen skończy jeść, żeby przejść do poważnej rozmowy o wojnie. Kiedy odłożyła talerz, wyprostował się. Zrozumiała, że będzie z nią rozmawiał jak komendant z pierwszym oficerem.

— Przemyslałaś w nocy to, o czym rozmawialiśmy wczoraj?

— Nie — przyznała ze skruchą. — Po paru dniach spędzonych w polu łożko działa jak narkotyk. Wskoczyłam pod koc niemal natychmiast. Ale rano myślałam o tym trochę.

— To i tak więcej, niż mogę wymagać — przyznał. — I co wymyśliłaś?

— Nic znaczącego. Nie widzę poważnych problemów, tylko drobnostki. Możemy z powodzeniem zostawić to innym, nie nam pomogą.

Murdock roześmiał się cicho.

— Doskonała propozycja, poruczniku. Ja też niezbyt chętnie biorę wszystko na siebie.

Szybko zwołano radę. Wzięli w niej udział zarówno wyżsi oficerowie, jak i ich młodszy stopniem pomocnicy, wszyscy dowodzący wyprawami, a nawet ci, którzy dowodzili najmniejszymi wypadami.

Ci ostatni byli właśnie teraz najważniejsi. Murdock chciał utrzymywać przez cały czas na nizinach pewną liczbę małych grup, którym łatwo się ukryć nawet przy zwiększonej aktywności patrolowej wroga. Musiałyby to być zarazem siły na tyle duże, żeby mogły być w kontakcie z wrogiem i wysyłać regularnie kurierów z raportami informującymi dowództwo o pozycji i aktualnych działaniach oddziału.

Aby skutecznie wykorzystać informacje zawarte w tych raportach, przynajmniej jeden z pięciu istniejących od dawna oddziałów partyzanckich musiałby czekać w gotowości do natychmiastowego działania, a pozostałe wkraczałyby do akcji nieco ostrożniej, zostawiając na tyłach pewną liczbę ludzi, którzy pełniliby funkcje sił wewnętrznych, a zarazem byłiby w stanie sformować większą siłę uderzeniową, gdyby sytuacja wymagała akcji na większą skalę.

Wielu obecnych przyjęło nowe rozkazy z głośnym jękiem. Oznaczały one bowiem, że na ich barki spadnie znacznie więcej pracy i odpowiedzialności, nawet gdyby wróg nie zwiększył swojej aktywności na nizinach. Wszyscy wiedzieli jednak, że to mało prawdopodobne. Wszyscy podzielali opinię Murdocka, że Zanthor będzie musiał działać znacznie agresywniej, jeśli chce przetrwać nadchodzącą zimę.

Mimo to zachowali pogodę ducha. Ross powiedział jeszcze, że według jego oceny zwycięstwo jest pewne, i to w dającej się przewidzieć przyszłości.

Nadzieja powrotu do tak długo zaniedbywanych prac dla domeny rozgrzała ich serca jak dobre wino. Byli przygotowani, by stawić czoła przeszkodom, które staną na drodze do upragnionego celu.

## 12.

Następne tygodnie były dla partyzantów nawet trudniejsze niż sądzili, gdy zabierali się do wykonania przedstawionego im przez dowódców planu nasilenia walk, ale też trudy te po wielokroć się opłaciły.

Murdock nie omylił się co do taktyki, którą przeciwnik przyjął, a właściwie musiał przyjąć. Ton Dworu Kondora starał się za wszelką cenę wzmocnić swoją wymęczoną armię, aby mogła stawić czoła coraz zajadlejszym atakom konfederatów oraz nieuchronnie zbliżającej się zimie. Stosował każdą możliwą taktykę. Wielkie konwoje; małe, szybko przemieszczające się oddziały; ciężkozbrojni gwardziści; częste patrole; zasadzki i przynęty na wroga, a nade wszystko wielka częstotliwość dostaw. Każde z tych działań odgrywało swoją rolę w jego szeroko zakrojonym planie wojennym.

Część zaopatrzenia docierała do celu, ale zadziwiająca ilość zapasów — nie. Z pewnością armia Zanthora nie będzie bezbronna, nie będzie musiała walczyć wyłącznie pieszo, nie będzie głodowała ani zamarzała w śniegach, ale wiele wskazywało na to, że zarówno ludzie, jak i zwierzęta będą cierpieć zimno i mocno wychudną, zanim nadejdzie wiosna. To wystarczy, by zmniejszyć ich zapas bojowy, zdolność do walki i oddanie człowiekowi, który najał ich miecze, a potem zawiódł ich tak srodze.

O tym właśnie z satysfakcją myślał agent czasu, gdy do obozu wjechała pełniąca rolę kuriera dziewczyna.

Zanim zdążyła zsiąść z parującego wierzchowca, otoczyła ją grupa oficerów.

— Jakie wieści? — zapytał Murdock.

— Kolumny, kapitanie, dwie kolumny. Pierwsza to kolumna ze stadem jeleni, może jakieś dwieście sztuk. Prawdopodobnie ma przyciągnąć naszą uwagę. Poruszają się ostrożnie i szybko, ale od czasu do czasu zdradzają swoją obecność, jakby chcieli być widziani. Straż przy jeleniach jest niezbyt liczna. Nie więcej niż trzydziestu jeźdźców, włączając w to pastuchów.

— A druga?

— Konwój. Dwadzieścia pięć wozów. Dwustu strażników i powożący. Ta kolumna porusza się doprawdy bardzo skrycie, choć jest taka wielka. Udało nam się ją odkryć tylko dzięki przypadkowi.

— A gdzie są w tej chwili?

Kobieta nachyliła się nad mapą nizin Krainy Szafiru. Wyniósł ją na dwór Ashe i rozłożył przed nimi na ziemi.

— Są w tym samym kwadracie, ale dość daleko od siebie. Wskazała na obszar pokryty łagodnymi wzgórzami — najcenniejsze pastwiska we władaniu Luroca i najpiękniejszą część zoranej wojną domeny.

— Stado idzie tędy. Posuwa się bardzo szybko. Jeśli mamy na nie uderzyć, to powinniśmy to zrobić zaraz.

— Jasne, że idą szybko — mruknął Allran, marszcząc czoło. — To zawsze był raj dla jeleni.

— Pułapka? — zapytał Murdock. — Mówisz, że to wygląda, jakby chcieli nas zwabić?

— Chcą nas odciągnąć od konwoju, jak sądzę. Teren jest otwarty. Drugi oddział nie mógłby jechać w pobliżu, żeby w razie nagłego ataku z naszej strony przyjść z pomocą stadu. Przeszukaliśmy całą okolicę i niczego nie znaleźliśmy.

— Możliwe, że liczą na szybkość, gdyby okazali się skuteczną przynętą —

włączyła się Eveleen.

— Takie stado, nie spowolnione bagażem albo wozami, może się poruszać bardzo szybko.

— Prawdopodobnie właśnie na to liczą — powiedział Murdock. Jeszcze raz zwrócił się do zwiadowcy.

— Gdzie jest konwój?

— Tutaj. — Pokazała na mapie miejsce w tym samym rejonie domeny, lecz o całkowicie innym ukształtowaniu terenu. Trasa konwoju biegła przez szeroki łańcuch zalesionych gęsto wzgórz, tak stromych i wysokich, że mogły uchodzić za miniaturowe góry.

Ross zmarszczył brwi.

— Nie jest to łatwy teren dla wozów.

— Nie, ale też nie spodziewamy się, że znajdziemy tam jakieś wozy. Chodzi im o to, że drzewa tłumią hałas. Eskorta jest duża i robi wszystko, żeby konwój poruszał się jak najszybciej.

— Ich zwiadowcy?

— Nie widzieliśmy żadnego, ale nie można być pewnym, czy nie wystali szperaczy. Okolica jest taka, że łatwo się ukryć, a mnie wysłano tutaj, jak tylko ich odkryliśmy. Inni mogli coś znaleźć od czasu, gdy opuściłam nasz oddział.

Murdock przez kilka minut wpatrywał się ze skupieniem w mapę. Podniósł głowę.

— Eveleen i Allran, zbierzcie swoje oddziały. Gordon, każ moim ludziom siadać na wierzchowce. Jedziemy wszyscy.

— Którą kolumnę ścigamy? — zapytał z zaciekawieniem dominioński oficer.

— Obie.

Ross uśmiechnął się na widok ich zdumionych twarzy.

— Jeśli teraz wyruszymy i będziemy jechać szybko, przerywając jazdę tylko na czas pozwalający nam i wierzchowcom zachować siły do walki, spotkamy to stado tutaj jutro o świcie.

Dotknął mapy czubkiem miecza.

— Wtedy stado i oddział straży będą jechały równoległymi trasami, w niewielkiej odległości od siebie, o ile utrzymają dzisiejszy kurs. Ruszemy na jelenie z tych dwóch kierunków, okrążymy stado i strażników, zanim wydamy im bitwę. Największe niebezpieczeństwo grozi nam w przypadku, gdyby konwój wpadł w popłoch i runął na nas całą masą, ale jeśli szybko zamkniemy się i natychmiast podjedziemy na odległość strzału, to zyskamy na czynniku zaskoczenia i naszej przewadze liczebnej i zgarniemy zwierzęta bez wielkiego trudu.

— Bardzo obciążą nas przegnanie i upilnowanie takiego stada — zauważyła Eveleen.

— Czy wystarczy nam wojowników, żeby zająć się konwojem? Spojrzał na nią.

— Celną uwagę. Tu mnie masz. Weźmiemy jeszcze jeźdźców z oddziału Komna, aby nie zabrakło nam ludzi.

Murdock wrócił do mapy.

— Kiedy zwierzęta bezpiecznie odejdą, ruszemy na wschód. Cztery godziny forsownej jazdy i powinniśmy być w tym miejscu. Jest to dokładnie na linii marszu drugiego oddziału, ale sporo przed nim. Będziemy mieli dość czasu, żeby odpocząć, zanim się z nimi zmierzymy.

Popatrzył na obecnych.

— Nie mogę być tego wszystkiego całkowicie pewien. Najpierw musimy przyjrzeć się układowi terenu w tym miejscu i samemu konwojowi i dopiero wtedy przystąpimy do akcji. Może uda nam przejąć część konwoju, a może cały nam umknie, ale dopiero czas i bliższy kontakt nam to pokażą. A teraz, towarzysze, ruszamy!



## 13.

Słońce ledwo weszło nad szczyty wszechobecnych gór, kiedy wojska Krainy Szafiru dotarły do miejsca, które ich komendant wybrał na zasadzkę.

Mieli za sobą długą jazdę, ale zarówno wojownicy, jak i ich wierzchowce byli przyzwyczajeni do wymogów życia, jakie wiedli.

Ross tak rozstawił oddziały, że ani jego ludzie, ani wojownicy stojący na przeciwległym stoku, którymi dowodziła Eveleen, nie musieli patrzeć pod słońce, oczekując na nieprzyjaciela, który miał nadejść od strony północno-wschodniej.

Mijały minuty. Może stado już przeszło lub zmieniło trasę, omijając całkowicie to miejsce.

Partyzanci zamarli. Oto nadchodzą, wspinają się na strome zbocze zamykające dolinę od północy i schodzą po łagodniejszym stoku od południa.

Gordon popatrzył na partnera. Mimo że odkąd wcielili się w swoje obecne role, mieli za sobą już niejeden taki wyczyn, to zawsze w takiej chwili odczuwał w stosunku do Murdocka pełen szacunku podziw. Przewidywania kapitana potwierdziły się w praktyce. Nieprzyjaciel przybył na miejsce z zaledwie trzyminutowym opóźnieniem.

— Czasem myślę, że jesteś bardziej hawaikańską Foanna niż terrańskim agentem czasu — powiedział cicho.

Murdock zamrugał. To była wielka pochwała jak na Ashe'a, który w odróżnieniu od młodszego partnera nigdy nie patrzył podejrzliwie i z niechęcią na pozazmysłowe zdolności tamtych trzech hawaikańskich kobiet.

— Będę ci wdzięczny, jeżeli nie będziesz przyzywał tych dam, przyjacielu. Myśl o nich bardziej mnie przeraża niż Zant I Yoroc i wszyscy jego najemnicy.

Te lekkie w tonie słowa wypowiedział prawie szeptem, a potem zamilkł.

Wszelkie rozmowy ustały i w szeregach partyzantów zapanowała całkowita cisza. Najeźdźcy byli za daleko, żeby usłyszeć nawet głośną rozmowę, tym bardziej że sami robili sporo hałasu zagłuszającego inne dźwięki. Sprzyjało to zaczajonym w zasadzce wojownikom Krainy Szafiru. Oni dobrowolnie nie uczyniliby niczego, co: wrogowi ich pozycje.

Znajome napięcie przedbitewne opanowało Murdocka. Pomimo iż starał się skoncentrować na jeźdźcach wroga, serce skakało mu w piersi. Inna rzecz, że widok tyłu wspaniałych, smukłych jeleni biegnących razem z charakterystycznym dla tego gatunku wdziękiem, bez pęt i siodła, poruszyłby krew każdego mężczyzny.

Jeźdźcy Dworu Kondora posuwali się w dobrym tempie i szybko wjechali w głąb doliny.

Partyzanci zamarli w siodłach. W napięciu patrzyli na wroga. Tym razem nie zahuczy róg. Nie będzie niczego, co mogłoby za wcześnie ostrzec nieprzyjaciela jadącego w dole.

Partyzanci ruszą do ataku, kiedy pierwsi jeźdźcy dotrą do miejsca, które przedtem wskazał im kapitan.

To już wkrótce. Już nadchodzi ten moment.

Murdock dotknął palcami szyi Lady. Skoczyła do przodu i bez wysiłku przeszła w piękny galop.

Cały oddział ruszył za nią. Z obu zboczy spłynęła w dół podwójna kolumna jeźdźców. Nie starli się od razu z przeciwnikiem, lecz kontynuowali swój szalony galop, aż cel został całkowicie otoczony. Dopiero wtedy rzucili się na wroga.

Teraz dopiero przyczyna utworzenia podwójnych kolumn stała się oczywista.



Wewnętrzna linia partyzantów rozpoczęła walkę z wojownikami Dworu Kondora, podczas gdy pozostali utrzymywali swą pozycję gotowi zatrzymać każdego jelenia, który próbowałby uciekać.

Zadanie było trudne i ważne. Jeśli zwierzętom udałoby się wyrwać i rozproszyć po dolinie i okolicznych wzgórzach, większość byłaby stracona dla partyzantów i ich sojuszników, a jakakolwiek myśl o zawładnięciu drugim konwojem trzeba byłoby porzucić.

Musieli działać ostrożnie. Jelenie były wystraszone, skupiły się w ogromne stado, a tocząca się tuż obok wałka przeganiała je z miejsca na miejsce. Na szczęście nie wpadły w popłoch i nie rzuciły się do ucieczki w jednym kierunku.

Samo starcie było bardzo krótkie, niewiele dłuższe niż szarża. Najeźdźcy nie mieli szans na dłuższy opór. Zaskoczenie było całkowite, a przewaga liczebna atakujących zbyt przytłaczająca.

Przed wszystkim zaś najemnicy nie mieli serca do walki. Byli wściekli na Zanthora i Yoroça za to, w jaki sposób się nimi posłużył. Nawet ich oficerowie nie powiedzieli im, że stanowią przynętę, która ma odwrócić uwagę wojowników Krainy Szafiru od kolumny wozów. Nie byli głupcami i wkrótce sami zdali sobie z tego sprawę. Świadczyła o tym wyraźnie rzucająca się w oczy beztroska, którą przez cały czas charakteryzowało się ich postępowanie. Niedole wojny najbardziej odczuwali właśnie tacy najemnicy jak oni, a nie rodzimi wojownicy Dworu Kondora. Oddział pilnujący stada, choć od niedawna uczestniczył w działaniach, zdołał już wykazać się dobrą służbą. Nic dziwnego, że ludzie, rzućni niejako na żer wrogowi, buntowali się przeciwko takiemu traktowaniu.

Niech więc będzie, co ma być. Wpadli już w tę pułapkę i nie mieli ochoty bezcelowo poświęcać swojego życia, tym bardziej że jak powszechnie było wiadomo, konfederaci nie traktowali jeńców tak jak ton, który ich wynajął. Rzucili broń i poprosili o litość.

Wodzowie partyzancy krytycznie przyjrzeni się stadu.

— Kupuje płowce — zauważyła Eveleen — i wyprawia się po nie daleko. Ćwierć stada nie pochodzi z tych okolic.

— Sprowadzono je z lasów na dalekim pomocnym wschodzie, na kontynencie — wyjaśnił jej Allran. — Często widzimy je na jarmarkach, gdzie sprzedajemy nadwyżki bydła.

Przyjrzała się uważnie dziwnym rumakom. Były wielkie, ciężkie i miały duże, proporcjonalne do reszty ciała głowy.

— Czy to są w ogóle jelenie bojowe? — zdziwiła się na głos.

— Nie są tak wielkie jak zwierzęta juczne, ale nie wyobrażam sobie jazdy na tak niezgrabnych stworzeniach.

— One nie są niezgrabne, poruczniku. Nadają się do służby wojskowej, chociaż na pewno brakuje im szybkości i żwawości, której wymagamy od naszych rumaków.

— Nie sadzę, żebym mogła przez dłuższy czas wygodnie jechać na czymś takim — powiedziała. — Jacy ludzie dosiadają takich wierzchowców?

Uśmiechnął się na myśl o jej małej figurce siedzącej okrakiem na jednym z tych wielkich wierzchowców.

— Ludzie z lasów, którzy zazwyczaj na nich jeżdżą, są potężni, wysocy i silnie umięśnieni. Największy spośród nas byłby wśród nich zaledwie średniego wzrostu. Muszą jeździć na wielkich rumakach, Rozwijanie dużych szybkości w ich bezkresnych puszczech i tak nie jest możliwe, toteż nie cenią jej zbyt, natomiast wymagają od swoich zwierząt siły i zdolności do uprawiania ich małych poletek oraz przenoszenia wielkich ciężarów na duże odległości. To nie jest kraina jeleni i nie ma

tam zwyczaju posiadania dwóch zwierząt. Zadowolają się jednym, które dobre jest zarówno pod siodło, jak i do noszenia juków.

— Co z nimi zrobimy?

— Wyglądają na zacne zwierzęta bez względu na to, czy dobrze służą naszym celom — wtrącił się Ross.

— Gurnionowi przyda się bardzo ich siła, szczególnie jeśli użyje ich na wysuniętych placówkach, gdzie od czasu do czasu będą mogły służyć również jako rumaki bojowe.

— A co z resztą? — zapytał archeolog.

— Zatrzymamy najwyżej jedną trzecią, oczywiście te najlepsze. Zima może być wyjątkowo ostra. Nie ma sensu nadwężać naszych zapasów paszy sprowadzaniem nowych zwierząt.

— Ton i Carloc nieźle skorzysta na naszym dzisiejszym wypadzie. Murdock na moment zatopił się w myślach. Szybko wrócił do rzeczywistości i uśmiechnął się.

— Nie, Gurnionie. Dostarczymy je do obozu najemników. Przekażemy je komendantowi A Murdocowi z najlepszymi życzeniami od Ognistej Ręki.

Roześmiał się cicho, domyślając się, co sobie pomyśleli.

— Może jest w tym trochę próżności, ale chcę utrwalić w pamięci A Murdocka, że Kraina Szafiru ma swoje miejsce przy domenach konfederackich. To przyda się, gdy dojdzie do podziału łupów z tej wojny.

— Oszuka nas... — zaczął rozżłoszczony Allran.

— Nie sądź. Oficerowie o złej reputacji nie dostają zbyt wielu zleceń, a z drugiej strony najemnicy niechętnie dzielą się z trudem zdobytym zyskiem z ludźmi, którzy nie cieszą się ich szacunkiem. To dlatego komendant A Murdoc musi zrozumieć, jak ważną rolę odegraliśmy w tej ciężkiej kampanii.

Nikt nie kwestionował faktu, że Jeran A Murdoc będzie miał coś do powiedzenia przy podziale łupów. Armia, którą dowodził, mogła być wynajęta tylko dzięki obietnicy wielkiego udziału w zdobyczy i ogromnej zapłaty w złocie.

Eveleen potrząsnęła głową.

— Myślę, że Kraina Szafiru będzie w tym czasie w korzystnym położeniu, mając po swojej stronie Ognistą Rękę, tak jak teraz ma go w czasie wojny — powiedziała z podziwem.

— Jeśli nasi zleceniodawcy przegrają, my przegramy również — odparł nieco skrępowany Murdock.

Allran popatrzył na niego dziwnie ostro.

— O wiele za wcześnie mówimy o jakimkolwiek dzieleniu łupów.

— Tak, przed nami jeszcze dużo ciężkich walk — zgodził się Ross. Wyprostował się.

— Dosiadajmy wierzchowców. Został jeszcze konwój. Nie dajmy mu za długo czekać.

## 14.

Wkrótce schwyte płowce i dokładnie przesłuchani jeńcy gotowi byli do drogi.

Główne siły partyzanckie poczekały z wymarszem, dopóki nie zniknęli im z oczu. Murdock starał się nigdy nie dopuszczać do tego, żeby jeńcy, bez względu na to, jak byli pilnowani, widzieli cokolwiek, co mogłoby zdradzać jego zamiary lub przypuszczamy kierunek marszu.

Skrzywił się teraz, gdy Eveleen wskoczyła na siodło i zbliżyła się do niego ze swoją łanią.

— Dlaczego jedziesz na Komecie zamiast na Iskrze? — zapytał szorstkim tonem. Zauważył to już na początku wyprawy, ale wtedy i me było okazji, żeby ją zapytać, a potem zapomniał o sprawie.

Eveleen zdziwił ton jego pytania, ale nie dała się wyprowadzić z równowagi.

— Ponieważ Iskrze wbił się kamień w kopyto podczas ostatniej wyprawy.

— Przepraszam, Eveleen — powiedział po chwili Ross — wybór wierzchowca jest sprawą wojownika.

— W porządku — odparła. — Dziwi mnie tylko twoja niechęć do Komety. To wspaniałe zwierzę.

— Wiem, ale nie może się równać z Iskrą. — Spojrzał na drogę przed nimi. — Tak wiele zależy od naszych wierzchowców. Nie podoba mi się myśl, że możesz narazić się na niebezpieczeństwo z powodu jakiejś niedbałości...

Wzruszyła ramionami.

— Kometa nie jest gorsza od naszych pozostałych jeleni.

Przez następne kilka godzin partyzanci niewiele rozmawiali. Byli zmęczeni. Jechali długo, stoczyli już jedną bitwę i wiedzieli, że czeka ich kolejne starcie, oczywiście o ile dowódca dobrze odczytał intencje nieprzyjaciela i dobrze zaplanował marszrutę.

Zmiana krajobrazu wskazująca na bliskość miejsca zaplanowanego ataku nastąpiła dość nagle. Wzgórza były coraz wyższe i bardziej strome, coraz bardziej nierówne i trudniejsze do pokonania. Na stokach pojawiły się najpierw krzaki, a potem skupiska drzew. Było ich coraz więcej, aż wreszcie zaczął się regularny, gęsty las pokrywający cały teren.

W długiej rozpadlinie przecinającej łańcuch wzgórz i wyglądającej, jakby Bogini Życia nacięła potężnym nożem skały, kiedy jeszcze były miękkie, dostrzeżono konwój.

Ross uznał, że konwój nie zmieni trasy. Była prosta i w miarę łatwa do przejścia. Poza tym trudno było wydostać się z rozpadliny. Jeźdźcy mogli co prawda bez trudu pokonać strome stoki po obu stronach drogi, ale inaczej było z niezgrabnymi, prawdopodobnie wyładowanymi po brzegi wozami. Tak czy inaczej, konwój musiał się trzymać raz obranej drogi.

Prawda, że miejsce to świetnie nadawało się na zasadzkę, ale właściwie to samo można było powiedzieć o całej nizinie Krainy Szafiru. Najeźdźcy liczyli prawdopodobnie na to, że obroni ich utrzymanie tajemnicy i liczebność. Postanowili przejechać rozpadliną z nadzieją, że nic im się nie stanie.

Agent czasu nie był zachwycony trasą, którą jechał konwój. Jeszcze mniej podobała mu się ona, gdy dotarł na miejsce i musiał podjąć decyzję o kierunku ataku. Rozpadlina była zbyt wąska, a okoliczne zbocza zbyt strome, żeby zorganizować zasadzkę, którą obmyślił wcześniej. Chciał błyskawicznie zetrzeć się z wrogiem,

uderzyć jednocześnie na całej linii obrony i szybko ją przerwać, ale urwiska ciągnące się wzdłuż przepastnej szczeliny nie dawały miejsca na taki manewr. Musi zmienić taktykę i mieć nadzieję, że cena zwycięstwa nie będzie za wysoka.

Murdock wybrał — jak sądził — najlepsze miejsce ataku i ukrył się tam ze swoimi ludźmi. Jego oddział był co najmniej o jedną trzecią liczniejszy od oddziału wroga. Jeśli nawet nie uda mu się pokonać jeźdźców eskorty i zdobyć zapasów, to przynajmniej powstrzyma kolumnę wystarczająco długo, żeby podpalić wozy, oczywiście pod warunkiem, że w ogóle będą tędy przejeżdżać.

Rozkazy były proste. Oddział Allrana czekał w miejscu, w którym urwisko skręcało. Kiedy pierwsza część kolumny wroga osiągnie to miejsce, ma wyskoczyć na nich z zasadzki. Oddział Rossa będzie czekał w ukryciu przed zakrętem. Kiedy dotrą do niego głosy szarzy, uderzy od tyłu, na rozciągnięte siły wroga. Pozostali partyzanci, ci, którymi dowodziła Eveleen Riordan, zostali podzieleni. Część z nich pojechała naprzód, część została w tyle. Mieli działać jako lotne szwadrony, spiesząc z pomocą tam, gdzie to będzie potrzebne. Ich zadaniem było również wiązanie walką jeźdźców ze środka konwoju tak, żeby nie mogli przebić się z okrażnia albo przyjść z pomocą zaatakowanym towarzyszom.

Ross westchnął. Jak na te warunki i jego zdolności taktyczne plan był dobry. Jeśli szczęście będzie im sprzyjać, osiągną całkowite zwycięstwo. Jeśli nie, będzie to bitwa okupiona dużymi stratami.

Spowaźniał.

Do bitwy może nie dojść, jeśli wróg wybierze inną drogę.

Czekali już ponad trzy godziny. O dwie godziny dłużej, niż przewidywał Murdock. Nie powinno być takiej różnicy w stosunku do jego przewidywań. Opóźnienie mogło się zdarzyć stada, ale nie kolumnie wozów, która rozwija mniej więcej stałą szybkość. Uwzględnił przecież w kalkulacjach wszystkie czynniki.

Ziemia bez śladów kół i kopyt wskazywała, że jeszcze tędy nie przechodzili, ale mogli przecież wybrać inną trasę.

Mogło się zdarzyć, że jeden z wozów się zepsuł i zablokował drogę.

Może jechali po prostu trochę wolniej, niż mogli, wiedząc, że w takim terenie więcej czasu strącana naprawą złamanych kół i osi, niż zyskają na pośpiechu.

Odetchnął głęboko. Konwój wreszcie nadciągał. Taka ilość wozów nie mogła poruszać się bezszelestnie nawet w gęsto zalesionej okolicy i partyzanci usłyszeli wroga na długo przed tym, zanim zobaczyli jego straż przednią.

Najeźdźcy wyglądali na zmęczonych. Byli spoceni, mimo chłodnego jesiennego wiatru owiewającego dolinę. Twarze i ubrania mieli brudne. Widać było, że przebyta przez nich długa droga nie była łatwa.

Rossowi serce tłukło się w piersi. Jeśli teraz albo w ciągu najbliższych paru minut zostaną wykryci, zanim Allran wkroczy do akcji, bój będzie ciężki bez względu na ich przewagę liczebną.

Oczy Terranina były lodowate. Wozy przetaczały się koło niego, każdy z nich ciągnięty przez cztery silne zwierzęta. W odstępach między wozami jechali wojownicy. Wyglądali na równie zmęczonych podróżą, jak strażnicy stada, ale w odróżnieniu od tamtych jechali czujnie, z dłońmi na rękojeściach mieczy. Wszyscy nosili znaki Dworu Kondora.

To zła nowina. Ci ludzie nie załamują się, nie odrzucają broni, tak jak zrobili to najemnicy prowadzący stado. Zanthorowi najwidoczniej zależało, żeby ten transport się przedarł.

Ross uniósł głowę na swój zawadiacki sposób. Już on się postara, żeby pokrzyżować plany Zanthorowi.

Minuty wlokły się powoli. Czy pierwsi jeźdźcy dotarli już do pozycji Allrana?

Nagle do Murdocka dotarły znajome, straszne odgłosy bitwy — krzyki, przekleństwa, ryki wystraszonych jeleni, zgrzyt stali uderzającej o stal.

Ledwie usłyszał te dźwięki, spał Lady Gay i ruszył przed siebie. Partyzanci zalali wąski przesmyk, pędząc jak szaleni, żeby okrążyć tylną straż wroga.

Ukształtowanie terenu sprawiło, że w pierwszych chwilach bitwy, dopóki atakujący nie dotarli do wyznaczonych celów, obie strony walczyły mniej więcej wyrównanymi siłami. Nieprzyjaciel najwyraźniej zdawał sobie sprawę z tego, że szczupłość miejsca da im przewagę, jeżeli zostaną zaatakowani, i odpowiedział na atak z zaskakującą szybkością. Jego celem było powalenie jak największej liczby wrogów w jak najkrótszym czasie i zablokowanie wąskiego przejścia tak, żeby mieć do czynienia z ograniczoną liczbą przeciwników.

Wysokie urwiska ciągnące się wzdłuż trasy sprzyjały tym planom. Było tu tylko tyle miejsca, że zaledwie kilku jeźdźców z obu stron mogło się zmieścić w jednym szeregu.

Wojownicy Dworu Kondora byli odważni i dobrze posługiwali się bronią. Walczyli na śmierć i życie. Upłynęło dużo czasu i mnóstwo krwi, zanim partyzantom udało się przełamać ich obronę. Jeszcze więcej czasu zajęło im przebicie się wzdłuż linii wozów, z których większość posłużyła do zablokowania drogi.

Walczone o każdą piędź ziemi, aż wreszcie oba oddziały Krainy Szafiru spotkały się, zamykając nielicznych już obrońców między swoimi szeregami.

Nikt nie wzywał do poddania się, nikt nie prosił o łaskę. Ci, którzy przeżyli, walczyli zajadle dalej, zdecydowani sprzedać życie jak najdrożej.

Przebieg bitwy sprawił, że w ostatniej fazie zmagania troje przywódców partyzanckich walczyło obok siebie. Eveleen i Allran byli tak blisko, że jedno mogłoby osłonić się tarczą drugiego. Murdock był oddalony od nich o kilka metrów.

Eveleen walczyła jak bogini zemsty, precyzyjnie i z zimną furią zabijając łupieżców, zabójców i krzywdzicieli ludu, który zaczęła kochać. Zawsze tak z nią było i niedługo po tym, jak partyzanci rozpoczęli swoją wojnę, wojownicy Dworu Kondora zaczęli ją nienawidzić i bać jej niesamowitych zdolności wojennych nie mniej, niż bali się i nienawidzili jej legendarnego przywódcy.

Ten, naprzeciwno którego teraz stanęła, rozpoznał ją. Wolałby pewnie zmierzyć się z innym, mniej zaciekłym wrogiem, ale skoro już los zadecydował, że tak ma być, pomyślał, że dobrze byłoby odejść w zaświaty z jej duszą na końcu miecza. Wierzył, że jej umiejętności, jakiegokolwiek były, nie przewyższały jego.

Zanurkował, pierwszy sztych miał być mylący i dopiero drugie uderzenie miecza miało ją zabić.

Jednak jego jeleni poślizgnął się w chwili, gdy wyrzucił ramię do przodu, i ostrze, zamiast przebić Eveleen, wbiło się w szyję jej wierzchowca.

Kometa przysiadła z bólu i ze strachu na zadzie, potem ciężko upadła, zrzucając jeźdźca i przygniatając go swym cielskiem.

Allran powalił swojego przeciwnika i w tej samej chwili usłyszał śmiertelne rżenie jelenia Eveleen. Odwrócił się dokładnie w chwili upadku Komety.

Z okrzykiem wściekłości rzucił się na wroga, celując mieczem w jego pierś. Cios był tak mocny, że przebił przeciwnika. Śmiertelnie ugodzony jeździec wyleciał z siodła, zabierając z sobą broń, która pozbawiła go życia.

Porucznik zeskoczył z jelenia. W tym miejscu bitwy nie było teraz niebezpieczeństwa poza strasznym, miazdzącym ciężarem spoczywającym na kruchym ciele Eveleen.

Na pomoc pospieszyło mu kilku innych partyzantów, którzy też zdążyli się pozbyć

przeciwników. Razem podnieśli zabite zwierzę i wyciągnęli spod niego Terrankę.

Przeciwnik Murdocka padł od pchnięcia mieczem, które zdawało się być zaledwie muśnięciem jego ostrza. Pozostał jeszcze jeden wróg, ale zajął się nim Gordon i jeden z partyzantów, zanim ich dowódca zdążył podjąć wyzwanie. Murdock poczuł się uwolniony przynajmniej od ponurego widma śmierci.

Odwrócił się, by ogarnąć wzrokiem nagle dziwnie ciche pole walki.

Ross pobladł, jakby sam otrzymał śmiertelny cios. Niedaleko po jego prawej stronie Allran nachylał się nad nieruchomą kobietą postacią. Jej kasztanowe włosy ujęte w złotą siatkę i nienaturalnie białą twarz widział aż nazbyt wyraźnie. Obok stało kilku innych wojowników, ale Murdock wpatrywał się tylko w dwóch swoich poruczników, nie mogąc nawet wymówić ich imion.

Szok zmroził mu serce w piersiach. Byle nie to, pomyślał, zrozpaczony i przerażony. Niech się dzieje, co chce, byle nie to. Nie Eveleen.

Lady Gay błyskawicznie podjechała do nich.

Murdock zeskoczył z siodła, zanim jego łania się zatrzymała.

Kłęczący człowiek spojrzał w górę. Twarz miał ponurą. Wypisany był na niej smutek, gniew i poczucie bezsilności.

— Kometa upadła na nią. Właśnie przestała oddychać...

— Rozejdźcie się! — agent czasu rzucił się do Eveleen, roztrzając wszystkich na boki.

Przytknął usta do jej ust i złapał ją za nos lewą ręką, żeby wpompowywane powietrze nie uciekało tą drogą.

Czuł, jak rozszerza się jej klatka piersiowa, nacisnął, powietrze wyleciało, znów napełnił jej płuca własnym oddechem. Minęło dziesięć minut, dwadzieścia. Był coraz bardziej zmęczony, kiedy — jak mu się wydawało — usłyszał cichy jęk.

Wyobraźnia?

Ross przysiadł na piętach. Nie, jej pierś unosiła się już samodzielnie.

Zanim zdołał się nachylić, żeby dalej nieść jej pomoc, Evelyn otworzyła oczy i spojrzała na niego. Była oszołomiona i przez moment nie mogła skupić wzroku, potem, gdy odyskała pamięć, jej źrenice rozszerzyły się, kiedy przypomniała sobie chwile grozy, przeżyła.

— Spokojnie! — powiedział szybko. — Już po wszystkim.

— Kometa? — zapytała słabym głosem po chwili milczenia.

— Zginęła niemal natychmiast. Przykro mi.

— Żle ją oceniałeś — wyszeptwała. — To nie była jej wina...

— Wiem — odpowiedział Murdock. — Ale teraz się uspokój, proszę. Gordon tu jest, niech cię obejrzy.

Wyraziła zgodę kiwnięciem głową, a Murdock wstał, robiąc miejsce dla partnera.

Ross stwierdził, że wszystko jest w porządku. Wiedział, że tak będzie.

Ożywiona aktywność, która zawsze łączyła się z liczeniem łupów, nie ustawała, bo konwój należał do wielkich, a każdy wóz musiał być dokładnie przeszukany i wszystkie znalezione dobra załadowane na pojmane jelenie. To, czego nie zabiorą ze sobą, będą musieli spalić. Nie cierpiał tego, ale wozy były zbyt powolne i ciężkie, a poruszanie się z nimi zbyt ryzykowne.

Rannym trzeba było poświęcić wiele starań. Było ich dużo zarówno wśród wojowników Krainy Szafiru, jak i wśród najeźdźców, z których wielu przed poddaniem się odniosło po trzy lub cztery rany.

Niektórzy z rannych byli na granicy życia i śmierci i Ashe był zmuszony zająć się raczej nimi niż Eveleen. Murdock wyprowadził ją już z największego

niebezpieczeństwa, a gdyby Gordon zajął się teraz tylko nią, kosztowałyby to życie wielu innych rannych. Dopiero gdy wszystkich opatrzył, mógł zastąpić Rossa i poświęcić się wyłącznie rannej Terrance.

Kiedy komendant upewnił się, że po zwycięstwie nie pojawią się żadne niespodziewane komplikacje, odszukał Allrana i odprowadził go na bok.

— Przepraszam, że cię tak odepchnąłem. Porucznik potrząsnął głową.

— Zapomnij o tym. Powinienem od razu zabrać się do jej ratowania tak, jak ty to zrobiłeś.

— I tak byś zrobił, gdybym dał ci na to jeszcze chwilę czasu. Ten wstrząs oszołomił nas wszystkich. Wszystko robiłem instynktownie. Porucznik uśmiechnął się lekko.

— Eveleen ma teraz powody, żeby być ci wdzięczną za ten instynkt.

— Jeśli nie ma jakichś obrażeń wewnętrznych — odparł ponuro Murdock.

— Niewiele by zyskała, gdyby teraz miała umierać powoli i w męczarniach, zamiast bezboleśnie, jak zapewne stałoby się w przypadku, gdybym nie interweniował.

To samo pomyślał porucznik i zatroskany pokiwał głową.

— Może Gordon już wkrótce powie nam, jak się rzeczy mają.

W chwilę później dołączył do nich Ashe. Nie był w stanie powiedzieć niczego pewnego. Przypuszczał jedynie, że Eveleen nie odniosła jakichś nieodwracalnych czy poważnych uszkodzeń. Była tylko potwornie potłuczona. Szok i ciężar, który spadł na nią, spowodowały tymczasowe wstrzymanie pracy płuc, ale wewnętrznych obrażeń być nie powinno. Był prawie pewny, że nie doszło do złamań czy zgnieceń kości, ale więcej po prostu nie wiedział. Dopiero dokładniejsze badania oraz kilkudniowa baczna obserwacja pozwolą odpowiedzieć na inne pytania. Do tego czasu, dopóki nie okaże się, że jest zdrowa, musi być uważana za ciężko ranną i to mimo jej protestów i zapewnień, że jest zdolna do dalszej walki, gdyby zaszła taka potrzeba.

## 15.

W końcu partyzanci byli gotowi do drogi. Podzielili się, jak to było w ich zwyczaju, na mniejsze oddziały. Część z nich, wioząca łupy i jeńców, udała się na południe, podczas gdy większość wróciła w góry, zabierając ze sobą, to czego potrzebowali ze zdobytych zapasów i — oczywiście — własnych rannych.

Szok wywołany upadkiem nie ustąpił szybko i w gruncie rzeczy Eveleen była bardzo zadowolona, że może jechać na noszach, mimo iż mówiła zupełnie co innego.

Powrót do bazy był jedną z najgorszych podróży, jakie przeżył Murdock. Była tak ciężka, jak wtedy, kiedy na swojej własnej planecie uciekał w dół rzeki przed depczącymi mu po piętach Łysawcami. Poznał wtedy, co to znaczy przerażenie, rozpacz, ból fizyczny i wyczerpanie. Teraz dręczyły go niepewność i strach tak wielki, że gdyby nie silna wola, rozchorowałby się od tego.

Oddział jechał bez wytchnienia przez cały dzień i długo po zapadnięciu zmroku, wioząc z sobą wielu rannych, niektórych bardzo ciężko. Murdock nie chciał narazić się na starcie z nieprzyjacielskim oddziałem podążającym za nimi, aby pomścić swoje klęski. Dopiero gdy zmęczenie wojowników i wierzchowców zaczęło być groźbą samą w sobie, zezwolił na postój.

Świt nie rozproszył jego czarnych myśli. Jeden z rannych zmarł w nocy, stan drugiego był krytyczny.

Raport Gordona o stanie zdrowia Eveleen był zasadniczo taki sam, ale archeolog był tym razem bardziej wstrzemięźliwy w opiniach. Odczuwała dotkliwy ból w wielu miejscach, ale on jeszcze nie był w stanie określić, czy przyczyną były stłuczenia, czy też coś poważniejszego. Zapewniał jednak towarzyszy, że nie znalazł żadnych objawów obrażeń wewnętrznych, które powinny się ujawnić w tych niesprzyjających warunkach.

Ross pochylił głowę, słuchając Gordona. Starł się uwierzyć w pocieszenia, ale tylko utwierdzał się w rozpacz. Ashe był naprawdę dobry i w oczach dominiońskich sprzymierzeńców uchodził niemal za cudotwórcę, ale przecież wojownicy umierali mimo jego opieki. Kobiety i mężczyźni mogliby przeżyć, gdyby opiekował się nimi prawdziwy lekarz albo gdyby zawieziono ich do prawdziwego szpitala i tam poddano leczeniu. Brak właściwej opieki mógł również z łatwością uśmiercić Eveleen.

Partyzanci ruszyli w dalszą podróż z nastaniem świtu i nie zwolnili tempa, nawet gdy, dotarli do gór ani nie zatrzymali się, dopóki nie dotarli do głównego obozu.

Ross czekał, aż zaopiekowano się odpowiednio rannymi, i natychmiast poszedł złożyć meldunek Lurocowi.

Ton nie przerwał ani razu swojemu kapitanowi i nie przemówił natychmiast, gdy ten skończył. Murdock nie zostawił wiele miejsca na pytania i wątpliwości, a prawdę mówiąc, nie miał ochoty opowiadać o szczegółach, nawet gdyby ton tego chciał. Był kompletnie wykończony.

Agent siedział na swoim zwykłym miejscu. Głowę miał opuszczoną, ramiona przygięte ciężarem zmęczenia i czymś w rodzaju poczucia klęski.

— Przynoszę ci drogo okupione zwycięstwo — odezwał się nagle po długiej pauzie, mówiąc z widocznym trudem. — Mamy jedenastu zabitych i czterdziestu rannych, z tego dwudziestu czterech ciężko, jeśli nawet okaże się, że Eveleen nie mieści się w tej liczbie. To najcięższe straty jakie ponieśliśmy, od czasu gdy ukryliśmy się w tych górach.



Gdy podniósł wzrok, jego szare oczy zdawały się być całkowicie pozbawione wyrazu.

— Powinienem był przewidzieć, jak postąpi eskorta konwoju, i dostosować do tego swój plan. Zrobili to, co i ja bym zrobił, gdybym był na ich miejscu. Jeśli nie chcesz, abym pozostał komendant składam rezygnację...

— Nie bądź głupcem! Czy uważasz się za równego Królowej Życia i sądzisz, że potrafisz zawsze odczytać ludzkie myśli? I tak udawało ci się to dość często, a przynajmniej tak to wyglądało.

I Loran popatrzył na niego i westchnął.

— Za pozwoleniem, Rossin. Masz już dość na głowie i beze mnie.

Ross wyprostował się z trudem.

— Masz rację. Jestem głupcem. Ale nie mogę nie smucić się stratami zarówno jako człowiek, jak i dowódca, który wie, że nie możemy sobie na nie pozwolić. Obowiązkiem dowódcy jest minimalizować straty, a teraz mam tylko poczucie klęski, że tego obowiązku nie dopełniłem.

— Bez powodu, jak sam najlepiej wiesz. Oczywiście, że opłakujemy zmarłych, ale musimy spodziewać się strat, kiedy mamy do czynienia z wojownikami Dworu Kondora, a nie z najemnikami. Zanthor przepełnił ich umysły opowieściami o rzekomej zemście, jakiej mamy dokonać na nich i ich rodzinach w przypadku zwycięstwa konfederacji. Twój oddział natknął się na znaczne siły Dworu Kondora i zapłacił cenę za ich pokonanie, cenę znacznie niższą, niż można by się spodziewać.

— A co do upadku Eveleen — dodał przebiegle — no cóż, to był po prostu wypadek, jedna z tych rzeczy, na które człowiek nie ma wpływu. Stało się to w czasie walki, a przecież równie dobrze mogła zostać przygnieciona przez swojego wierzchowca na polu ćwiczeń albo j na przykład podczas zwyczajnej przejażdżki.

Czarne oczy złagodniały.

— To ty uratowałeś jej życie.

— To nic nie znaczy, jeśli...

— To znaczy wszystko.

Ross jeszcze raz opuścił głowę, ale zaraz ją uniósł.

— Dzięki ci za to — powiedział cicho.

Terranin uśmiechnął się słabo do rozmówcy, który tak podniósł go na duchu.

— Jesteś wspaniałym obrońcą, tonie Luroc.

— Muszę nim być, skoro spada na mnie obowiązek przekonania tak nieugiętego oponenta. Ognista Ręka sam stawia sobie więcej zarzutów niż mają do niego inni.

Błysk pojawił się w oczach Murdocka.

— Słyszałem przecież, jak Luroc i Loran też źle mówi o sobie.

— Nazywałem go kozłem! Ale przecież nigdy nie byłem taki w stosunku do ciebie... A zresztą, czy kiedyś nie powiedziałem ci, że obaj jesteście bardzo uparci?

Ton rozparł się na krześle.

— Nikt w obozie Gurniona nie śmie powiedzieć ci złego słowa, kiedy twój dar dotrze na miejsce. — Potrząsnął głową. — Ten konwój jest łupem cenniejszym od złota. Koce, ubrania zimowe, medykamenty, żywność — wszystko, co miało pomóc ludziom i zwierzętom w przetrwaniu ostrej zimy — to materiały drogie i trudne do zdobycia. Zanthor będzie pod silną presją wysłania wkrótce drugiego takiego transportu i przez cały czas dokuczać mu będzie myśl, że i tym razem też nie ma gwarancji, że transport dotrze do celu, nawet jeśli uda mu się wszystko dobrze zorganizować.

— Będzie musiał próbować. — Murdock pochylił się do przodu. — Myślałem o tym, tonie. Kiedy następnym razem spotkasz się z tonem i Carlocem, zaproponuj mu, żeby — o ile pogoda na to pozwoli — utrzymał przynajmniej częściową aktywność

swojej armii podczas nadchodzącej zimy. Niech ciągle robi wypadki na nieprzyjaciela, niech zmusza go do zużywania zapasów. Im bardziej będziemy ich niepokoić podczas zimy, tym mniej odporni będą na naszą wiosenną ofensywę.

— To brzmi rozsądnie — zgodził się władca. — Chcę jednak, żebyś sam wyłożył swoje argumenty. Za dwa tygodnie zbiera się rada i to w rozszerzonym składzie. Od tej pory komendant wojenny Krainy Szafiru będzie brał w niej udział między innymi dlatego, że teraz będą tam obecni również najemnicy.

Agent czasu pokiwał głową.

— Najlepiej będzie, jeśli skoordynujemy nasze wysiłki, jak tylko to możliwe.

Kiedy załatwili już najważniejsze sprawy, Ross poczuł, że energia znów go opuszcza i wracają dręczące go czarne myśli.

Popatrzył na drzwi.

— Za twoim pozwoleniem, tonie Luroc, chciałbym pójść zobaczyć, jak miewa się Eveleen...

— Masz moje pozwolenie na pójście do łóżka... Nie, powstrzymam się od wydania takiego rozkazu, ale nalegam. Sygnał do walki może nadejść w każdej chwili. Za słaby jesteś teraz, żeby stanąć na czele wojowników, a jeszcze gorzej będzie z tobą za parę godzin, jeśli nie wykorzystasz okazji i nie wypoczniesz. Poza tym — bez ogródek — na nic się tam nie przydasz.

Murdock zeszywniał.

Luroc uśmiechnął się blade.

— Nie spodobało ci się to, co usłyszałeś, przyjacielu. Ale to prawda... Idź spać. Dobre czy złe wieści i tak szybko do ciebie dotrą.

## 16.

Agent czasu spał jak zabity, a kiedy się obudził, poznał po natężeniu światła zalewającego jego izbę, że jest już po południu.

Usiadł na łóżku i zaklął. Nawet w normalnej sytuacji po wyprawie jest za dużo roboty, żeby pozwolić sobie na takie marnotrawienie cennego czasu. A teraz...

Właśnie naciągał buty, kiedy lekkie stuknięcie zdradziło obecność Gordona.

Ross popatrzył na niego z lekka zirytowany.

— Podglądasz mnie przez dziurkę od klucza?

— Ależ nie — odparł Ashe radosnym głosem. — Po prostu przeglądałem papiery na twoim biurku i usłyszałem, że wstałeś.

Kapitan rozejrzał się po pokoju. Wszystko było na swoim miejscu, a ekwipunek bojowy przygotowany do walki. Widać Ashe znów się tu napracował, a przecież bez wątpienia większą część nocy spędził z rannymi. Zdawał się mieć nadludzką energię. Ale i to może się kiedyś skończyć.

— Zdaje się, że znowu cię wykorzystałem. Gordon uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Ależ nie. Spałem trochę poprzedniej nocy, kiedy ty trzymałeś wartę.

Murdock zeszywniał. Ogarnął go strach, chociaż swobodne zachowanie przyjaciela dodawało mu trochę ducha. Gordon na pewno nie mówiłby tak lekkim tonem, gdyby śmierć zebrała większe żniwo wśród rannych czy położyła swój cień na Eveleen Riordan.

— Były jakieś zgony tej nocy?

— Nie. I już nie będzie. Nawet Jorcan przetrwał kryzys.

— Eveleen? — zapytał Murdock, nie mogąc się już dłużej powstrzymać.

Jego paniczny strach był widoczny. Gordon położył mu rękę ramieniu.

— Czuje się dobrze, Ross. Niebezpieczeństwo minęło.

Murdock zamknął oczy. Był przygotowany na złą nowinę, teraz poczuł ulgę. Minęła chwila, zanim znów był w stanie mówić.

— Dziękuję, Gordon — wyszeptał. Zacerpnął tchu i opanował się. — Jest przytomna?

— Nasza pani porucznik nie śpi już od ponad godziny — powiadomił go Ashe.

— Dlaczego mnie nie wezwałeś? — zapytał ze złością.

— Ciężkie jest to nasze życie, ale mimo to nie chciałbym, żeby ktoś mnie go pozbawił. Ani ton Luroc, ani nasza ładna przyjaciółka nie byłiby zbyt zadowoleni, gdybym obudził cię przed czasem.

— Można ją odwiedzić?

— Oczywiście — popatrzył krytycznie na Rossa. — Ponieważ i tak minęło już sporo czasu, odkąd się obudziła, możesz jeszcze trochę poczekać, zjeść coś i doprowadzić się do porządku. Jeśli pokażesz jej się w takim stanie, to wbrew moim zapewnieniom uzna, że już nie należy do tego świata albo że stało się coś strasznego. Poza tym ona też potrzebuje trochę czasu. Marri pomaga jej się pozbierać po tym wszystkim.

Murdock znów zaczął się bać.

— Jak to — pomaga? Czy stało się coś złego? Gordon roześmiał się.

— Uspokój się! Jest uszywniona i obolała jak wszyscy diabli. Ty też byłbyś, gdyby runął na ciebie jelen.

Ross zaczerwienił się i przyjął to lekkie napomnienie z ulgą.

— Więc po śniadaniu... Czy inni już wstali?

— Kilku. Większość nadal śpi, a przynajmniej spała, kiedy tam byłem.  
— Jakiś raport? Archeolog pokręcił głową.  
— Nie. Nic się nie działo, kiedy nas nie było. Wszystko, co jest na biurku, może tam jeszcze jakiś czas poleżeć.

Murdock dla przyzwoitości poczekał jeszcze trochę, zanim wybrał się do chaty zajmowanej przez jego pierwszego oficera.

Zatrzymał się przez chwilę w drzwiach, chociaż Eveleen natychmiast odpowiedziała na jego pukanie i zaprosiła go do swojego małego pokoiku, który służył jej za całe mieszkanie.

Siedziała na łóżku wsparta na poduszkach z rozpuszczonymi włosami. Tak siedząc, wyglądała raczej na niedostępną córkę jakiegoś potężnego tona niż na energicznego oficera partyzantów, przy boku której żył i walczył w czasie ostatnich burzliwych miesięcy. Jednocześnie wyglądała jak mała, krucha, delikatna istotka, którą łatwo zranić. Pokonał rozczulenie i wszedł do izby, przez cały czas przypatrując się uważnie swojej podwładnej.

Jej drobna twarz nadal była bardzo blada, co sprawiało, że jej wielkie oczy wydawały się jeszcze większe i bardziej błyszczące, ale nie była posiniaczona.

Nie dotyczyło to reszty ciała i choć miała na sobie zapiętą ciasno pod szyją koszulę, która służyła jej jako piżama, Murdock zauważył kawałek ciemnobrązowego sińca wystający sponad kołnierzyka. Serce go zabolowało na ten widok, gdyż wiedział, jak łatwo w tym miejscu może nastąpić złamanie. Odczytała jego myśli i roześmiała się.

— Powiedziano mi, że będę żyć, Ognista Ręko. Chodź tu i usiądź, jeśli masz czas.

Skwapliwie skorzystał z zaproszenia. Zajął stojące niedaleko łóżka krzesło tak ustawione, żeby nie musiała wyciągnąć ani wykręcać głowy, patrząc na niego.

— Jak się czujesz?

— Obolała.

Uniosła rękę do włosów. Ruch był dziwnie powolny, jakby wymagał wiele wysiłku.

— Nie dałabym sobie rady nawet z fryzurą, gdyby nie pomoc Marri.

— To szybko przejdzie,

— Mam nadzieję! — odpowiedziała z pasją. — Ona nie da mi spokoju, dopóki tutaj będę.

— Musisz być cierpliwa, poruczniku — powiedział jej bez cienia współczucia.

— Zdaje się, że nie mam wyboru.

Uśmiechnął się na widok wyrazu jej twarzy.

— To nie potrwa długo. Nie sądziłem, że będziesz w takim stanie i że będziesz tak ładnie wyglądać — dodał, sądząc, że chętnie wysłucha komplementu po wypadku, który mógł ją co najmniej czasowo oszpecić. — Pięknie wyglądasz, wiesz.

Roześmiała się.

— Od szyi w górę. Reszta jest koszmarna!

Nagle rysy jej złagodniały, wyciągnęła do niego rękę.

— Nie wiem, jak ci dziękować za to, co dla mnie zrobiłeś, Ross.

Spletli palce.

— To, że widzę cię żywą, to dla mnie wystarczająca nagroda, Eveleen Riordan. Ścisnął jej dłoń mocniej. — Mówiłem, że nie chcę widzieć, jak narażasz się na niebezpieczeństwo. Teraz wiem, jak bardzo mi na rym zależy.

Poczuł się zakłopotany i ostrożnie puścił jej rękę, żeby nie drażnić poobijanych mięśni.

— Poruczniku Riordan, wyświadczyć przysługę swojemu dowódcy i kiedy

następnym razem będziesz spadała z jelenia, nie staraj się, żeby upadł na ciebie.

Zareagowała, jak przypuszczał. Skrzywiła się i wzdrygnęła.

— Nie ma obaw — to wola pani Fortuny! — powiedziała ze śmiechem.

Utkwiła w nim swoje błyszczące oczy.

— No dobrze, kapitanie Ognista Ręko, co zdobyliśmy w nagrodę za te wszystkie kłopoty?

Powiedział, co znaleźli w wozach.

Eveleen aż się uśmiechnęła, gdy tego wysłuchała. Podobnie jak Murdock wiedziała, jakie znaczenie mają zdobyte przez nich dobra, i chętnie by podyskutowała o ich przyszyłych akcjach, gdyby szef jej na to pozwolił.

Murdock wstał. Nie chciał zmęczyć jej swoją przedłużającą się obecnością, tym bardziej że twarz miała jakby bardziej ściągniętą i bólem, niż w chwili, gdy tu przyszedł.

— Tyle na dziś. Teraz odpoczywaj. Przez kilka dni zbierzemy myśli. Wtedy porozmawiamy.

Musiała się tym zadowolić. Wypytała go jeszcze o los innych i towarzyszy broni i wyciągnęła od niego obietnicę, że jeśli obowiązki mu na to pozwolą, wkrótce znów do niej wróci.

## 17.

Terranka pozostała w swojej kwaterze jeszcze dwa dni, ale potem poczuła się na tyle silna i rześka, że powróciła do swych zwykłych obowiązków. Nie wolno jej było tylko brać udziału w walkach. Ani Murdock, ani Ashe nie pozwoliliby jej na to tak szybko po fatalnym upadku. Kraina Szafiru nie potrzebowała aż tak bardzo wojowników, żeby ryzykować jej zdrowiem.

I tak zresztą nie zanosilo się na żadną wyprawę. Po ostatnim zwycięstwie zapadła cisza. Dwór Kondora nie wykazywał większej aktywności i partyzanci nie musieli schodzić z gór, nie licząc patroli bez ustanku przeczesujących niziny.

Dobrze wykorzystali ten czas. W obozie było wiele pracy. Z różnych powodów, a przede wszystkim ze względu na toczące się walki, nie było na nią do tej pory czasu. Sam obóz, jak i wartownie strzegące nielicznych przejść prowadzących do niego poddano dokładnemu przeglądowi i naprawiono to, co trzeba było naprawić, żeby sprostać wyzwaniom nadchodzącej zimy. Czuć już było jej oddech, czasem bardzo ostry, gdy wiał zimny wiatr od gór. Zadbano o to, żeby cywilom mieszkającym w wiosce nie zbywało na niczym, od czego zależałoby ich przetrwanie.

Oficerowie spotykali się często. Ross nie tylko z powodu uprzejmości powiedział Eveleen, że porozmawiają za kilka dni. Wszyscy wiedzieli, że ostatnie tygodnie tego roku, a jeszcze bardziej pierwsze tygodnie następnego, będą decydujące dla tej wojny. Starano się zatem jak najdokładniej przewidzieć ruchy przeciwnika i zaplanować własne przeciwdziałania.

Znalazło się też dużo czasu na odpoczynek przyjmowany z ogromną radością po całych tygodniach zmagania i wysiłków.

Z tych godzin odpoczynku kapitan był nie mniej zadowolony niż żołnierze, którymi dowodził. Wiele z nich spędzał z tonem Lurocem, którego towarzystwo bardzo mu odpowiadało, ale najwięcej z Gordonem i Eveleen.

Szczególnie z Eveleen. Kiedy zdał sobie sprawę ze swoich uczuć do niej i fakt ten zaakceptował, zaczął na nią patrzeć zupełnie inaczej. Był zdziwiony i zdenerwowany, że tak długo musiał to sobie uświadamiać.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że Eveleen Riordan zawsze starannie ukrywała swoje myśli i głębsze uczucia. W życiu była zmuszeń na rozpychać się łokciami, żeby nie dać się zniszczyć. Wcześniej, nauczyła się bronić, ukrywając swoją siłę i plany przed tymi, którzy byliby zdolni wykorzystać przeciwko niej jej tajemnice.

Murdock, jak i inni, którzy oceniali ją sprawiedliwie, nie potrzebował wiele czasu, żeby odkryć jej kompetencje, odwagę, poczucie humoru i inteligencję oraz jej łagodność jako towarzysza i jako kobiety, ale istniało przecież jeszcze jej życie wewnętrzne, ukryte pod maską, którą prezentowała światu, na co w ogóle nie zwracał dotąd uwagi.

Teraz odsłoniła trochę ten gruby welon, który ją chronił. Zobaczył wreszcie kawałek, a domyślił się reszty ukrytego wnętrza swojego towarzysza broni i pierwszego oficera. Te przelotne fragmenty ukazywały niezwykłą, pełną pogody duszę, która zaintrygowała go jeszcze bardziej. Chciał ją przeniknąć, choć instynkt podpowiadał mu, że nigdy nie dotrze do samego dna.

Eveleen pomagała mu. Tak mu zaufała, że mimo całej swojej dumy i niezależności zaczęła szukać z nim zbliżenia w tym obcym świecie i czasie. Doszło nawet do tego, że nie ukrywała przed nim, kiedy jakiś cień wdzierał się do jej jasnego wnętrza, choć nigdy nie mówiła o rym wprost.

Smutek ogarnął Eveleen tego popołudnia, kiedy po raz pierwszy po wypadku

spróbowała dosiąść jelenia.

Ross z początku nie pytał o to, ale zaczął się martwić, bo czas mijał, a ona ciągle chodziła zachmurzona. Coś ją nękało. Zastanawiał się, czy to nie jest obawa przed jazdą. Taki upadek łatwo mógł wzbudzić strach.

Eveleen Riordan nie miała na pozór tego rodzaju problemów. Bez trudu dosiadła Iskry i nie widać było po niej napięcia, ale to mogło być mylące. Jej odwaga i żelazna wola wystarczały, żeby stłumić wszelkie objawy skrajnej nawet paniki.

Może to w ogóle nie było to, ale Murdock bardzo pragnął uwolnić ją od wszelkich zmartwień.

— Świetnie sobie radzisz — zacznij z wahaniami.

— Tak. Prawie nic mnie już nie boli. Spojrzała na niego nagle.

— Myślisz, że mogę odczuwać strach przed jazdą? Czy to dlatego wybrałeś się ze mną na przejażdżkę?

Zaczerwienił się.

— Taka możliwość przyszła mi do głowy — przyznał. — Nie chciałem cię obrazić.

— Nie obraziłeś — zapewniła go cicho.

Jej brązowe oczy wpatrywały się w kapitana. Ich wyraz był poważny a zarazem czuły.

— Typowy z ciebie mężczyzna, Rossie Murdocku. — Potrząsnęła głową tak, że długi warkocz zatańczył na jej plecach. — Przebyliśmy długą drogę. Wjedźmy na to wzgórze i odpocznijmy trochę.

Mówiąc to, puściła Iskrę w szybki kłus i wysunęła się przed przyjaciele.

Murdock również pobudził Lady Gay do szybszego biegu, ale Eveleen zdążyła ich już trochę wyprzedzić i dotarła do celu przed nimi.

Oboje zsiadli i puścili luzno wodze, żeby zwierzęta wiedziały, iż mogą brodzić po trawie, nie odchodząc jednak zbyt daleko.

Było to piękne i dość niezwykle miejsce. Ten grzbiet, w odróżnieniu od innych z tego pasma, był dość wąski — nie miał więcej niż siedem metrów szerokości.

Murdock podszedł na sam szczyt. Serce zabiło mu szybciej, gdy spojrzał na niezwykle, niesamowity świat, rozciągający się u jego stóp.

Przed nim rozpościerała się dzika i niewysłowienie piękna okolica: góry, wzgórze, głębokie, strome doliny pokryte gęstym lasem, który miejscami ustępował i wtedy otwierały się pokryte wrzosem polany, nagie skały albo strumienie przecinające ogrom puszczy.

Jeziora stanowiły charakterystyczną cechę tego krajobrazu. Były niezbyt duże, ale niewiarygodnie głębokie i tak błękitne, że wyglądały jak płynne szafiry — to od nich, od ich obfitości i niezwyklego koloru domena wzięła swoją nazwę. Woda w nich była tak zimna, że można było poczuć ból, jeśli nieostrożnie wypilo się ją zbyt szybko. Zasilające je strumienie płynęły swobodnie i wartko, tworząc zniecałkane zdradzieckie wiry lub przemieniając się w zapierające dech, przepiękne wodospady.

Obramowaniem tego krajobrazu był odległy łańcuch górski, na którego szczytach błyszczały jaskrawozimne, lodowe czapy.

Agent czasu dobrze znał to miejsce. Często tu bywał, odkąd odkrył je ostatniej wiosny. Przyjeżdżał tu, kiedy obmyślał trudną operację, kiedy odczuwał potrzebę piękna i spokoju, rzadziej — kiedy był szczęśliwy i pełen nadziei. I zawsze znajdował ukojenie dla ducha.

Nigdy nie mówił o jego istnieniu i nie słyszał, żeby inni o nim wspominali, i choć zdawał sobie sprawę, że tutejsi mieszkańcy znali te góry bardzo dobrze, zawsze żywił skrytą nadzieję, że żaden z jego towarzyszy broni nie przywiązał się tak do tego wzgórze jak on.

Teraz jednak nie czuł zazdrości w stosunku do tej pięknej kobiety, która z nim tu przyjechała, przeciwnie — składał przed nią to miejsce tak, jak wierny składa klejnot u stóp bogini.

Odwrócił się do niej i uśmiechnął. Przeżywała to samo uniesienie co on. Już wiedziała, jaki dar chciał jej ofiarować.

Co więcej — ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że to ona jemu składa ten dar — zaproponowała przecież, żeby tutaj odpocząć.

— Często tu przyjeżdżasz? — zapytał. Skinęła głową, co jakoś go nie zdziwiło.

— Tobie to miejsce też nie jest obce, prawda, Ognista Ręko?

— Prawda.

Emanował od niej spokój. Westchnęła lekko:

— Czy to naprawdę będzie nasza ostatnia zima tutaj?

— To bardzo prawdopodobne. — Spoglądał na nią uważnie. — Nie chcesz pokoju?

Zdziwiony wyraz jej twarzy dał mu odpowiedź, zanim otworzyła usta, by powiedzieć.

— Pragnę go z całego serca! Ci ludzie powinni żyć i pracować tak, jak do tego przywykli. To zwykli ludzie, wiesz, przynajmniej większość z nich, bez względu na to, jak dobrze radzą sobie z wojennym rzemiosłem, które los kazał im wykonywać.

— Ty też jesteś w tym dobra. Kobieta energicznie kiwnęła głową.

— Znam się na bronii, a Zanthor i Yoroc jest wrogiem, którego łatwo znienawidzić. Każdy cios, który zadaję, uderza w samo serce jego pragnień. Żałuję, że nie jest to jego serce.

— Dlaczego, Eveleen? — zapytał łagodnie, zaskoczony gwałtownością, z jaką wypowiedziała ostatnie słowa. — Przecież to nie jest nasza wojna, nieprawdaż?

Popatrzyła na niego. Spojrzenie miała poważne, taksujące. Wreszcie odezwała się.

— Robię dla tego ludu to, czego nie mogłam zrobić dla swojego. Eveleen odeszła o kilka kroków i spojrzała na panoramę poniżej.

— Odkąd dowiedziałam się o Projekcie i o tym, że podróż w czasie jest nie tylko teoretycznie możliwa, ale że stała się faktem, chciałam wrócić do stuleci, w których mój lud cierpiał.

Murdock nic nie mówił, więc ponownie odwróciła się do niego.

— Wiem, że to jest niemożliwe. Nie zrobiłabym tego nawet, gdybym miała taką możliwość i całkowitą pewność, że wszystko dobrze się skończy. Nie jest bezpiecznie bawić się w Pana Boga i zmieniać bieg historii innych światów, ale na pewno nie ryzykowałabym czegoś takiego na własnej planecie. Nie ośmieliłabym się.

Wzruszyła ramionami.

— Ludzie z tej wyspy stoją przed takim samym niebezpieczeństwem, jakie zawisło kiedyś nad moim narodem. Pewien zły i potężny tyran usiłował zabrać ich ziemię, zabić przywódców i wszystkich tych, którzy dysponowali jakimiś zdolnościami. Uważam za przywilej, że mogę służyć teraz mieszkańcom Krainy Szafiru i uczynić dla nich wszystko to, czego nie byłam w stanie zrobić dla mojego ludu.

Uniosła głowę.

— Czy udało mi się zniszczyć swój wizerunek w twoich oczach?

— Nie. Ufam ci. Eveleen odprężyła się.

— Ty sam też nie zachowałeś neutralności. Wszyscy zauważyli twoją miłość do Krainy Szafiru.

Murdock pokiwał głową.

— Oddałbym życie i duszę za tę domenę. Po doświadczeniach z Foanna wiem dokładnie, co znaczą te słowa.

— Doceniam to, Ross — powiedziała. — Gordon powiedział kiedyś Lurocowi, że



jego ludzie poszliby za swoim władcą w ogień, bo ten broni ich przed niebezpieczeństwem. Ale dla ciebie ci ludzie rzuciliby się w morze ognia, poszliby w bój bez broni i na kolanach. Wszyscy, łącznie z I Loranem.

Murdock uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Nie raz przechodzili już przez ogień. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, kiedy jedziemy... — Nagle oczy mu rozbłyły. — Mógłbym tu zostać, Eveleen — powiedział szybko, zanim stracił odwagę. Pragnął wierzyć, że to co usłyszał to, była prawda, bo jeśli nie powie tego teraz, niepewność i zawstydzenie spowodują, że znowu zamknie się w sobie i zamilknie. — Byłbym w stanie zdobyć się na to. Mój udział w tym złocie, które zdobyliśmy plus to, co dostanę za służbę, pozwolą mi zebrać mały oddziałek. Sława, którą cieszy się Ognista Ręka, przyciągnie do mnie ludzi. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby niektórzy z moich partyzantów, szczególnie kobiety, nie wróciły do starego trybu życia, zwłaszcza odkrywszy, ile mogą zarobić. One także byłyby ze mną. Niewykluczone, że zanim wojna się skończy, zostanę zawodowym komendantem, a nie tylko komendantem czasu wojny.

— To jest możliwe, Ross — powiedziała cicho. — Powiedziałabym nawet, że to całkiem prawdopodobne.

Murdock zaczerpnął głęboko tchu. Posunął się bardzo daleko. Teraz musi dopowiedzieć resztę.

— Czy zostaniesz ze mną?

Spojrzeni sobie w oczy. Eveleen Riordan nie była dzieckiem. Wyraz jej twarzy był stanowczy i spokojny, choć zaskakująco ponury, zważywszy okoliczności.

— Tak, zostanę albo wrócę z tobą, jeśli ostatecznie tak postanowisz.

Było to powiedziane spokojnie i rzeczowo. Patrzył na nią, niezupełnie wierząc w to, co usłyszał, aż wreszcie jej cichy śmiech sprawił, że poczuł się bardzo młodo.

Ross podszedł do niej, objął ją ramionami i zaczął namiętnie całować.

W końcu Eveleen łagodnie odsunęła się.

— Cierpliwości, Ognista Ręko. Musimy to zrobić jak należy, wszystko we właściwym porządku.

— Dlaczego mnie to nie zaskakuje? — zażartował, bo przecież nikt tak nie znał Eveleen jak on.

Uśmiechnęła się.

— Jestem tradycjonalistką i miłośniczką ceremonii. Naprawdę, nie chcę być ich pozbawiona.

Pocałował ją jeszcze raz, tym razem już po bratersku.

— Kiedy tylko wrócimy do obozu, zobaczymy, czy uda się zaaranżować coś, co ci się spodoba — obiecał. Był bardzo szczęśliwy.

## 18.

Gdy ogłosili, że mają zamiar się pobrać, przyjaciele przyjęli to z ogromną radością, ale też z pewnym zaskoczeniem. Następnego wieczoru zgodnie z obyczajem panującym zarówno na wyspie, jak i na kontynencie złożyli przysięgę małżeńską przed kapłanką Bogini Życia.

Dominiońska bogini zdawała się uśmiechać do obojga, bo mijał dzień za dniem, a wróg nie sprawiał kłopotów i nie wykazywał się aktywnością. Mogli w spokoju przyzwyczajać się do nowej sytuacji i korzystać z życia.

Czas upływał dla Rossa za szybko. Zbliżał się dzień, w którym wraz z Lurocem mieli wyjechać na obrady zjednoczonych domen, a chciał mieć absolutną pewność, że jego żona już całkiem wyzdrowiała. Musiał być tego pewien. Do jego powrotu to ona będzie sprawować dowództwo i na nią spadnie odpowiedzialność za obóz Krainy Szafiru. Jeśli nie byłaby w pełni zdolna sprostać obowiązkowi, ktoś inny musiałby ją zastąpić.

Nie musiał się martwić. Sińce co prawda jeszcze do końca nie zeszły, ale mogła się już swobodnie poruszać. Partyzanci będą pod dobrym dowództwem bez względu na to, jakim przeciwnościom przyszłoby im stawić czoła.

Oddział tona wyruszył o świcie wyznaczonego dnia. Czekala ich długa, czterodniowa podróż, chociaż mieli się poruszać szybko i korzystać z górskich szlaków znanych tylko obrońcom Krainy Szafiru.

Murdock westchnął, kiedy stracili obóz z oczu. Czas zapowiadał się wprawdzie spokojny, ale komendant bał się najbliższych dni, wiedząc, ile bólu ta wyprawa kosztuje Luroca.

Zdrowie nie pozwalało I Loranowi na taką podróż. Będzie cierpieć, nawet gdyby ładna pogoda utrzymywała się przez cały czas. Gdyby pogoda się załamała, grozić mu będzie prawdziwe niebezpieczeństwo.

Ross zacisnął usta. Nie skończy się na tych czterech dniach. Obrady, choćby nawet przebiegały w serdecznej atmosferze, będąmęczące, a potem trzeba będzie wracać. Mógł mieć tylko nadzieję, że to wszystko razem nie nadszarpnie i tak już słabego zdrowia tona.

Z obawy o starszego człowieka poprosił Gordona, żeby im towarzyszył. Gdyby coś się stało, jeden dobry uzdrowiciel wart będzie dziesięciu wojowników.

Poza tym chciał go mieć przy sobie. Ross zawsze się denerwował, kiedy zmuszano go do uczestniczenia w takich naradach, choć zdarzało się to raczej rzadko. Było zbyt wielkie prawdopodobieństwo, że popełni jakiś błąd i czymś się zdradzi, a tym razem możliwość omyłki była nawet większa, bo w naradzie miał wziąć udział wysokiej rangi najemnik. Potrzebował od Gordona moralnego i praktycznego wsparcia. Grupę uzupełniało dwunastu szeregowych wojowników. Trzej przywódcy mogliby pokonać tę trasę sami, bo nie była trudna dla ludzi, którzy ją znali, a szansa na spotkanie z wrogiem była znikoma, ale ton uznał, że lepiej jechać z eskortą, jak nakazywał obyczaj. Skoro zacięta wojna ma się już ku końcowi, tym bardziej trzeba zwracać uwagę na niuanse polityczne.

Mimo obaw żywionych przez Terran podróż na południe odbyła się bez kłopotów i incydentów.

Luroc znosił ból bez skargi. Choć gdy każdego wieczoru zdejmowano go z wierzchowca był blady, następnego ranka najwyraźniej wracały mu siły i energia.

Ze względu na wpływ, jaki forsowna jazda wywierała na tona, postanowiono

przerwać podróż wcześniej i spędzić czwartą noc : w górach, zamiast od razu spieszyć do obozu konfederatów. Uznano bowiem, że lepiej pokazać sojusznikom wypoczętego władcę.

Kiedy wyruszyli, słońce było już dość wysoko. Ani Murdock, ani I Loran nie mieli ochoty niepotrzebnie straszyć wysuniętych placówek wartowniczych, chociaż przybycie innych tonów i ich wysokich rangą dowódców musiało być dla żołnierzy znakiem, że szykuje się jakaś ważna konferencja.

Strażnicy byli naprawdę zaskoczeni, widząc wojowników z Krainy Szafiru zbliżających się do ich górskiej warowni. Natychmiast byli gotowi do walki, ale ponieważ znali już zieleń i brąz ubiorów noszonych przez partyzantów, a ton I Loran często bywał w ich obozie, rozpoznali go bez trudu. Uprzejmie powitali władcę i jego eskortę i przepuścili ich bez zwłoki.

Wojownicy Krainy Szafiru po raz pierwszy, odkąd opuścili górski obóz, zaniepokoiли się o swoje bezpieczeństwo. Jakkolwiek takie spotkanie należało do rzadkości, wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, jak łatwo jakiś śmiały oddział mógłby przebić się przez posterunki, a żaden z nich nie życzyłby sobie teraz starcia z wojownikami Dworu Kondora, ponieważ mieli do wypełnienia tak ważną misję, a ze sobą człowieka niezdolnego ani do walki, ani do szybkiej ucieczki.

Na razie nie było niebezpieczeństwa. Przeszli przez główne pikiety, potem przez linię wartowników pilnujących samego obozu i znaleźli się w samym środku armii Południa.

Widok zapierał dech w piersiach zarówno wojownikom Krainy Szafiru, jak i agentom czasu.

Równe szeregi namiotów ciągnęły się poza linię horyzontu tej górskiej krainy. Wokół roilo się od żołnierzy i zwierząt, wszędzie leżały stosy ekwipunku. Liczba wojsk i obfitość zapasów były tym bardziej zaskakujące, że zgromadzono tu tylko część sił konfederacji: straż tylną, siły porządkowe, oddziały, które wróciły z frontu na krótki odpoczynek, gwardię przyboczną wodza i — teraz, w związku z naradą — oddziały nadciągających do obozu tonów.

Nie było po nich widać strachu. To miejsce strzeżone było przez góry i przez partyzantów Krainy Szafiru, którzy w nich panowali. Nie było zagrożenia zaciętymi walkami toczącymi się w okolicach Korytarza. Tylko w przypadku, gdyby siły Południa spotkała tam całkowita katastrofa, obóz znalazłby się w niebezpieczeństwie.

Wiele oczu zwróciło się w kierunku małego oddziału jadącego między rzędami namiotów. Z początku spojrzenia wyrażały tylko umiarkowane zdziwienie, ale wkrótce wojownicy z gór stali się obiektem wielkiego zainteresowania. Niezwykle było to, że na naradę przybył po raz pierwszy kapitan wojsk Krainy Szafiru. Niektórzy z gapiów znali go i szybko rozprzestrzeniła się wieść, że przybył Ognista Ręka ze swoimi partyzantami.

Tłum zgęstniał. Gordonowi nie spodobało się, że tylu ludzi tłoczy się wokół. Mógł być wśród nich szpieg albo zdrajca, a cena za głowę jego partnera była wysoka.

Ashe wydał krótki rozkaz i żołnierze eskorty wysunęli się w przód, tworząc żywą tarczę wokół swoich wodzów.

Ton Krainy Wierzb obserwował nowo przybyłych z progu wielkiego namiotu narad. Zaniemówił, widząc manewr eskorty, gdyż domyślił się, co mogło go sprowokować. Szybka reakcja na potencjalne niebezpieczeństwo, a przede wszystkim oddanie wojowników swoim wodzom wywarły na nim wielkie wrażenie. Zaklął w duchu, że nie przewidział takiego zagrożenia.

Gurnion rozkazał swoim żołnierzom, by oddalili się na odległość strzału z haku, potem wsiadł na swego jelenia i pospieszył na powitanie ludzi z Krainy Szafiru.

Ledwie się zbliżył, wyciągnął rękę, żeby powitać Luroca. Ross oddał honory

Gurnionowi i został nieco z tyłu, żeby obaj władcy mogli jechać obok siebie. Jego uwagę przyciągnęło coś innego. Kiedy zbliżyli się do namiotu narad, dostrzegł strażników stojących wokół. Byli wśród nich mężczyźni i kobiety, a ich czarne mundury zdradzały, że są najemnikami.

Przyglądali mu się z zainteresowaniem, choć nie tak otwartym, jak inni żołnierze.

Uniósł głowę. Nie musiał się wstydzić swoich towarzyszy ani prostej odzieży, w jaką byli ubrani. Wysiłki ich wszystkich sprawiły, że ubranie takie stało się wspaniałym mundurem.

Kiedy wraz z Gordonem dotarli do wejścia do namiotu, Ross jako pierwszy zsiadł z jelenia. Pospieszył z pomocą I Loranowi i podał mu kule, na których się wspierał.

Murdock nawet nie przypuszczał, jakie wrażenie wywrze ten prosty gest na ponurych strażnikach. Luroc i Loran był tak wspaniałymi i wartościowym człowiekiem, że wyświadczenie mu uprzejmości nie było tylko zwykłą grzecznością, ale zaszczytnym obowiązkiem.

Wszedł z władcą do środka. Ich towarzysze zostali na zewnątrz, wiedząc, że zebranie dotyczy tylko tonów i ich najwyższych rangą dowódców. Murdock wiedział jednak, że jego ludzie pozostaną w pobliżu namiotu, dopóki ich przywódcy nie wyłonią się z niego ponownie. Jego partyzanci byli niezwykle opiekuńczy wobec tych, których uznawali za swoich.

Ross stwierdził, że wszyscy są już obecni.

Tego należało się spodziewać. Ze względu na trudności podróży ton Krainy Szafiru wolał pojawiać się na takich spotkaniach jako ostami, załatwić sprawy najszybciej, jak to możliwe, i natychmiast odjechać. Nie lubił za długo pozostawać z dala od swoich, a duma nie pozwalała mu ukazywać publicznie kalectwa.

Ross objął wzrokiem zebranych władców zjednoczonych domen i komendanta najemników, którego wynajęli.

Oczywiście był tutaj Jeran A Murdoc, wysoki, ubrany na czarno mężczyzna z bogato inkrustowanym klejnotami rycerskim pasem, do którego przypięty był prosty, nie zdobiony miecz — broń zawodowca.

Miał pociągłe rysy twarzy, raczej jak Terranin niż mieszkaniec północnej części kontynentu i pobliskich wysp. Murdock odetchnął, gdyż nikt nie doszukiwał się pokrewieństwa ze słynnym oficerem, bo cera Jerana, jego oczy i włosy były czarne, by chronić go przed ostrym światłem rzucanym na planetę przez jej słońce.

Murdock przyglądał się w zamyśleniu I Loranowi. Czy ton chciał go wystawić na jakąś próbę?

Władca Krainy Wierzb jako dowódca armii konfederatów powtórzył powitanie. Tym razem przemawiał do Luroca z Krainy Szafiru formalnie, w imieniu wszystkich zebranych.

Zwrócił się też do agenta czasu:

— Witamy i ciebie pod naszym dachem, kapitanie Murdoc. I jak zwykle gratulujemy ci sukcesów i dziękujemy za to, co nam przysłałeś. Dołączam swoje osobiste gratulacje i podziękowania.

— Dzięki, tonie I Carlocu. Mieszkańcy Krainy Szafiru zawsze chętnie pomagają sprawie sprzymierzonych.

Inni tonowie, którzy znali I Lorana jeszcze z czasów młodości, przekazali mu osobiste pozdrowienia, po czym wszyscy podeszli do wielkiego okrągłego stołu przygotowanego specjalnie na tę okazję.

Ross poczekał, aż Luroc się usadowi, po czym zajął miejsce po jego prawej stronie.

Ton, który siedział dokładnie naprzeciwko nich, mężczyzna w średnim wieku, ciężko zbudowany, o aroganckim wyglądzie bardzo się nachmurzył.

Władca Krainy Szafiru dostrzegł jego spojrzenie i zeszywniał, a jego oczy rzucały czarne błyskawice.

— Kapitan A Murdock broni tych gór, które teraz osłaniają ten obóz. Jeśli tylko jeden z nas może usiąść, to ja musiałbym wstać i stanąć za nim.

Skarcony ton zaczerwienił się i spojrzał w inną stronę. Gumion szybko się podniósł.

— Pokój wam, tonie Lurocu i kapitanie. Dla przedstawicieli waszej domeny przygotowano dwa miejsca. Rada potrzebuje opinii obu.

Luroc skinął głową i odprężył się. Nie zazdrościł tonowi Krainy Wierzb zadania kontrolowania wszystkich zaproszonych tonów było ich bardzo wielu, a każdy miał swoje własne poglądy. Był rad, że nie wstąpił do konfederacji i występował jako jej sojusznik.

Nie było już dalszych trudności. I Carloc złożył sprawozdanie z przebiegu wojny i wyraził opinię, że nastąpiła pewna zmiana — I w serca i umysły wrogów powoli zaczął się wkradać strach. Jeśli i przeciwnik dobrze zaplanuje operacje i szczęście będzie mu sprzyjać, to w nadchodzącym roku wojna się skończy, a przynajmniej skończą się najbardziej zażarte walki.

Ton zapytał Rossa o opinię. Murdock potwierdził nadzieje wodza konfederacji i dodał, że jego zdaniem trzeba wzmocnić nacisk na najeźdźców i nękać ich, dopóki zima nie stanie się tak ostra, że trzeba będzie przerwać wszelkie aktywne działania wojskowe.

Ross popatrzył po kolei na każdego z obecnych.

— Zrozumcie — powiedział poważnie, gdy przeszedł do wniosków — wygramy, a przynajmniej mamy szansę wygrać, ale musimy! walczyć jak nigdy przedtem, kiedy uda nam się zepchnąć ich do zatoki. Zanthor będzie musiał wtedy wystąpić do walki zastępy Dworu Kondora wojujące z nieprawdopodobnym zapałem.

Zmarszczył brwi.

— Kiwacie głowami, ale my, w Krainie Szafiru, spotkaliśmy się już z nimi w walce — wy jeszcze nie. Wszystko, co wycierpieli wasi żołnierze do tej pory, nawet najcięższe starcia, jest niczym innym jak tylko próbą, przygotowaniem do tego, z czym przyjdzie się wam zmierzyć, kiedy zetkniecie się bezpośrednio z hufcami Dworu Kondora. Sama przewaga liczebna może się okazać niewystarczająca.

— Czy to twój przyjaciele, że tak bardzo ich chwalisz? — zapytał jeden z tonów z rozdrażnieniem.

Ross spojrzał na niego chłodno.

— To moi najwięksi wrogowie — odparł w końcu — ale obrażałbym siebie i moich towarzyszy broni, a także umacniałbym was w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa, za które zapłacilibyście później słoń, gdybym inaczej się o nich wyrażał. Bez względu na to, co myślimy o ich wodzu i ich sprawie, siły Dworu Kondora składają się z dzielnych ludzi, zaprawionych w walce. Nie poddają się, dopóki nie tracą życia lub świadomości.

— Stan tych, których nam przysłałeś jest najlepszym dowodem prawdziwości twoich słów — powiedział z goryczą ton I Carloc. — Cóż za marnotrawstwo, cóż za karygodne marnotrawstwo walecznych wojowników!

— Ich nieustępliwość właściwie nie powinna nas dziwić — powiedział agent. — Kochają swoich przyjaciół, a Zanthor mówił im, że zabijemy każdego z nich za rzeź, jaką urządzili na początku wojny, kiedy wydawało się, że ich pochodni nie da się powstrzymać. Nie mają powodu, żeby wątpić w jego słowa, jeśli się weźmie pod uwagę, jak sami się zachowują. Zanthor trzyma ich z dala od najemników, którzy szybko wyjaśniliby im, jak sprawy naprawdę wyglądają.

Narada powinna się już skończyć, ale ku niezadowoleniu Rossa, który coraz bardziej tracił cierpliwość, dyskusja wlokła się bez końca. Wszyscy zjednoczeni tonowie uważali, że wrogowi kończą się już siły i zapasy i że wiosną nadejdzie szybkie zwycięstwo. Ostrzeżenia Murdocka, że może ono być kosztowne, nie zmąciły ich entuzjazmu i zaostrzających się apetytów na łupy, które chcieli sobie zapewnić po zakończeniu wojny. Większości nie spodobał się pomysł nadwyrężania zasobów w stopniu większym, niż do tej pory, żeby trzymać w szachu pokonanego już ich zdaniem wroga, zanim zada mu się cios ostateczny.

Jeran A Murdoc zauważył spojrzenie Rossa i wzruszył ramionami. Też miał dosyć gadania o skarbach, które jeszcze nie zostały zdobyte.

— Dwór Kondora nadal dysponuje kolumnami najemników i własnym garnizonem — powiedział nagle, korzystając z chwilowej przerwy w rozmowach. — Nie można mówić o zwycięstwie, dopóki trwa wojna, szczególnie ta wojna. Proponuję, żebyśmy nękali wroga jak najdłużej, zanim nadciągnie zima, tak jak mówił Ognista Ręka. Zostawmy debatę o podziale ziem i dóbr Zanthora I Yoroca na później. Osłabł teraz, ale mimo to można sobie wyobrazić, że zapanuje w waszych domenach.

## 19.

Spotkanie ciągnęło się przez cały ranek i popołudnie aż do wczesnego wieczoru. W końcu wszystko, co mogło być zaplanowane i zorganizowane, oraz wszystko, co mogło być przewidziane dale w przyszłość, rozważono i podjęto odpowiednie decyzje. Zmęcz władcy wstali zza stołu wyczerpani duchowo i umysłowo, jak wyczerpani fizycznie wojownicy po wielogodzinnej bitwie.

Ton Gurnion nie chciał słyszeć o odjeździe oddziału z Krainy Szafiru o tak późnej porze. Nalegał, żeby Luroc zajął jego własny namiot i kazał rozbić w pobliżu namioty dla jego wojowników. Mimo całego swego męstwa i dumy I Loran był zadowolony z tej propozycji.

Ross towarzyszył władcy Krainy Szafiru w drodze do wielkiego i miotu I Carlroca. Rozmawiali o tym, jak zwiększyć nacisk i na linii zaopatrzenia Dworu Kondora w najbliższych, rozstrzygających tygodniach, po czym Terranin poprosił, aby Luroc pozwolił mu pójść do Ashe'a, z którym dzielił kwaterę. On też czuł się jak po stoczonym bitwie.

Ku jego zaskoczeniu I Loran pokręcił przecząco głową.

— Poczekaj jeszcze chwilę — powiedział. Wskazał wzrokiem i połowy stół stojący obok wejścia do namiotu. — Gurnion był miły, że zostawił nam trochę swojego wina.

Murdock przyniósł stół, postawił go przed tonem, po czym napełnił dwa puchary stojące przy karafce. Jeden z nich wręczył Lurocowi. Potem przysunął krzesło do swego władcy i usiadł obok niego.

Wziął trochę jasnego płynu na język. To był wyjątkowo dobry rocznik. Wino było lekkie i bardzo wytrawne.

Uśmiech pojawił się na jego ustach. Jeszcze nie tak dawno nie byłby w stanie docenić, jak było dobre. Ta umiejętność była jednym z dobrodziejstw obcowania z Gordonem Ashe'em przy okazji podróży z nim w czasie i przestrzeni.

Luroc wypił swoją porcję i aż zmrużył oczy z przyjemności.

— Od wieków nie piłem czegoś tak doskonałego.

— Wkrótce, choć nie natychmiast, znów będziesz mógł importować luksusowe dobra.

— Wiem. Muszę po prostu zachować cierpliwość. Nie możemy się spodziewać, że Zanthor I Yoroc zaopatrzy nas w takie wspaniałości, a ja nawet nie myślę o marnowaniu naszych rezerw na takie luksusy w naszej obecnej sytuacji.

Przełknął następny łyk i rozsiadł się wygodnie w krześle.

— Dobrze się sprawiłeś — powiedział Murdockowi.

— Ty też. — Nagle w oczach Rossa pojawił się gniew. — Przycisnąłbym cię do krzesła, gdybyś naprawdę spróbował wstać i oddać mi swoje miejsce.

Ton zachichotał. Podobała mu się bezpośredniość tego młodszego człowieka.

— Nie było obaw — zapewnił go. — Gurnion i Carlroc nie pozwoliłyby, żeby doszło do takiej zniewagi.

Czarne oczy tona wpatrywały się uważnie w Rossa.

— Przegrałem w innej sprawie. Wiedziałem, że będzie obecny komendant A Murdoc i pozwoliłem ci, żebyś paradował ubrany jak pastuch.

Ross wzruszył ramionami.

— Taką wojnę, jaką my prowadzimy, mogę przetrwać tylko w ubraniu pastucha. W bardziej eleganckim może mi się to nie udać.

Władca nadal wpatrywał się w niego.

— To prawda, ale wyżsi oficerowie i władcy połowę swego czasu spędzają na politycznych manewrach, a do tego potrzebne są odznaki świadczące o zajmowanym stanowisku. Musisz się tego nauczyć, Rossinie A Murdocku, jeśli w przyszłości chcesz dowodzić armią, a jak sądzę, zdobędziesz do tego prawo w ciągu najbliższych lat. Twoja służba u nas przygotowuje cię do zajęcia bardziej odpowiedniego stanowiska. Jeśli będziesz chciał, szybko to osiągniesz.

Agent odwrócił wzrok.

— Sam powiedziałeś, że nie możemy trwonić naszych środków na zbędne luksusy. Według mojego przekonania mundury zaliczają się do tej właśnie kategorii. Ci najemnicy dobrze o tym wiedzą.

— Masz rację, jeśli chodzi o wyprawy wojenne. Ale podczas spotkań takich jak to jest inaczej. — Luroc westchnął. — Nikt nie wini ciebie, ale Jeran A Murdoc niżej ocenia teraz Krainę Szafiru i mnie za to, że tak słabo cię wyposażam. Zauważyłem, w jaki sposób na mnie spojrział. Zrobiłeś zbyt wiele dobrego dla mojej domeny, żeby można było tolerować jakiegokolwiek zaniedbania z mojej strony.

— Ten komendant może wziąć swoje oceny i... — zaczął gwałtownie Ross.

— Widzisz, mój młody przyjacielu, to jest polityka. Tym było również wytknięcie mi błędu, który popełniam od tak dawna. Jestem ci winien więcej, Rossinie, niż kiedykolwiek będą ci w stanie zapłacić... Choć raz mi nie przerywaj! Czasem wystawiasz na próbę samą Boginię Życia.

— Mów dalej — Ross czuł się niezręcznie, ale wiedział, że teraz lepiej zamilknąć.

— Otrzymasz ustaloną w kontrakcie zapłatę i spłacimy zaciągnięte przez ciebie pożyczki. Dostaniesz też więcej niż zwyczajowy udział; w łupach. Ale nie będę mógł dać ci tego, co honor i serce mi podpowiadają. Obowiązki mam przede wszystkim wobec swojej domeny. Nawet wtedy, gdy po zwycięstwie otrzymamy sowitą rekompensatę, Krainie Szafiru potrzebne będą jej bogactwa i moje osobiste dobra, żeby odbudować jej świetność. Zniszczenia wojenne nie znikną wraz z ustaniem walk.

Ton wyprostował się.

— Przynies mi torbę. Tę czarną.

Murdock usłuchał. Luroc otworzył torbę i wyjął z niej zawiniątko owinięte w skórę i wręczył je Rossowi.

— Nosisz prosty pas rekruta, a przy tym jest on mocno zniszczony. Niech Ognista Ręka przynajmniej w towarzystwie obcych nosi swój miecz na tym.

Terranin mało nie zagwizdał, gdy odpakował zawiniątko. W środku był pas wysadzany wielkimi szmaragdami bez najmniejszej skazy.

— To... to zbyt wiele — wydusił w końcu. Luroc powiedział dziwnie miękkim tonem:

— Nie, to nie jest zbyt wiele. Ton znów przybrał zwykłą pozę.

— Gdybym miał drugiego syna, to dałbym to jemu, ale nie ma w moim domu syna, który miałby prawo dziedziczenia. Chcę, żebyś to wziął i był dla mnie drugim synem.

— Jego głos znów złagodniał. — Ja nie rozkazuję, Rossinie, ja proszę. Nie odmówisz mi chyba? Murdock pochylił głowę.

— Nie, nie mógłbym.

Zacisnął pas wokół wąskiej talii, odpiął miecz od starego pasa i przytroczył go do nowego. Prosta, podniszczona pochwa nie robiła złego wrażenia. To było jego narzędzie, a nie zabawka, a w czasie wojny liczyła się użyteczność. Żaden z uczestników narady nie nosił zdobnej pochwy nawet do niezwykle bogatego stroju.

— Znacznie lepiej — stwierdził Luroc I Loran. — Pamiętaj, żebyś wieczorem przynajmniej na chwilę pojawił się w pasie, nawet gdybyś był zmęczony. Noś go, dopóki nie wrócimy do naszego obozu.



— Zrobię to z przyjemnością, tonie — uśmiechnął się Ross. Luroc nadal mu się przyglądał. Patrząc teraz innym wzrokiem, aż zaskoczony Murdock zapytał:

— O co chodzi, tonie?

— Usiądź, Ognista Ręko.

Usiadł zaniepokojony nowym tonem w głosie władcy.

— Czy coś jest nie tak?

— To szczęście, że miałem ten pas — odparł Loran, jakby nie słyszał pytania. — W innym przypadku miałbym kłopot ze znalezieniem odpowiedniego dla ciebie daru, z którym mógłbyś pojawić się wśród swoich.

Agentowi czasu serce zabiło ze strachu, ale na zewnątrz tylko się nachmurzył.

— Jestem niezależny. Jak wiesz, nie jestem związany z żadną kolumną najemników.

— Z żadną na kontynencie ani na wyspach, które go otaczają — zgodził się ton. — Nie urodziłeś się w żadnej z krain znanych memu ludowi, a jeśli nawet, to twoja rasa z pewnością nie stąd pochodzi. Kiedy mówiłem, że wkrótce obejmiesz wysokie stanowisko dowódcze, nie miałem na myśli żołnierzy z jakiegokolwiek ze znanych mi obszarów.

— Co masz na myśli? — Murdock był zaniepokojony, ale zmusił się, żeby wyglądać na poirytowanego. Luroc stłumił śmiech.

— Wiele podróżyowałem w młodości, Rossinie A Murdocku czy jakiegokolwiek naprawdę nosisz imię. Nigdy nie natrafiłem na lud, który przypominałby ciebie i dwoje twoich towarzyszy. Twoja twarz o rysach skalnej łasicy nie może pochodzić z północy ani ze środka kontynentu, a blada skóra wyklucza pochodzenie z południa. Jest was troje i najwyraźniej nie jesteście spokrewnieni, nie możesz wymówić się zatem niespotykaną mieszanką krwi. Jesteście obcymi wszyscy troje, tak nam obcymi, jakbyście wyłonili się z morskich głębin albo spod ziemi.

— Jeśli tak uważasz, to dlaczego...

— Nie przeceniaj mojej inteligencji. Minęło sporo czasu, zanim zdałem sobie sprawę, że nie potrafię nigdzie ci umiejscowić, a jeszcze więcej czasu straciłem na to, żeby uznać, że moje na pozór zwariowane domysły są prawdziwe.

— Co mam ci powiedzieć, pokajając się czy nazwać cię łgarzem lub szaleńcem?

— Nic nie mów. Wiem, że nie zdradzisz tych, którzy cię tu przyślali, ani powodów, dla których to zrobili, a nie chcę, żebyś kłamał.

Murdock zaczął rozpinąć pas, ale ton go powstrzymał:

— Podarunek jest szczerzy. Ty i twoi towarzysze udowodniliście aż nadto, że jesteście naszymi przyjaciółmi. Mówię to, żeby cię ostrzec. Byłem nikim, zanim spełniło się moje marzenie i wzeniłem się w Krainę Szafiru. Ten pas to mój podarunek ślubny... Dawno nabyte doświadczenia wojenne sprawiły, że uzdrowicielowi O Asheanowi łatwiej przyszło przekonać mnie niż moich kolegów tonów o niebezpieczeństwie, które zawisło nad naszymi domenami, ale wiedza, którą zebrałem w szerokim świecie, otworzyła mi oczy na waszą inność. Będziesz miał teraz do czynienia z innymi najemnikami oraz ze skonfederowanymi tonami, a im bardziej konflikt będzie miał się ku końcowi, tym częściej będziesz się z nimi spotykał. Uważaaj na swoje zachowanie i ostrzeż Gordona O Asheana, żeby też miał się na baczności, jeśli nie chcesz, żeby w końcu zmuszono cię do publicznego zdradzenia twojej prawdziwej tożsamości.

— A co z tobą? — zapytał Ross, nie potwierdzając słów tona ani nie zaprzeczając jego twierdzeniom. Było nie do wyobrażenia, żeby mieszkaniac Dominionu mógł dojść prawdy o ich pochodzeniu, ale Murdock chciał wiedzieć, jak blisko prawdy krążą podejrzenia tona. — A ty co myślisz o naszym pochodzeniu?

I Loran wzruszył ramionami.

— Tylko Królowa Życia wie. Osobiście nie sędzę, żeby nasz kontynent był jedyną wielką masą lądu na tym świecie, a istnieją różne stare opowieści o dziwnych podróżnikach. To nie ma znaczenia. Dobrze wspierasz sprawę Krainy Szafiru, a ja wiem wystarczająco dużo o was wszystkich, żeby móc stwierdzić, że wasza troska o nas jest szczerą, choć na początku waszym celem było tylko przeciwstawienie się Zanthorowi I Yorocowi.

Westchnął, jakby opłakując nieuchronną stratę.

— Ognista Ręko, ty i twoi przyjaciele nie musicie się obawiać niczego z mojej strony ani teraz, ani w przyszłości bez względu na to, czy odejdziecie, czy zostanieiecie w domenie, o którą walczyliście tak dzielnie. Jak mówiłem, chcę cię tylko ostrzec.

— Dzięki ci za to — odparł powoli Murdock. — Taka wieść, prawdziwa czy fałszywa, może wzbudzić strach i nieufność. Konfederacja nie może sobie pozwolić, żeby plotki rozbiły jej szeregi.

Luroc uśmiechnął się. To była celna uwaga.

— Odpowiedz mi na jedno pytanie, Rossinie, a potem okażę łaskę i pozwolę ci odejść. Czy przyjąłeś pas bo tak wypada, czy ze względu na miłość do mnie?

Terranin opuścił oczy. Zabolało go to pytanie.

— Z miłości, tonie.

— I w takim też duchu ten dar ci ofiarowałem. Ross popatrzył Lurocowi w oczy.

— Czy był to także sprawdzian?

— Ktoś z takim pochodzeniem, do jakiego się przyznajesz, powinien znać wartość tych kamieni. Nie. Byłem pewien, że moje domysły nie pomniejszą wymowy mego daru. Wasza trójka dobrze odgrywa swoje role, ale życie sprawiło, że jesteśmy ze sobą bliżej. Ktoś, kto już wcześniej żywił podejrzenia, bez trudu znajdzie w waszym zachowaniu wiele drobnych nieścisłości, które mogą się wydać podejrzone.

Ross Murdock opuścił namiot władcy. Czuł się tak, jakby go pobito. Musiał się na chwilę zatrzymać, żeby dojść do siebie.

Partyzant stojący na warcie już podnosił rękę by zaszalutować, ale zatrzymał ją w połowie, wpatrując się w pas wysadzany klejnotami. Otworzył szeroko oczy i usta ze zdumienia.

W następnej chwili wydał głośny okrzyk, który zaalarmował resztę kompanii.

Ich reakcja nie mogła być bardziej radosna i podniosła, a Ross aż się zwinął w sobie, gdy doszło do jego świadomości, jak ogromną popełnił pomyłkę, nie doceniając tego klejnotu.

Zrozumiał coś jeszcze i przepełniło go uczucie gorąca. Jako najemnik służył za złoto. Nie mógł się spodziewać niczego innego, jak tylko złota jako wynagrodzenia i nie mógł się spodziewać w oczach swego pana innego uznania niż za umiejętność walki i zdolności taktycznej, a w najlepszym wypadku — wyrażenia troski o stan zdrowia. Ten entuzjazm, ta radość z jego wywyższenia dowodziła, że i ciężko walczący o swój kraj ludzie żywią do niego również inne, znacznie głębsze uczucia.

Po kilku minutach Ashe wydobył go z rozradowanego tłumu i prawie zaciągnął do ich namiotu.

— Na wszystkie poziomy czasu co się stało? — zapytał, gdy zostali sami.

— Zdaje mi się, że Luroc adoptował mnie jako młodszego syna. — Obliznął wargi.

— Wie, że jesteśmy obcymi, a przynajmniej cudzoziemcami.

Po tym, jak Murdock zdał sprawę z tego, co odbyło się w namiocie władcy, archeolog milczał przez kilka minut.

— Myślę, że tego należało się spodziewać — powiedział wreszcie zmęczonym tonem. — Jak sam I Loran zauważył, za długo żyjemy w bezpośrednim kontakcie z

jego ludem. To było nieuniknione, że wydamy się podejrzani.

— Być może — powiedział gorzko Ross — ale gdybyś ty dowodził tą misją, nie stałoby się to tak szybko... Cholera! Byłem z nim tak często...

— A co innego mogłeś zrobić? — zapytał łagodnie Gordon. — Jesteś wodzem jego wojsk. Musiałeś z nim rozmawiać i przebywać z nim. Tak naprawdę, to ja bym chyba robił to jeszcze gorzej. Umysłem i temperamentem znacznie bardziej różnię się od niego niż ty.

— I co teraz? — Murdock stłumił uczucie winy. Nadal całkowicie nie wypełnili przydzielonego im zadania, ale nie ośmieliliby się zostać tutaj, aby je dokończyć, gdyby miało to być groźne dla Terry. Gdyby publicznie się zdradzili, gdyby historia o tym, jak ludzie z innego świata dokonali tu interwencji, dotarła do Łysawców, ich własna planeta mogłaby zostać zamieniona w pokryte popiołami rumowisko, tak jak Dominion.

— Rób dokładnie to, co powiedział ci Luroc. Zachowuj się tak, jak zazwyczaj. Ton I Loran to szczywany lis. Nie zechce tracić zwycięstwa ani narazić przyszłej pozycji Krainy Szafiru. On nas ostrzegł, a ty elegancko ostrzegłeś jego. Niech tak będzie.

— Ufasz mu?

— A ty nie?

Ross pokiwał głową.

— Tak, ale...

— Żadne ale. Ta adopcja była najwyraźniej prawdziwa. To jest odpowiedź na nasze pytanie o intencje I Lorana.

Murdock dotknął wysadzanego klejnotami pasa. Nagle spochmurniał.

— Chciałbym go zachować, ale nie zabiorę go z powrotem, aby jak jakiś mosiężny hełm nie zawisł na kołku w muzeum.

Gordon uśmiechnął się, rozpoznając w tych słowach starego Rossa Murdocka.

— Jak już mówiłem, nie ma zakazu przywożenia pamiątek. Po prostu schowaj pas pod ubraniem, kiedy będziemy dokonywali transferu, i nikomu o tym nie mów... Oczywiście, może się zdarzyć, że twoja żona będzie chciała zrobić sobie z tych kamieni naszyjnik.

— Ona też ich nie dostanie. — Odpowiedział uśmiechem na uśmiech. — Dziękuję, Gordonie.

Ashe wstał.

— Powstań, Ognista Ręko. Jak zrozumiałem, otrzymałeś polecenie, żeby pokazywać się w tym pasie. Myślę też sobie, że nasi przyjaciele zechcą teraz uczcić twoje wyróżnienie. Musisz się zgodzić, ale na litość niebios, nie daj się upić. Trzy szybkie głębsze tej ich mieszanki mogą zwalić nie przyzwyczajonego Terranina pod stół.

— W tym możesz mi zaufać, kolego. Po dzisiejszej rozmowie nie mam ochoty wypaplać przypadkiem czegoś o naszym zgranym zespole.

## 20.

Kiedy partyzanci dotarli z powrotem do gór, strażnicy na wysunie tych placówkach, dowiedziawszy się o nowym statusie swego dowódcy, okazali nie mniej gorący entuzjazm niż ich koledzy z eskorty Luroca. Jednak ze względu na wymagania pełnionej przez nich służby, wyrazili go nieco mniej hałaśliwie.

Po długiej podróży tonowi spieszo było do kwatery, ale nie omieszkał zauważyć, jak jego ludzie przyjmują wyróżnienie swego Nie przeoczył też, że Murdock, przyjmując gratulacje, zaczął z lekka zadzierać głowę. Gdy dojeżdżali do obozu, Luroc ściągnął wodze.

— Jedź pierwszy, Rossinie. To twój triumf.

— To nie byłoby w porządku, tonie I Lurocu... — zaczął protestować Murdock.

— Do diabła z obyczajami, Ognista Ręko. Nasi wojownicy uważają twój sukces za swój własny. Niech się nim nacieszą.

I Loran nie pomylił się co do reakcji swoich żołnierzy. Musiało minąć trochę czasu, zanim w spokojnym zazwyczaj obozie ucichły wiwaty. Jeśli Ross Murdock miał jakiegokolwiek wątpliwości co do; tego, czy traktują go tu z szacunkiem, wydarzenia tego dnia na pewno je usunęły.

Eveleen przyglądała się entuzjastycznemu powitaniu, nie biorąc w nim nazbyt aktywnego udziału. Zanim odszukała Rossa, poczekała, aż oddział zsiądzie z jeleni i wszyscy udadzą się do swoich kwater.

Zapukała do drzwi chaty, w której teraz zamieszkała razem z Murdockiem, i weszła do środka. Jej mąż siedział przy stole i zabierał się właśnie do przeglądania sterty porządnie ułożonych papierów, ale szybko wstał, żeby ją przywitać.

Padła mu w ramiona, całując go radośnie.

Odeszła wreszcie na krok i zaczęła mu się uważnie przyglądać. Jej palce dotykały wysadzanego kosztownościami pasa.

— Tak się cieszę, Ross — powiedziała cicho.

— Nie wszystko poszło tak gładko, jak mogłoby się wydawać — powiedział ponurym głosem Murdock. Opowiedział, co zaszło między nim a tonem Lurocem i co Ashe sądził na ten temat.

Gdy skończył, twarz Eveleen była blada.

— Chyba nie będziemy musieli zwiewać, zanim dokończymy dzieło? — zapytała ostro.

— Według Gordona — nie. Wszyscy chcemy dotrzeć do końca tej wojny. Dopóki Zanthor I Yoroc walczy, nadal jest groźny, a na razie nie zamierza się wycofać. — Oczy miał posępne. — Musimy grać dalej i mieć nadzieję, że uda nam się tu zostać, dopóki nie skończymy tego, po co tu przybyliśmy.

— I dłużej. Kraina Szafiru może skorzystać z naszej lub twojej pomocy w trakcie powojennych negocjacji... Do diabła! Wszyscy musieliśmy się sypanąć i to po wielokroć, zanim ton się domyślił.

Murdock wzruszył ramionami. Opłakiwanie przeszłości nie miało sensu. Skoro tu zostają, muszą myśleć o wojnie.

— Uporanie się z tym wszystkim zajmie mi parę dni. Czy zdarzyło się coś ważnego, o czym powinienem wiedzieć natychmiast?

Eveleen zaprzeczyła głową.

— Nie stwierdzono prawie żadnej aktywności nieprzyjaciela. Jeden z naszych patroli natknął się na mały patrol z Dworu Kondora i zmiotł go z powierzchni ziemi.

To wszystko. Jeńcy, których wtedy wzięto, powinni dotrzeć do obozu Gurniona wkrótce po tym, jak ty z niego wyjechałeś. Poza tym był spokój.

Radość partyzantów z zaszczytu, jaki spotkał ich dowódcę, nie skończyła się tylko na szczerych i gorących gratulacjach. Tej nocy dali zdrożonym jeźdźcom spokój, żeby mogli wypocząć, ale oświadczyli, że następnej nocy, o ile nie dojdzie do bitwy, będą świętować.

Bitwy nie było i następnego wieczoru obóz rozbrzmiewał muzyką i okrzykami rozradowanych mieszkańców.

Wszyscy byli rozluźnieni, kobiety włożyły stroje, które zachowały z czasów pokoju, zanim cień Zanthora zaciążył na ich życiu.

Poza wartownikami tylko dywizja Korvina nie wzięła udziału w ogólnej wesołości. Jej żołnierze nie spróbowali nawet wina, które lało się w obozie strumieniami, gdyż dostali rozkaz zachowania gotowości bojowej.

Ross przyglądał się zabawie, stojąc pod jednym z drzew okalających obóz.

Oczy miał smutne, gdyż czuł się nieco przygnębiony lekkim nastrojem towarzyszy.

Pomyślał, że tak to powinno się odbywać, bo przecież ci ludzie mają prawo do szczęścia, do używania życia, do korzystania z owoców swojego trudu i nie powinni w nieskończoność ukrywać w górach jak zbóje.

Większość z nich byłaby bardzo zadowolona, gdyby mogła wrócić do swojego poprzedniego, spokojnego trybu życia, do pól uprawnych, krosien i kowadeł. Z tych nielicznych, którzy nie byli do tego skłonni, można by utworzyć rdzeń znakomitej kompanii najemników. Gdyby miał ich po swojej stronie...

Poczuł nagły skurcz krtani. Opróżnił puchar i znów go napełnił, żeby nikt nie odgadł jego nastroju. Długo nie będzie siedział sam.

Żeby oderwać się od tych myśli, zaczął przyglądać się świętującym. Jego wzrok spoczął na Allranie A Aldarze. Zasepił się. Porucznik stał z boku, prawie od początku uroczystości. To było dziwne, bo cieszył się popularnością wśród swoich ziomków i miał reputację doskonałego tancerza. Powinien znajdować się w centrum zabawy, a on stał zamyślony i zamknięty w sobie, prawie nie zwracając uwagi na to, co się wokół niego dzieje.

Ross znów uniósł kielich. Tym razem tylko umoczył w nim usta. Zostawił porucznika jego myślom i zaczął szukać Eveleen. Zauważył ją od razu, siedziała obok Gordona i Luroca.

Spojrzała w jego stronę, jakby czytała w jego myślach. Widząc, że na nią patrzy, powiedziała coś do towarzyszy i wstała jednym szybkim, zgrabnym ruchem.

Ostrożnie omijając wirujących tancerzy, precyzyjnie się do niego i zanim zdążył powstać, żeby się z nią przywitać, usiadła obok.

Spojrzała na tańczących.

— Są dobrzy — powiedziała z tęsknotą w głosie. — Kiedyś kochałam taniec. Też byłam dobra.

— Jesteś dobra we wszystkim, co robisz. Może się do nich przyłączymy? To chyba nie takie trudne.

Eveleen potrząsnęła głową.

— Trudniejsze, niż się wydaje. Kroki i ruchy są bardzo zawite, a rytm zapiera dech w piersiach.

Popatrzyła jeszcze trochę na tancerzy i westchnęła. Kusiło ją, żeby się przyłączyć, ale zachowała dystans. Nie mieli pojęcia o miejscowych tańcach, a popełnili już wystarczająco dużo błędów.

Ross zrozumiał jej motywy i spuścił oczy. Żał mu jej było i czuł się odrobinę winny, jakby był w jakiejś mierze za to odpowiedzialny.

Już miał podnieść kielich, kiedy zobaczył, że jej ręce są puste.  
— Marny ze mnie mąż. Przyniosę ci puchar.  
Instruktorka walki uniosła dłoń, żeby go zatrzymać.  
— Mam już dosyć.  
Popatrzyła na płyn w jego pucharze.  
— Ton Gurnion przysłał zapas swojego wina Lurocowi. Jest całkiem dobre, będzie się można napić, jak zdarzy się okazja. Chcesz spróbować? To nasze domowe wino jest byle jakie.  
Murdock pokręcił głową.  
— Nie, dziękuję. Jeszcze trochę i się wstawię. Jeśli nasi przyjaciele z Dworu Kondora zaczną rozrabiać...  
— Korvin da sobie z tym radę. Jeśli już sobie podpiłeś, to lepiej zostaw jemu dowodzenie — powiedziała łagodnie. — Poza tym ta uroczystość jest na twoją cześć i naprawdę nie chcemy, żebyś stąd odjeżdżał.  
Nie nalegała, kiedy znów pokręcił głową. Usiadła tylko bliżej niego.  
Milczeli oboje.  
Murdock przyglądał się Eveleen spod półprzymkniętych powiek.  
Włosy miała kunsztownie i wysoko upięte, przeplecione jasnożółtą wstążką. Nosiła żółtą, wyszywaną bluzkę w tym samym odcieniu, co wstążka, z niewielkim dekoltem ledwie ukazującym jej małe, jędrne piersi.  
Lekki zapach ziół, których używała jako perfum, wzmocił się, gdy przysunął się trochę bliżej.  
Nigdy wcześniej nie był tak świadom jej piękna. Aż dziwił się, że udało mu się ją zdobyć.  
Tutaj, na Dominion, być może tylko on i Gordon byli w stanie docenić jej urok, ale na ich rodzimej planecie było przecież inaczej. Zresztą tam nie robił niczego w tym kierunku, był zbyt głupi, żeby zrozumieć, że tego pragnie.  
— Byłaś tak bardzo zdecydowana, kiedy przyjechałaś moje oświadczyły — powiedział nagle. — Trzeba było aż twojego upadku jelenia, żeby się obudziłem, ale kiedy...  
Uśmiechnęła się.  
— Wkrótce po tym, jak się spotkaliśmy, zaczęłam rozumieć mężczyznę kryjącego się za maską bohatera ze spaloną ręką.  
Murdock gapił się na nią.  
— Ale nic nie powiedziałaś i nie dałaś do zrozumienia...  
Eveleen roześmiała się.  
— Mam swoją dumę, Rossie Murdocku! Nie miałam zamiaru oferować czegoś, co nie zostałoby przyjęte. Lubię mnie, ale patrzyłeś na mnie jak na instruktorkę walki, towarzyszkę i dobrego kompana. Gdybyś podejrzewał, o czym myślę, uciekłbyś na pierwszy z brzegu pojazd Łysawców i wyruszył w podróż na koniec wszechświata.  
— Potrafisz też czytać w myślach? — mruknął.  
Jej uśmiech i wzrok złągodniały.  
— Kochałam cię, Ognista Ręko, i byłam świadoma twego stosunku do mnie. — Spojrzała w stronę Gordona i Luroca. — Powinniśmy chyba przyłączyć się do nich — zaproponowała. — Jeśli będzie tutaj siedział zbyt długo, zaczną myśleć, że coś jest nie w porządku.  
Była w tym delikatna sugestia, ale Ross Murdock pokręcił głową.  
— Chciałem tylko pobyc trochę w samotności i popatrzeć wszystko z boku.  
Wstał i podał jej rękę.  
— Chodźmy dotrzymać towarzystwa naszemu gospodarzom poruczniku.



## 21.

Następnego dnia Ross został w obozie, ale nazajutrz powrócił do spraw wojennych.

Jechało z nim jedenastu partyzantów, dwóch jego poruczników, Gordon Ashe i jeszcze ośmiu ludzi. Każdy z nich zaopatrzony był w żywność na trzy tygodnie. Spodziewali się, że właśnie tyle czasu spędzą w górach, chociaż normalnie takie misje zwiadowcze trwały o połowę krócej.

Żeby dotrzeć do miejsca, w którym należało rozpocząć zwiad, potrzebują dwóch dni ostrej jazdy, myślał ponuro agent czasu, a kiedy już tam dotrą, prawdopodobnie będą mieli sporo roboty.

Ich celem był Lej, rejon stanowiący przejście do Korytarza. Był to bardzo dziki teren w pobliżu jednego z najbardziej niedostępnych obszarów gór granicznych, przejezdny tylko w niektórych miejscach. Obejmował wysokie, usiane urwiskami wzgórza, które nazwano tak tylko z powodu porównania z naprawdę ogromnymi szczytami otaczającymi je z obu stron. W każdym innym miejscu nazwano by je górami. Wzgórza były skąpo zalesione, porośnięte głównie gęstymi krzewami, ale było tam tak wiele rozpadlin, skał i wąwozów, że świetnie nadawały się na pole bitwy dla partyzantów w przeciwieństwie do bardziej otwartego Korytarza. Było to korzystne dla wojowników Krainy Szafiru, biorąc pod uwagę niezwykle ruch, jaki panował w tej okolicy.

Tu zbiegały się wszystkie trasy, którymi nieprzyjaciel podążał na południe. Partyzanci wiedzieli o tym i często wyprawiali się w tę okolicę z nadzieją na bogate łupy. Żeby zniechęcić ewentualnych napastników, najeźdźcy nieustannie patrolowali ten rejon. Lej był jednak zbyt rozległy i dawał partyzantom zbyt wiele kryjówek, że nieprzyjaciel mógł go strzec równie dobrze, jak Korytarza. Samo oddalenie od sił głównych sprawiało wrogowi kłopoty nie mniejsze od przeszkód, jakie stanowiła sama okolica. Mimo to koncentracja sił nieprzyjaciela była tu i tak bardzo duża i często dochodziło do starć. Inicjatywa należała wtedy zazwyczaj do wojowników Krainy Szafiru.

Zadaniem Murdocka było sprawić, żeby ta ostatnia reguła potwierdziła się i tym razem. Konsekwencje porażki byłyby fatalne i jego małego oddziału.

Terranin żałował, że konfederacja nie przemieściła tutaj części swoich sił, żeby w samym Korytarzu i jego okolicach przejąć kontroli z rąk Zanthora. Gdyby udało im się zająć choćby samą przełęcz, a jeszcze lepiej — przełęcz i tereny bezpośrednio do niej przylegające, życie byłoby znacznie łatwiejsze dla jego oddziału. A może wtedy skończyłaby się wojna?

Ross westchnął i zaczął myśleć o sprawach bardziej rzeczywistych. Ze śladów można było wiele wyczytać. Partyzanci byli pewni, że je odkryją, jak tylko dotrą do Leja, jeśli by nawet nie zobaczyli samych nieprzyjaciół. Lepiej jednak skupić się na wykonywanym zadaniu, niż trwonić czas na rozmyślanie o czymś, czego nie da się już zmienić.

Partyzanci opuścili góry o świcie, ale okolice, którymi się posuwali, nadal oferowały im nie najgorsze kryjówki. Nie widać też było śladów nasilonej aktywności nieprzyjaciela. Wiedzieli jednak, że natkną się na nią wkrótce. Roztropność podpowiadała im, żeby zachować szczególną ostrożność podczas marszu w głąb terytorium patrolowanego gęsto przez wroga. Ross nakazał postój dość wcześnie, toteż nie spędzili nocy w samym Leju, ale gdy wstali o świcie, szybko i ostrożnie



wjechali na tereny, gdzie mieli rozpocząć swoje bojowe zadanie.

Ślady aktywności wroga były coraz częstsze i bardziej widoczne dla tych, którzy potrafili je odczytać, i nieco stracili hart ducha, choć już od dawna wiedzieli, co ich czeka. Zanthor i Yoroc bardzo się starał, żeby przygotować swoje wojska na zimę i wiosnę, więc partyzanci zdawali sobie sprawę, że wielu wojowników i wiele konwojów dociera do jego linii, ale i tak zaskoczyły ich i przytłoczyły ślady wskazujące na to, jak wiele zapasów wroga im umykało.

Dowódca był tym równie przybity, jak jego żołnierze. Stawało się jasne, że najeźdźcy będą w stanie znacznie lepiej przygotować się do przyszłorocznej wojny, niż sądzili przywódcy konfederatów. Sojusznicy będą musieli się dowiedzieć, jakimi siłami wróg dysponuje w rzeczywistości, więc Murdock ponaglał oddział, żeby samemu się o tym jak najszybciej przekonać.

Oddział Krainy Szafiru posuwał się wzdłuż Leja, docierając prawie do wejścia do samego Korytarza. Dopiero wtedy Murdock stwierdził, że zebrał informacje, o które mu chodziło, i dał rozkaz do powrotu.

Wszyscy przyjęli ten rozkaz z radością. Co prawda w okolicy były jeszcze miejsca dogodne na kryjówki, ale przypominały już bardziej Korytarz dający mniejszą ochronę przed oczyma wrogów, gdyby na nich natrafili.

Wszyscy mieli nadzieję, że szczęście nadal ich nie opuści i nie natkną się na nieprzyjacielskie patrole. Zebrali ważne informacje i nie chcieli teraz angażować się w żadną walkę.

Ross nakazał szybki marsz i oddział nie zwalniał tempa aż do zachodu słońca. Nie znosił misji, które odciągały jego lub jego ludzi za daleko od gór. Teraz ciążyła mu nie tylko waga zebranych informacji, ale i strach przed pułapkami wroga.

Wojownicy Krainy Szafiru jechali ze stałą szybkością aż do zapadnięcia nocy. Zatrzymali się, kiedy nic już nie było widać, i wyruszyli następnego dnia o świcie.

Jechali już jakieś cztery godziny, kiedy daleko, na północy, zauważyli jakiś ruch.

Ukryli się, zniknęli nagle, jakby nigdy ich nie było. Czekali.

Minęło piętnaście minut, zanim spokój okolicy znów został zmacony. Tym razem nie było wątpliwości. Jeźdźcy. Jechali na południe. Posuwali się szybko, ale nie przemęczali wierzchowców. Oddział był mały — zaledwie sześciu ludzi, wyraźnie niespokojnych. Przy całym pośpiechu korzystali, jak mogli, z osłony, którą dawał nierówny teren.

Murdock patrzył przez kilka minut, jak kluczą, zmieniają trasę, żeby tylko za często nie wyjeżdżać na otwarte pole.

Byli to zatem doświadczeni żołnierze. Najemnicy, którzy niedawno rozpoczęli służbę na Dworze Kondora, nie byli tak dobrzy. Tych partyzanci zauważyli tylko przez przypadek. Gdyby byli o parę mil dalej na północ, gdzie okolica daje więcej możliwości się, zapewne uniknęliby wykrycia.

Ross dał znak Allranowi i trzem innym:

— Sprawdźcie ich.

— Sprawdźcie ich.

Oddział wroga był kuszącym celem, może nawet zbyt kuszącym. Murdock miał już do czynienia z takimi pułapkami, ale nigdy tak daleko na południu. Nie miał ochoty rzucać się na tych jeźdźców tylko po to, żeby dać się zaskoczyć przez drugi, większy oddział, jadący w ukryciu trop w trop za pierwszym.

Czterem zwiadowcom zabrakło trochę czasu, zanim wrócili z wiadomością, że oddział nie ma towarzystwa.

Terranin zastanawiał się przez chwilę. Początkowo chciał ich zostawić w spokoju,

ale Zanthor często wysyłał kurierów pod osłoną takich małych, bardzo mobilnych oddziałów. Murdock nie chciał ryzykować utraty informacji ważnych dla niego albo dla sojuszników.

— Allran, Gordon, weźcie połowę ludzi i zajdźcie ich od tyłu. Ja i Eveleen pojedziemy z pozostałymi. Jeśli się pospieszymy, uda nam się ich okrążyć.

Partyzanci pomknęli po nierównym terenie jak fala niskiego przypływu. Dotarli szybko do miejsca zasadzki.

Ross liczył sekundy, dopóki nie był pewien, że jego ludzie są już na miejscach. Wtedy wydał rozkaz do szarży.

Sam widok wojowników Krainy Szafiru wyłaniających się jakby spod ziemi z bronią gotową do użycia wystarczył, żeby sterroryzować słabego liczebnie przeciwnika. Najemnicy poddali się, nie wyciągając mieczy z pochew.

Murdock kazał im rzucić broń i zsiąść z wierzchowców. Posłuchali natychmiast. Partyzanci też zsiadli z jeleni i Murdock zaczął wypytywać sierżanta, który zdawał się dowodzić wziętymi do niewoli wojownikami.

Przekleństwo!

Gwałtownym ruchem odwrócił głowę, gdy Allran rzucił się na jednego z jeńców z mieczem gotowym do ciosu.

Ross rzucił się do przodu, uderzając ciałem w porucznika i przewracając się razem z nim na ziemię.

Nie było walki. Ashe i kilku innych rozdzieliło obu mężczyzn i rozbroiło Allrana. Tymczasem pozostali otoczyli jeńców, żeby nie przyszło im do głowy skorzystać z zamieszania i uciec.

Agent czasu wstał. Był tak wściekły, gdy spojrzał w twarz Dominionina, że nawet jego towarzyszom broni struchlały serca na widok jego niepokromionego gniewu.

— Jak śmiałeś? — wyszeptał, powoli cedząc słowa. — Jak śmiałeś wyciągnąć miecz na człowieka, który nam się poddał?

— On zabił mojego ojca! Murdock powściągnął gniew.

— Twój ojciec był zawodowym żołnierzem, dowódcą garnizonu Krainy Szafiru, i zginął w uczciwej walce.

Twarc Allrana poczerwieniała z gniewu.

— Wy, najemnicy, wyobrażacie sobie, że potraficie ucywilizować wojnę! Nie potraficie i nie macie prawa przebierać się w szatki sprawiedliwych! My, ludzie z tej domeny, możemy wynajmować was raz na pokolenie albo i rzadziej, kiedy potrzeba wojenna kładzie się cieniem na nasze normalne, pokojowe życie. Ale wy jesteście wampirami, upiorami pijącymi świeżą krew i pożerającymi ciała zmarłych...

Eveleen uderzyła go mocno w twarz.

— Zamknij się, ty głupcze!

Mężczyzna zeszywniał, ale pochylił głowę.

— Proszę o wybaczenie, kapitanie. To była rażąca niesubordynacja. Przyjmę każdą karę, jaką mi wymierzysz.

— Lepiej, że twój gniew znalazł ujście w twoich ustach, niż gdybyś miał wyrazić go w inny sposób, niebezpieczny dla naszego honoru albo naszego życia. Uspokój się i wróć do swoich obowiązków.

Ross odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę sierżanta, którego chciał przesłuchać.

Wszyscy jeńcy patrzyli na nich z ogromnym respektem. Ten człowiek był dla nich legendą, ale w tym momencie poczuli, jak bardzo legenda nie dorównuje faktom. Szybka reakcja, siła woli, obrona ideału sprawiedliwości oszołomiły ich na chwilę, ale przecież tylko tego mogli się spodziewać, jeśli opowieści o Ognistej Ręce były

prawdziwe. Opanowanie, którym się wykazał, to jednak zupełnie inna sprawa. Nie spotkali się z czymś takim wcześniej, choć nie byli rekrutami, którzy nie zdążyli jeszcze nabrać doświadczenia w postępowaniu z oficerami. Bali się go, ale zarazem podziwiali, toteż nie zataili niczego, kiedy wypytywał najpierw ich dowódcę, a potem pozostałych. Nie wiedzieli niczego ważnego, co sprawiłoby, że otwartość byłaby równoznaczna ze złamaniem przysięgi albo zagrażała życiu ich towarzyszy broni.

Murdock był rozczarowany wynikami przesłuchań. Najemnicy nie wiedzieli niczego, co mogłoby go zainteresować. Nie było wśród nich kuriera. Byli to żołnierze, którym udało się uciec, gdy ich oddział zaatakowany został przez partyzantów gdzieś dalej na północy. Było ich sześciu, a ponieważ przebyli już ponad połowę odległości do frontu, uznali, że najrozsądniejszą decyzją będą pojechać dalej, do swoich wojsk. Jechali więc na południe z nadzieją, że ostrożność i niewielka liczebność oddziału uchroni ich przed dalszymi kłopotami. Dokładne przeszukanie potwierdziło, że nie mają przy sobie żadnych papierów czy innych materiałów użytecznych dla wódzów konfederacji.

Murdock żałował czasu, który poświęcił na wzięcie tych jeńców. Sześciu wojowników, żadnego oficera to słaby łup. Jednak nie można ich teraz było wypuścić, a ludzie Gurniona zechcą prawdopodobnie przesłuchać ich dokładniej na wypadek, gdyby któryś dostał tajne, ustne rozkazy, choć było to bardzo mało prawdopodobne. Murdock nie powierzyłby żadnemu z tych ludzi takiej misji i nie sądził, żeby Zanthor I Yoroc gorzej znał się na ludziach o niego.

Ross czuł coraz większe zniecierpliwienie, nie chciał dłużej zwlekać i rozkazał oddziałowi dotrzeć do wierzchołków. Więźniowi przywiązano do ich jeleni, skrupowano ręce i zasłonięte oczy. Wkrótce wjadą na dzikie wzgórza u progu gór i pojedą na południe ścieżkami, o których nie mógł się dowiedzieć nikt poza małą armią Ognistej Ręki.

Jechali forsownie przez dwie godziny, potem zatrzymali się.

Murdock rozkazał ośmiu wojownikom, żeby pojechali z jeńcami. Została z nim tylko trójka oficerów. Będą teraz mieli poważne kłopoty, jeśli napotkają jakiś liczniejszy oddział wroga, ale byli już blisko gór i mogli trzymać się w ukryciu, dopóki nie dotrą do bezpieczniejszych okolic.

Ośmiu żołnierzy też nie miało łatwego zadania. Od obozu konfederatów dzieliła ich spora odległość, a podróż w towarzystwie jeńców niemal dorównujących im liczbą nie zapowiadała się ciekawie.

Terranin, mimo że był świadom problemów, jakie wiążą się z podziałem oddziału na dwie części, jednak się na to zdecydował. Luroc także musiał otrzymać raport z tego, co widzieli w Leju. Ponadto Murdock nigdy nie wysyłał tylko jednego kuriera czy oddziału z wiadomościami do sojuszników. Kiedy tylko dotrze do bazy, wyśle do tona konfederatów więcej jeźdźców. Potwierdzą szczegóły przesłanych wcześniej informacji albo dostarczą je, jeśli pierwsi emisariusze nie dotrą.

## 22.

Dowódca i jego troje towarzyszy jechali bez przerwy przez cały dzień, starając się odzyskać nieco straconego czasu. Przeważnie milczeli, każde zajęte swoimi myślami. Nie mówili wiele nawet wówczas, gdy w końcu rozbili na noc obóz.

Eveleen trzymała straż jako druga z kolei, po swoim mężu. Nie była w dobrym humorze, więc cieszyła się, że nikt nie widzi jej zatroskanej twarzy.

Była wściekła na Allrana. Porucznik był zawodowym żołnierzem i uczciwie uznał swoją winę polegającą na niewłaściwym zachowaniu się wobec przełożonego, ale jego gniew na Murdocka nie wygasł. Powstrzymywał go teraz tylko, lecz ona, po tylu miesiącach wspólnej służby, znała już Allrana na tyle dobrze, że była tego świadoma i pewna, że Ross też to wyczuwa.

Spochmurniała jeszcze bardziej. Nie po raz pierwszy zauważyła niezadowolenie lub gniew w zachowaniu porucznika. Co się z tym człowiekiem dzieje? Rossowi, który tyle ma na głowie, na pewno nie jest potrzebne dodatkowe zmartwienie.

Kiedy wreszcie przyszła zmiana, Eveleen poszła do miejsca odpoczynku Murdocka. Partyzanci spali oddzielnie, żeby nie można było zobaczyć ich wszystkich razem. Gdyby obóz został odkryty i zaatakowany, część mogłaby uratować się ucieczką. Teraz było jej to na rękę, bo dawało szansę na prywatną rozmowę, jeśli jej szef jeszcze nie spał.

Ross leżał na plecach z głową wspartą o rękę. Zdawało się, że wpatruje się w gałęzie tworzące nad nim ciemny dach, ale usiadł zaraz, jak tylko się zbliżyła.

Eveleen zrobiła znak, że wszystko jest w porządku, i usiadła obok.

— Skończyłam wartę — besztala go łagodnie — ale ty powinienes już dawno spać.

— Chciałem coś przemyśleć. — Uśmiechnął się. — Nie przyszłabyś do mnie, gdybyś spodziewała się, że śpię.

— Obawiałam się, że śpisz — przyznała.

— Ty też musisz być wykończona. Jaka masz wymówkę, że jeszcze nie śpisz?

Pochyliła i znów uniosła głowę.

— Taką samą jak ty. Myślałam o tym, co stało się wczoraj, o tym, co Allran ci powiedział.

— Był wściekły, a wiedział, że miałem rację.

— Słowa wypowiedziane w gniewie też mogą ranić. Użył paru niezbyt ładnych określeń. — Spojrzała mu w oczy. — Ross, nikt, włączając w to Allrana A Aldara, nie myśli tak o tobie.

— Nie, oni tak nie myślą. Jeszcze nie — powiedział tępo. — Ale wkrótce całe Dominion tak zacznie na to patrzeć. Mówiłaś, że bardzo szybko stali się pacyfistami. Najemnicy, których role tutaj gramy, nie będą popularni w takiej atmosferze. — Wpatrywał się w swoje ręce. — Byłem wyrzutkiem w naszych własnych czasach, dopóki Projekt mnie nie odnalazł. W przeszłości Hawaiki też byłem wyrzutkiem. Teraz się to znowu powtarza...

— Raczej nie — powiedziała. — Taka zmiana nie następuje z dnia na dzień. Poza tym tutejsi mieszkańcy nie zidiocieli tylko dlatego, że zrezygnowali z wojowania po roku. Pamiętaj, że w przyszłości będą walczyli zwycięsko z Łysawcami i dadzą im łupnia. Ich historia nie potępiła tego stanu rzeczy, nie odłożyli też tych wspomnień na półkę, żeby o nich zapomnieć.

Cień uśmiechu pojawił się na jego ustach i znów zgasł.

— Zdaje się, że zaczynam denerwować się byle czym. — Znów spochmurniał. — Musiałem być ślepy, żeby nie zauważyć, że Allran ma do mnie pretensje. Gdyby nie

był takim profesjonalistą, nawet teraz doszłoby między nami do poważnych tarć.

Eveleen przytaknęła.

— Ostatnio sprawy się pogorszyły. Nie rozumiem, co się z nim dzieje.

— Wyobrażam sobie, że jest to jeden z problemów, z którymi dowódcy najemników zatrudnieni na długoterminowy kontrakt muszą się od czasu do czasu zetknąć — powiedział Ross w zamyśleniu. — Większość z wodzów w tutejszych domenach to dobrzy wojownicy i dobrzy oficerowie, ale ich zdolności ograniczają się zazwyczaj do szkolenia żołnierzy i urządzania parad. W bardziej dzikich okolicach dochodzi do tego: pewne ściganie od czasu do czasu bandytów, a w zupełnie nadzwyczajnych sytuacjach — pokaz siły wobec kłopotliwego sąsiada. Kiedy nadciąga prawdziwe niebezpieczeństwo, nieuniknione jest kupowanie oddziału najemników, zawsze pod warunkiem że ich oficerowie będą mieli pierwszeństwo we wszystkim, co dotyczy wojny, z wyłączeniem samego tona.

Westchnął.

— To naturalne, jak mi się zdaje, że niektórzy z miejscowych czują się urażeni. Zostają wyparci mimo rangi i urodzenia Tacy oficerowie po prostu nie chcą ustąpić placu najemnikowi. Nie winię ich za to.

Ross patrzył w dal.

— Przodkowie Allrana dowodzili garnizonem Krainy Szafiru od pięciu pokoleń. Trudno się dziwić, że Allran nie jest zadowolony, kiedy widzi, jak najemnik zajmuje jego miejsce. To, że Luroc zrobił mnie swoim synem, jeszcze pogorszyło sprawę. Wzbudziło paskudne podejrzenia, że mogę tu zostać i obecna sytuacja zostanie utrwalona. Dla niego byłaby to, katastrofa. — Terranin zamilkł na chwilę. — Muszę zrobić wszystko, co się tylko da, żeby między nami znów zapanowała zgoda.

— To nie ty jesteś winien!

— Wszystko jedno. Moim zadaniem jest rozładowanie napięcia zanim będzie gorzej. A tak będzie, jeśli to zignoruję. Nie może sobie pozwolić na kłótnie w naszych szeregach. To mogłoby dobrze posłużyć Zanthorowi i znacznie oddalić jego klęskę.

— Co jeszcze możesz zrobić? — zapytała Eveleen. — Ktoś inny pobiłby Allrana albo i gorzej za to, co ci dziś powiedział.

— Niewiele brakowało — wyznał Murdock. Wzruszył ramionami.

— Mogę tylko porozmawiać z nim. Nie chcę stanowiska, którego! on pragnie. Powinno mi się udać go przekonać, że najemnicy po wykonaniu swego zadania odchodzą, a życie znów wraca do normy.

— Uwierzy w to?

— Powinien. Chyba że tak długo będę zwlekał z rozmową, narosną w nim irracjonalne uczucia. Nie powinienem mu tego robić, | gdyż byłoby to nie w porządku w stosunku do tak świetnego oficera.

I tak trwa to już zbyt długo. Ross uśmiechnął się do niej.

— Ale z tym musimy poczekać, dopóki nie wrócimy do bazy. Teraz, poruczniku, sugeruję, żebyśmy oboje trochę się przespali. W przeciwnym razie: nie będziemy zbyt szczęśliwi, gdy znów nam przyjdzie usadzić się w siodle.

Świt był dość przyjemny, ale wczesnym rankiem nastąpiła zmiana pogody i zaczął wiać ostry, wilgotny wiatr.

Tuż przed południem zaczęło padać. Dokuczliwa gęsta mżawka sprawiła, że cała czwórka kuliła się pod swoimi płaszczami. Po długiej wyprawie byli wyczerpani duchowo i fizycznie, było im zimno i niewiele pocieszał ich fakt, że byli już w górach i nazajutrz dotrą do bazy. Żadne z nich nie miało ochoty na rozmowę, choć już nie trzeba było zachowywać ostrożności.

Wiedzieli, że tej nocy postój będzie wyjątkowo przykry, toteż Murdock chciał jechać bez odpoczynku, dopóki nie dotrą do obozu.

W końcu jednak postanowił zrobić przerwę. Od celu nadal dzieliła ich spora odległość, a on nie lubił bez powodu wyciskać ostatnich sił z towarzyszy. Nigdy nie zamęczał swoich żołnierzy bez wyraźnej potrzeby. I bez tego mieli ciężkie życie.

Gdy zapadała już ciemność, partyzanci zatrzymali się, nie bacząc na to, że miejsce nie było zbyt wygodne. Znali okolicę i wiedzieli, że w pobliżu nie znajdą niczego lepszego.

Przynajmniej byli osłonięci od wiatru. Znajdowali się pod pionową ścianą skalną, która przyjmowała na siebie większą część jego siły. Osłona była na tyle skuteczna, że do skały przywarło sporo gleby i ściółki utwierdzonej korzeniami małych, wytrzymałych roślinek, które znalazły tam punkt zaczepienia mimo prawie pionowej stromizny.

Nie była to wysoka ani bardzo gęsta roślinność, widać było spod niej skałę i wielkie głazy, a także miejsca, z których oderwały się kamienie.

Ross kazał rozbić obóz w sporej odległości od ściany. Kamienie, niektóre dużych rozmiarów, leżące u podnóża dowodziły, że głazy czasem odrywały się od urwiska. Był teraz szczególnie ostrożny. Po deszczowym dniu gleba na skalnej ścianie musiała być przesiąknięta wilgocią do samego podłoża oraz zapewne mniej stabilna i mniej wytrzymała na siłę grawitacji.

A Aldar nachmurzył się, kiedy zobaczył, gdzie mają rozbić obóz.

— Lepsze schronienie znaleźlibyśmy bliżej urwiska — zaprotestował. — A te dwie jamy dałyby ludziom, którzy akurat nie stoją i warcie, suchy nocleg i osłonę przed wiatrem. W większej zmieszczą się dwie osoby.

— Ale tu może spaść jakaś skała. I

— Równie dobrze ziemia może się zatrzęść i otworzyć pod nami! Jeśli los zechce uśmiercić nas w ten sposób, to tak się stanie. Niech diabli wezmą ostrożność Ognistej Ręki!

Szare oczy przybrały chłodny wyraz.

— Śpij, gdzie chcesz! Nie wydałem rozkazów w tej sprawie — wyrzucił z siebie Murdock i przestał się zajmować porucznikiem.

Kiedy tylko skończyły się prace przy rozbijaniu obozu, Dominion poszedł do większego z dwóch wgłębień. Jego kolej na pełnienie warty przypadała po Eveleen, więc miał nadzieję na kilka godzin porządnego snu w warunkach znacznie lepszych niż jego towarzysze, choć; zmęczenie łagodziło im niewygodę ich leśnych postoi.

Ross ledwie zdołał opanować gniew. Poszedł pełnić wartę. Usiłował stłumić emocje, od których krew szybciej krążyła. Wiedział, że były za silne, nieproporcjonalne do afrontu, który je wywołał.

Terranin wiedział, dlaczego tak zareagował. Dzień był brzydki i męczący. Gwałtownie wracały napięcia, które zawsze towarzyszyły jego wyprawom do Leja. Teraz potrzebował spokojnego snu, ale zanim będzie mógł się położyć, musi trzymać

nerwy na wodzy. Już raz tego wieczoru, co przyniosło mu ujmę, dał ujście złości i nie chciał popełnić takiego błędu powtórnie.

Ciszę nocy przerwało głucho dudnienie i prawie natychmiast po nim rozdzierający serce trzask.

Krew odplynęła Murdockowi z twarzy. Popędził w stronę obozu. Był pewien, że wydarzyło się nieszczęście. Ta pewność przygniatała go jak wyrok sądu dominiońskiej bogini.

Obawy okazały się zasadne. Wielki kamień, większy od tych, które wcześniej oderwały się od ściany, spadł z urwiska i uderzył w miejsce, które zbuntowany porucznik wybrał sobie na nocleg. Nie można było jeszcze stwierdzić, czy ciężar zgniótł go, czy tylko zablokował go w jamie.

Ross zacisnął usta. Być może to pierwsze było tylko łagodniejszą formą śmierci.

Nie pocieszył go wyraz twarzy Gordona, gdy ten podszedł do niego złożyć raport.

— Solidnie się tam zaklinował. Nie wiemy, czy żyje, lecz jeśli tak, to ma odcięty dopływ powietrza. Albo wyciągniemy go stamtąd szybko, albo możemy o nim zapomnieć.

Murdock ponuro zmarszczył twarz. Ta dziura była bardzo mała. Nie mogło w niej być dużego zapasu tlenu nawet dla kogoś, kto leży bez ruchu.

Nagle pomyślał, że to przecież całkiem niezły grób. Ale nie powiedział tego na głos. Allran potrzebował od niego czegoś więcej niż czarnego humoru.

Nachylił się, żeby obejrzeć dokładnie głąz i grunt wokół niego. Niedobrze, bardzo niedobrze. Powierzchnia nachylona była do środka, w stronę urwiska. Kąt był niewielki, ale dostrzegalny. Ponadto gleba wokół zagłębienia wybrzuszyła się, więc głąz siedział mocno w ziemi jak wielka kamienna pokrywa, mocno wbita w ziemię.

Wyprostował się. Widział tylko jedną realną szansę.

— Przyprowadźcie parę jeleni. Zaprzężemy je do kamienia. — Żałował, że nie może użyć wszystkich zwierząt, ale na to było za mało miejsca. Swobodnie manewrować mogła tylko para wierzchowców.

Towarzysze pobiegli, żeby wykonać polecenie.

— Myślisz, że dadzą radę to wyciągnąć? — zapytała z powątpiewaniem Eveleen, kiedy przyprowadziła dwa jelenie.

— Nie całkowicie, ale może uda im się powlec głąz kawałek wzdłuż ściany i wtedy wyciągniemy Allrana.

— Zaprzęg nie da rady tego zrobić — powiedział Ashe. — To się nie uda, jeśli użyjemy uprząży z lin, którą będziemy musieli sami wykonać. Ścieżka, którą jelenie szły jest za wąska. Będą ciągnęły każdy w inną stronę.

— Mamy dość liny, żeby zaprząć je w szeregu, jednego za drugim.

Gordon pokiwał powoli głową.

— Tak — powiedział cicho. — To może się udać. Pracując w zdwojonym rozpaczą tempie, wkrótce przygotowali zwierzęta do akcji.

Bojowe jelenie natężyły się tak, że zdawało się, jakby za chwilę liny miały pęknąć. Kamień zadrzał, poruszył się o ułamek milimetra i znów osiadł.

Ross i Gordon rzucili się, żeby pchać głąz z drugiej strony.

Eveleen schwyciła Iskrę za uzdę. Strach ścisnął jej żołądek. Jeśli ten kawał skały posunie się tylko po to, żeby znów stoczyć się w tył, obaj mężczyźni stracą równowagę i prawie na pewno zostaną przez niego przygniecieni.

Zawołała na zwierzęta i jeszcze raz spróbowali poruszyć gigantyczny głąz.

Murdock pchał ze wszystkich sił. Nic nie pomagało, więc napinał mięśnie jeszcze bardziej.

Wyczuwał raczej, niż widział Ashe'a, pchającego obok niego, ale i jego wysiłek zdawał się iść na marne...

Głaz zaczął się ślizgać, wydobywać z wgłębienia.

Eveleen opuściła swoje miejsce przy płowcach. Stała teraz za oboma mężczyznami, patrzyła i czekała.

Kamień zaczął się poruszać. Nieznośnie wolno, milimetr po milimetrze przesuwając się coraz dalej. Ile trzeba odsłonić, żeby uwolnić Allrana — albo to, co z niego zostało?

W końcu jama została otwarta!

Eveleen wskoczyła do środka, złapała za coś i zaczęła szybko ciągnąć, żeby zejść z drogi głazu.

— Jest wolny! Skaczcicie!

Obaj mężczyźni odskoczyli na boki. Ross schwycił archeologa za ramię i szarpnął, żeby przyspieszyć skok. Wielki kamień staczał się w tył, po lekko pochyłym gruncie. Murdock wątpił, by jeleniom pozbawionym wsparcia ze strony ludzi udało się utrzymać ciężar. — Nie utrzymały. Zobaczył, jak ześlizgują się w tył. Krzyknął na nie, żeby przestały ciągnąć w obawie, że dzielne zwierzęta zrobią sobie krzywdę, natężając się ponad siły.

Dopał je, zanim przestał krzyczeć, i szybkim ruchem miecza przeciął liny.

Przez ułamek sekundy skała stała bez ruchu, potem potoczyła się w tył, wzdłuż bruzdy znaczącej trasę, którą ją ciągnięto. Uderzyła potężnie o skalistą ścianę klifu i zamarła w miejscu.

Murdock nie patrzył już na to. Pospieszył do towarzyszy nachylających się nad złowieszczo nieruchomym Allranem. Eveleen podniosła wzrok.

— Będzie zdrow. Skała przywaliła jamę, ale jego nie zraniła.

Wkrótce będzie przytomny.

— Dzięki za to Królowej Życia... Lepiej zajmę się jeleniami. Wy dwoje zostańcie z nim.

Ross dłuższy czas pozostawał przy wierzchowcach, które pasły się w odległości kilku metrów od legowisk jeźdźców. Eveleen zostawiła towarzyszy i podeszła do niego.

— Są ranne? — zapytała z niepokojem.

— Nie, dzięki tobie i Gordonowi. Świetnie się sprawiłaś z tą uprzężą. .. Jak z Allranem?

— Nie najgorzej. Ma obolałą głowę i jest zawstydzony. — Utkwiła w nim wzrok.

— Dlaczego nas unikasz? Murdock odwrócił się od niej.

— Nie wiem, jak mu spojrzeć w twarz. Wiedziałem, że tu jest niebezpiecznie, a jednak pozwoliłem mu wejść w paszczę śmierci.

— Przestań zachowywać się jak osioł! — parsknęła zirytowana. — Byliście zmęczeni i w strasznym stanie. Allran rozdrażnił cię, a ty mu odpowiedziałeś. I co z tego? Dobrze wiemy, że nie jesteś nieomylny, i nic nie szkodzi, jak ci to ktoś czasem wypomni.

Uniosła podbródek.

— Możesz mnie skląć za niesubordynację, ale najpierw słuchaj, i to słuchaj uważnie! Jeśli będziesz się upierał przy tym nonsensie, to zniszczysz jakakolwiek nadzieję na pogodzenie się z Allranem, a to będzie dla niego zgubne. On na pewno w swojej głupocie odczytuje twoje zachowanie jako potępienie jego samego.

Ross zapłonął gniewem, ale szybko ochłonął.

— Nikt nie lubi wysłuchiwać czegoś takiego, a szczególnie, jeśli jest to prawda.

Odetchnął głęboko. Był już spokojniejszy i zmusił się, żeby pomyśleć o problemie, który teraz powinien rozwiązać.

— Masz wprawę w używaniu języka, poruczniku. Jak sądzisz, czy Allran zechce cię słuchać, kiedy będziesz mu wyjaśniać, że moim zdaniem jest to hańba dla mnie?



Poprosisz go, żeby przyszedł do mnie jutro, kiedy już dotrzemy do obozu i trochę odpoczniemy? — Zmrużyła oczy. — Zrobiłabym tak, gdybym chciała cię poniżyć. Ale nie chcę.

Murdock uśmiechnął się.

— Spokojnie, gwardzistko. Jak sama powiedziałaś, on zauważył, że unikam was teraz. Może się przecież dowiedzieć dlaczego.

— Naturalnie — powiedziała Eveleen. — Ale nikt z nas, a w szczególności Allran, nie pozwoli, żebyś siebie obarczał winą za to, co się stało.

Jej ton złagodniał.

— Pójdiesz tam teraz ze mną?

— Tak — uśmiechnął się Murdock. — Myślałaś, że będę się tu dąsał przez całą noc i zostawię ciepło ogniska wam trojgu?

— Któż może zgłębić myśli Ognistej Ręki? — odparła, roześmiała się i poszła w kierunku towarzyszy.

Było już późne popołudnie, kiedy Allran A Aldar był zdolny podnieść się i pójść do chaty dowódcy.

Szybko zamknął za sobą drzwi przed zacinającym deszczem i powiesił płaszcz na kołku. Woda spływała z niego małymi strużkami.

Ross podniósł wzrok znad papierów pokrywających stół. Miał nadzieję, że nie było po nim widać zdenerwowania. To nie była praca dla niego, ale należała do obowiązków dowódcy podobnie jaki osobisty udział w wojnie, którą tutaj prowadził. Nie mógł tego powierzyć nikomu, nawet Gordonowi, i nie mógł się też od tego wymigać. Musiał to zrobić, i to dobrze, ze względu na dobro tego młodego człowieka i ze względu na sprawę, o którą walczyli.

— Już myślałem, że będę musiał pójść cię poszukać — powiedział. — Podejdz i pozwól, żeby ogień cię ogrzał.

Allran posłuchał, ale nie odprężył się mimo żartobliwego tonu szefa. Stał przed nim na baczność.

— Kapitanie A Murdock, zdaję sobie w pełni sprawę, że moje zachowanie pod koniec misji jest godne pogardy. Gdybym zginął ostatniej nocy, cała wina spadłaby na mnie.

— Raczej nie — odparł ponuro Ross. — Taka strata na pewno obarczyłaby winą nas wszystkich. — Murdockowi stwardniały rysy. — Nie tylko mnie, choć moja rola była największa...

— Nie! Eveleen mówiła mi o tym. Gdyby niebezpieczeństwo było takie oczywiste, czy ona albo Gordon nie spostrzegliby tego i nie powstrzymaliby mnie?

Dowódca uśmiechnął się.

— Pewnie tak. I na tym zamykamy temat zarzutów. Nic nie zyskamy przez samobiczowanie.

Porucznik dopiero teraz usiadł,

— Nie wiem, co mnie podkusiło, co mnie nastawiło przeciwko tobie. Nie chcę, aby gniew rodził się we mnie tak szybko.

— Chcesz dowództwa nad garnizonem Krainy Szafiru i wiesz, że jesteś odpowiedni na to stanowisko, a teraz pomiędzy nim a tobą stanąłem ja. I tak będzie, dopóki pozostanę w służbie tona I Lorana.

— Nie mogę zastąpić Ognistej Ręki! Nawet gdyby moja próżność była wielka jak te góry, z pewnością zrozumiałbym to!

— Ale wojna, a wraz z nią zapotrzebowanie na moje szczególne umiejętności, wkrótce się skończy, prawda?

Ross pochylił się naprzód.

— Jestem najemnikiem, przyjacielu. Nawet po tych długich miesiącach, które spędziliśmy razem, nie rozumiesz, co to znaczy. Nie mogę tu zostać. Jakiej sprawie bym służył? Kiedy tylko Dwór Kondora zostanie pokonany, a sprawy Krainy Szafiru doprowadzone do ładu, ja odjadę. To niewyobrażalne, żebym miał zrobić coś innego.

Allran milczał przez dłuższy czas.

— To źle świadczy o moim honorze, ale przyznaję, że właściwie odczytałeś moje myśli — powiedział powoli. — Nie zdawałem sobie wcześniej sprawy, że to jest przyczyną mojego zachowania.

— Reakcja jest normalna. A twój honor nie ucierpiał na tym, że tak szybko zaakceptowałeś prawdę.

— Sądzisz, że mogę mieć jakąś nadzieję na otrzymanie dowództwa?

— Już zdążyłem cię zarekomendować.

Murdock wpatrywał się swoimi bladymi oczami w A Aldara.

— Jesteś dobrym oficerem, Allranie. Masz skłonność do porywczosci, ale rzadko zdarza ci się działać bezmyślnie. I nigdy nie zapominasz o tych, którzy służą pod twoją komendą. Wzbudzasz zaufanie. Jesteś sprawiedliwy w swoich osądach. Jesteś dobry w radzie i potrafisz zareagować szybko i właściwie, kiedy potrzebna jest nagła zmiana planów podczas akcji.

Ross wzruszył ramionami.

— Odczekanie roku czy nawet dwóch wyjdzie ci tylko na dobre. Jesteś młody. Nawet jeśli nasi ludzie znają twoją wartość, to niektórzy starsi mogą się zżymać na myśl, że będą służyli pod komendą młodzika. Upływ czasu zniesie i tę przeszkodę.

Przerwał.

— Czy to, co mówię, trafia do twojego przekonania?

— Jest przekonujące dla umysłu. Przekonujące dla serca... Rossinie, wybaczone. Jesteś zbyt dobrym przyjacielem Krainy Szafiru i moim osobiście, aby nadal utrzymywać tę pogardę, która powstała między nami.

— Zapomnij o tym. Eveleen czuła się zmuszona przypomnieć mi, że jesteśmy tylko ludźmi.

Ross spojrzał na papiery leżące na stole. Jego westchnienie było tylko po części udawane.

— A teraz do roboty. Zgaduję, że masz niewiele mniej ode mnie do zrobienia, a jeśli jesteś tak zmęczony jak ja, to nie będziesz chciał spędzić większej części nocy nad papierami.

## 24.

Przez następne cztery dni niewiele się działo. Pogoda była wyjątkowo brzydka, niemal przez cały czas wiały silne wiatry i padał ulewny deszcz, często ze śniegiem.

Rankiem piątego dnia roz pogodziło się nieco, ale nadal było bardzo zimno, a niebo pokryte było ołowianymi chmurami.

Mimo że pogoda znów mogła się pogorszyć, Ross postanowił wyprawić się na krótki patrol. Chciał sprawdzić, jakie zniszczenia poczyniły deszcze w Korytarzu. Po długotrwałych opadach częściowo zamienił się w bagniska i mógł stać się nieprzejezdny dla wozów. Jeśli o tej porze roku panowała taka pogoda, to można było się spodziewać, że utrzyma się ona do pierwszych śniegów. Jeśli Zanthor I Yoroc mimo to chciałby przewozić zapasy, to będzie zmuszony zdać się na zwierzęta juczne, dopóki zima nie zakończy wszelkich podróży. To zaś wymusi znaczącą zmianę w działaniach partyzantów — nawet ciężko objuczone zwierzęta poruszają się szybciej od wozów i są w stanie sforsować znacznie cięższy teren, a karawana jeleni może udźwignąć nie mniej niż podobna ilość wozów.

Eveleen jechała obok Rossa. Zacisnąwszy mocniej popręgę, postarała się, żeby wierzchowcie chronił ją choć trochę przed wiatrem.

Ross zauważył, że dygoce.

— Nie ma potrzeby, abyście razem z Gordonem tym razem ze mną jechali. Nie mamy zamiaru walczyć.

— Nie podobają ci się już nasze umiejętności? — zapytała poważnie.

— Chcą ci tylko oszczędzić bardzo nieprzyjemnej wyprawy — odparł.

— Zawsze jeździmy z tobą — stwierdziła. — Kiedy postanowisz się oszczędzać, wtedy i my pójdziemy w twoje ślady. Do tego momentu będziemy korzystać z naszych przywilejów.

— To jest zwyczajny upór, poruczniku. Kobieta uśmiechnęła się.

— Być może mówię tylko za siebie. Możesz zaproponować Gordonowi, żeby został.

— Już to zrobiłem. Odpowiedział tak samo jak ty. Był znacznie mniej powściągliwy w słowach. — Ross przesadnie pokiwał głową. — Nie wydaję żadnego rozkazu. Takie szaleństwo zasługuje na nauczkę.

Oddział Krainy Szafiru jechał równym rytmem przez kilka następnych dni. Trzeba było sprawdzić wielki obszar. Dowódca i zobaczyć wszystko, co trzeba, i jak najszybciej wrócić. Nawet ta północna część Korytarza była zbyt blisko frontowych oddziałów najeźdźców i dlatego dobrze ją patrolowano. Murdock nie mógł czuć się t bezpiecznie.

Niepokoił go też fakt, że najeźdźcy zwykle wysyłali tu silne patrole. Było z nim zaledwie sześciu ludzi. Ich zadanie nie wymagało angażowania większych sił, a poza tym łatwiej było się ukryć takiej garstce, ale sześcioro to za mało, żeby przeciwstawić się oddziałowi Dworu Kondora.

Westchnął i uspokoił się. Ich celem był zwiad, a nie walka. Wyślą w góry wiadomość, jeśli znajdą jakiś kuszący cel, a jeśli napotkają patrol — ukryją się albo uciekną.

Jego partyzanci nie raz tak jeździli i rzadko z tego powodu wpadali w tarapaty. Wiedział o tym doskonale — czyż to nie on wpoił im taką taktykę? Ale dręczący strach przed atakiem, pułapką, przed sytuacją, której nie będzie w stanie opanować, prześladował go bez przerwy. Z całego serca pragnął, by znaleźli się gdzieś indziej, z

dała od tego miejsca, w bezpiecznej górskiej kryjówce.

Jednak wraz z upływem czasu, gdy bez kłopotu zebrał informacje, których potrzebował, agent czasu musiał pogratulować sobie podjęcia tego ryzyka. Deszcz rzeczywiście zrobił swoje. Zanthor z Dworu Kondora przez długi czas nie będzie mógł wysyłać wozów. |

— Dość już zobaczyliśmy — powiedział wreszcie do Eveleen jadącej u jego boku.  
— Wracajmy do domu.

Mówił ściszym głosem. Wokół panowała cisza zakłócana jedynie poświstywaniami wiatru. Wszelkie niezwykle dźwięki niosłyby się daleko.

Nikt w oddziale nie zmartwił się tym rozkazem. Chłód przesywał ich ciała, a nerwy napięte mieli jak postronki od ciągłego zachowywania czujności w terenie, który nie dawał większych możliwości obrony ani bezpiecznej drogi ucieczki.

To właśnie musieli czuć i znosić najeźdźcy...

Szóstka jechała szybko i forsownie. Opuściła wreszcie Korytarz i znalazła się w niemal równie niebezpiecznym Leju.

Ludzie byli trochę odprężeni, mimo że niebezpieczeństwo napotkania patrolu Dworu Kondora nie zmalało. Tutaj przynajmniej można było znaleźć kryjówkę i przestrzeń do podjęcia walki albo ucieczki na wypadek kłopotów.

Wiatr wiał im prosto w twarz. Było już za późno, kiedy ich jelenie zaczęły dawać ostrzegawcze sygnały. W chwili gdy położyły uszy, zza ostrego zakrętu uformowanego przez podnóże niskiego wzgórza wyjechało dwudziestu czterech jeźdźców.

Dwa oddziały stanęły jak wryte o kilka metrów od siebie.

— Przebić się! — krzyknął Murdock.

Jego partyzanci dobrze opanowali lekcję natychmiastowej reakcji. Runęli na szereg wroga, który jeszcze nie otrząsnął się ze zdumienia.

Ich przewaga trwała krótko. Najeźdźcy rozjechali się na wszystkie strony i rozpoczęli pogoń.

Byli blisko, a ich jelenie, jeśli nawet nie były wypoczęte, to nie były też bardziej zmęczone niż wierzchowce ściganych. Widać było, że łatwo nie ustąpią.

Ross pozostał w tyle, żeby dać czas towarzyszom. Lady Gay była szybka. Wkrótce znów go poniesie do przodu.

Obalił pierwszego wroga. Drugiego. Inni stłoczyli się wokół niego, nie zniechęceni śmiercią kolegów. Rozpoznali go. Wiedzieli, ile jest wart dla tego, kto go złapie albo zabije. Chciwość i przewaga liczebna podsyciły ich odwagę.

Walił mieczem na prawo i lewo, rozpaczliwie usiłując otworzyć sobie drogę ucieczki.

Na ziemię upadło jeszcze dwóch, a potem trzeci.

Poczuł w boku palący ogień, przenikający aż do żołądka.

Murdock gwałtownie pochylił się do przodu, krztusząc się wpijając palce w krótką grzywę Lady. Miecz wypadł mu z ręki. Siodło przed nim było już czerwone od krwi.

Nieprzyjaciele wydali okrzyk tryumfu, który jednak zaraz przygasł. Wokół Murdocka pojawili się inni ubrani na zielono wojownicy.

Podtrzymywała go ręka Eveleen.

— Trzymaj się!

— Uciekajcie! Wypatroszyli mnie...

Nie miał czasu, żeby dokończyć zdanie. Ktoś schwycił wodze Lady Gay i odciągał ją z pola bitwy.

Dostrzegł Eveleen, Gordona i dwóch innych, walczących jak wściekli.

Eveleen? Czy ona w ogóle była kobietą, czy też raczej żeńskim demonem z piekła

rodem?

W tej potyczce nie było niczego ludzkiego. Najeźdźcy się o tym przekonali. Zaczęli uciekać przed tym niespodziewany pełnym furii kontratakami.

Potem było już tylko przyćmione uczucie szybkości i nieustanne agonalne drgawki, jakby nierealne, jakby nie on to odczuwał. Przywarł mocno do Lady, ale wiedział, że i tak wkrótce sp z siodła, gdyby nie ręce, które go podtrzymywały z obu stron.

Wreszcie ruch ustał. Ktoś zdjął go z siodła. To kowal, pomyślał. Tylko ktoś taki może podnieść mężczyznę z taką łatwością, jakby był dzieckiem.

Położono go na ziemi, na płaszczu. Drugi, zwinięty, podłożono mu pod głowę.

Siłą woli zmusił się do otwarcia oczu i wystrzył wzrok.

— Eveleen? — wyszeptał.

Szybko zjawiała się w jego polu widzenia.

— Spokojnie, Rossin. Udało nam się uciec.

— Wszyscy... nie muszą ryzykować... dla umierającego. Jedźcie już. To jest, ja... rozkazuję...

— Jesteś niezdolny do działania, kapitanie — odparła z lodowatą stanowczością.

— Teraz ja dowodzę.

— Głupia...

Położyła palce na jego ustach.

— Nie zostawimy cię, Ognista Ręko. Nie ja.

Był zbyt zmęczony, żeby się kłócić. Zamknął ponownie oczy i poddał się jej woli.

Powoli odzyskiwał świadomość. Wiedział, co się z nim dzieje, słyszał i rozumiał to, co wokół niego mówiono, ale udział w rozmowie był ponad jego siły.

Rozdarto mu koszulę, przyciśnięto ranę, żeby zahamować krwawienie. Ashe zbadał ranę. Ross rozpoznał jego dotyk.

Gordon odetchnął.

— Niech będą dzięki Panu Czasu — wyszeptał dziwnie matowym głosem. — Nie wydaje mi się, żeby jelita były uszkodzone.

Poprosił o wodę, którą zaraz przyniesiono. Była gorąca i Ross jęknął. Palce Eveleen łagodnie głaskały jego czoło i skronie.

— Wytrzymaj, kochany. Zaraz będzie po wszystkim.

— Szkoda, że nie możemy zaryzykować jakiegoś środka uśmierzającego ból — powiedział męski głos. To był kowal. Murdocka zdziwiło, że w jego głosie było cierpienie.

Oczywiście nie dadzą mu środka uśmierzającego ból — Gordonowi nie zostało już nic z zapasu, który wydano mu, gdy rozpoczynali misję, a organizm Murdocka nie zniósłby miejscowych leków. Gdyby do tej rany doszły jeszcze wymioty — byłby trupem.

Ashe zbadał ranę jeszcze raz, jednocześnie ją oczyszczając.

— Jestem prawie pewien, że są nienaruszone, ale było blisko. Niebezpieczeństwo z pewnością minęło. Nie zniesie jednak więcej szarpania... Niech mi ktoś pomoże z bandażami. Trzeba je nałożyć bardzo ciasno.

Ross poczuł, że dotyka go ktoś inny, jeden z jego ludzi. Opatrywanie było bolesne. Na chwilę stracił przytomność, a kiedy znów ją częściowo odzyskał, był zbyt oszołomiony, żeby rozpoznać, kto to był.

Usłyszał, jak Eveleen każe komuś jechać w góry, a potem ogarnęła go ciemność.

Kapitanem wstrząsały gwałtowne drgawki. Ktoś przyciskał do jego twarzy lodowatą ściereczkę.

Potrząsnął głową, żeby pozbyć się tej męczącej szmaty, i otworzył oczy.

Był przy nim Gordon. Wyglądał na zmęczonego, widać było, że ukrywa strach.

— Jak nasze sprawy? — Ross ucieszył się, że jego głos już nie drżał, choć był jeszcze słaby. Brzmiał dziwnie w jego uszach, jakby słyszał go przez mgłę.

— Nieźle. Właśnie skończyliśmy krótki odpoczynek. Jeśli będziemy jechali nocą, dotrzemy do domu jutro o tej samej porze.

— Jakież wieści o wrogu?

— Żadnych.

— Moja rana? — zapytał po krótkiej przerwie.

— Nie najlepiej — odparł spokojnie Ashe — ale nie jest tak poważna, jak z początku myśleliśmy. Masz wysoką gorączkę. To może być dla ciebie bardziej niebezpieczne niż rana.

— Jestem w stanie jechać wierzchem, byle wolno. Każ prowadzić Lady. Mogę pojechać własnym tempem...

Oczy Gordona rozbłysnęły nagłą furią, ale chwilę potem się i roześmiał.

— Czytałeś w domu za dużo powieści przygodowych, przyjacielu. Nie pozwolimy ci odjechać, żebyś umarł w samotności, poświęcając się dla nas wszystkich. Tym bardziej, że to niepotrzebne.

Murdock westchnął, wiedząc, że nic nie przekona jego partnera.

Musiał spróbować:

— Gordonie, niektórzy z tamtych uciekli. Rozpoznali mnie i rozniosą wieść, że Ognista Ręka został poważnie ranny i musi gdzieś niedaleko. Połowa armii Dworu Kondora będzie nas ścigać, jeśli już tego nie zrobiła.

W tym momencie podeszła Eveleen. Usiadła obok nich.

— Polowanie a złapanie jeńców to dwie różne rzeczy — powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Pokiwał głową, jakby w poczuciu klęski.

— Moglibyście przynajmniej dać mi coś przeciwbólowego. Dziewczyna roześmiała się i nachyliła, żeby go pocałować.

— Więc chcesz, żeby zabiło cię twoje własne ciało? Chyba nie, Ognista Ręko. A tak na marginesie, nie sądzę, żeby to podziałało. Nie wierzę, że twoje rany są tak poważne, tym bardziej że nie zaszkoziło ci niesienie na noszach. Nie byłoby z tego żadnego pożytku, mógłbyś się tylko jeszcze gorzej rozchorować.

— Nie możecie przyspieszyć, kiedy jestem z wami! — argumentował rozpaczliwie. — Wiem wystarczająco dużo o ranach, żeby zdawać sobie z tego sprawę. Czy muszę patrzeć, jak was wszystkich pozabijają, przyłożyć do tego rękę?

Ashe uśmiechnął się do niego.

— Nie ma mowy. Jesteśmy teraz równie bezpieczni, jakbyśmy byli w środku naszego obozu. Posłuchaj parskania jeleni! Jesteśmy w dobrym towarzystwie. Zwiadowcy przeczesują całą okolicę, żeby ostrzec nas, gdyby zbliżył się wróg, a po obu stronach jadą patrole bojowe z zadaniem zaatakowania i związania walką każdego, kto będzie na tyle głupi, żeby się tu pojawić. Wojownicy urodzeni na Dworze Kondora mogą być znani z fanatycznej walki, ale cała ich furia jest niczym w porównaniu z tym, co im teraz szykujemy. Bronimy swojego, przyjacielu. Wierz mi i odpoczywaj.

— To wszystko może być daremne — wyszeptał, podniesiony na duchu niemal wbrew sobie.

— Więc przynajmniej umrzesz w domu, w takich wygodach, jakie tylko będziemy w stanie ci zapewnić — powiedziała spokojnie Eveleen i tak jak poprzednio, gdy go uciszała, przycisnęła palce do jego ust. — Teraz bądź cicho. Nie chcę już więcej słuchać o umieraniu. Nie mam zamiaru oddać cię nikomu, Ognista Ręko. Nawet tej ponurej Pani.

Ross czuł dziwne, kołyszące ruchy, których rytm co jakiś czas przerywały gwałtowne szarpnięcia wywołujące jego jęki lub okrzyki protestu, które usiłował tłumić, mimo że nie bardzo panował nad swoimi odruchami.

Od czasu do czasu zupełnie tracił orientację, zmuszając się wtedy do skupienia uwagi.

Wieziono go na noszach zawieszonych między jeleniami. Raz już to przeżył, ale wtedy mógł dowodzić, myśleć o swoim oddziale. Teraz trudno mu było zebrać myśli, a zupełnie niemożliwe utrzymać koncentrację na dłużej...

Było zimno, bardzo zimno. Stos koców, którymi go okryli, nie był w stanie uchronić go przed zimnem, jakby pochodziło ono z jego własnego ciała, a nie z gnanego wichrem śniegu z deszczem.

Raz, może dwa razy wydawało mu się, że czuje gorąco. Zaczęło go być za dużo. Ciało oblewał mu pot, rozgrzebywał koce, dopóki czyjeś potężne ramiona nie powstrzymały go.

Te napady gorąca, o ile nie były wytworem jego wyobraźni, trwały krótko. Potem z przyjemnością czuł, jak zimno znów go ogarnia.

Stopniowo nieprzyjemne wahania temperatury stały się coraz rzadsze. Ogarnęła go głęboka nieświadomość. Zapadł w nią, wybawiła go od niewygody i ostrych szponów bólu.

Agent czasu leżał spokojnie. Był całkowicie odprężony. Nie wykonywał żadnego ruchu. Odpoczywał na wygodnym łóżku. Plecy miał podparte stertą poduszek. Pólsiedział, i choć nie mógł w tej pozycji spać, to pomagało to ochronić go przed zapaleniem płuc. Wokół nie go panowało cudowne ciepło.

Przyćmione światło padło na jego opuszczone powieki. Drażniło go i w końcu otworzył oczy.

Zmarszczył brew. To nie był jego pokój.

— Wreszcie się obudziłeś! Odwrócił głowę.

Obok niego siedział Luroc. Ton poruszył się szybko i poprawił poduszki tak, żeby ranny mógł siedzieć.

— Spokojnie. Jesteś w mojej chacie.

— Dlaczego? — zapytał Murdock.

— Jest najcieplejsza i najwygodniejsza w całym obozie... Bardzo się o ciebie martwiliśmy przez ten tydzień, Rossinie.

— Tydzień? Tak długo? Luroc pokiwał głową.

— Tak, nie mieliśmy pewności, czy w ogóle przeżyjesz, dopóki dziś rano nie spadła gorączka.

Murdock poczuł się dziwnie opuszczony, gdy uświadomił sobie, że nie ma przy nim ani Eveleen, ani Gordona. I Loran zdawał się czytać w jego myślach.

— Właśnie odesłałem twoich przyjaciół, żeby trochę odpoczną. Byli wykończeni kierowaniem naszą wojną i pielęgnowaniem naszego znakomitego chorego.

Władca zaśmiał się.

— Nie chmurz się tak! Nie możesz przecież oczekiwać, że wszystko się zatrzyma, bo ty na jakiś czas zostałeś wyłączony z biegu wydarzeń. W gruncie rzeczy ci, którzy na ciebie polowali, podsunęli naszym ludziom kilka wspaniałych celów.

— Nie powinni się wtedy tak narażać...

— Chyba nie myślisz, że musisz trzymać się na uboczu, gdyż to naraża twoich ludzi na niebezpieczeństwo?

Murdock był już wyraźnie zmęczony, więc I Loran odsunął swoje krzesło od łóżka.

— Dość już na dzisiaj. Jest prawie północ. Eveleen odwiedzi cię jutro i przedstawi ci pełny raport z wydarzeń, o ile uzdrowiciel O Ashean uzna, że jesteś w stanie go wysłuchać. Tymczasem wypoczywaj. Stoczyliśmy ciężki bój o to, żeby uratować ci życie, i nie mam zamiaru przemęczać cię rozmową.

Powrót do zdrowia nie nastąpił szybko. Rana zagoiła się, ale występowały jeszcze nawroty gorączki, za każdym razem odbierające kapitanowi trochę odzyskiwanych powoli sił. Zima była już w pełni, kiedy pozwolono mu wrócić do własnej kwatery.

Prawdę mówiąc, nie nalegał na szybkie opuszczenie chaty tona. Było tam ciepło, a on teraz źle znosił zimno. Nawet później, gdy inne skutki odniesionej rany znikły, nadal nie był w stanie znosić chłodu. Jego reakcja na zimno była tak ostra, że zanim wraz z upływem czasu te objawy znacząco zmały, Ross obawiał się, że będzie zmuszony ograniczyć swoje dalekosiężne działania do tutejszych południowych okolic Dominionu albo do gorących, rajskich światów takich jak Hawaika, a w innych klimatach przyjmować tylko krótkie zadania możliwe do wykonania w porze letniej.

Murdock odsuwał od siebie takie myśli. Musiał wierzyć, że ta przypadłość opuści go, tak jak opuściła go gorączka. Tymczasem musi znosić swoją słabość najlepiej, jak umie, i ukrywać ją przed swoimi towarzyszami broni.

Poza tym jednym zmartwieniem miał mnóstwo powodów do zadowolenia. Jego silny organizm zwalczył chorobę. Przybrał na wadze i powróciła jego energia



życiowa, która wcześniej opuściła! go do tego stopnia, że przez większość czasu rekonwalescencji tumie wykonywał rozkazy swoich przybocznych.

Terranin nie sądził, żeby protest odniósł jakiś skutek. Jego towarzysze uznali, że musi całkowicie wrócić do sił, zanim znów obejmie dowództwo nad wojskami, i największa nawet niecierpliwość z jego strony nie zmieniłaby ich zdania.

Na wszystkie poziomy czasu, jak dobrze jest czuć się zdrowym i kierować swobodnie swym losem. A przecież po drugim nawrocie gorączki Murdock przez moment myślał, że jedyne, co mu zostało w tym życiu, to dola inwalidy.

Ale i tę obawę, choć była w swoim czasie bardzo silna, zwalczył. Teraz było to tylko przykre wspomnienie.

Nie stracił nawet zbyt wielu walk. Jego miecz przez długie miesiące spoczywał w pochwie, ale to samo dotyczyło jego pozostałych wojowników. Przez trzy tygodnie po tym, jak został ranny, odbywały się jeszcze partyzanckie wyprawy, ale potem zima pokazała całą swoją moc. Była bardzo ciężka, taka, jakiej można było się spodziewać po oznakach, które ją zapowiadały; z dużymi opadami śniegu i całymi tygodniami zabójczo niskich temperatur. Zarówno w górach, jak i na nizinach zamarł wszelki ruch.

Nadejście wiosny zakończyło ten wymuszony rozejm.

Gdy tylko Korytarz znów stał się przejezdny, najeźdźcy wznowili dostawy zaopatrzenia na południe, a wojownicy Krainy Szafiru zaczęli schodzić ze swego górskiego gniazda, żeby im w tym przeszkadzać. Murdock poprowadził cztery wyprawy zakończone tak dużymi sukcesami, że wbrew woli i życzeniom Zanthora I Yoroca, zarówno konfederacji, jak i wojownicy wroga przekonali się, że Ognista Ręka żyje i działa nadal, a niektórzy zaczęli nawet powątpiewać, czy kiedykolwiek był ranny.

Ross przestał marzyć. Do obozu przybył właśnie jeździec. Galopował szybko.

Być może to było tylko złudzenie, ale Murdock zawsze uważał, że jeśli jeździec niesie wiadomość o potencjalnym celu ataku, to uderzenia kopyt jego wierzchowca brzmią inaczej niż zazwyczaj, i akurat teraz słychać było w stukocie kopyt tę nieuchwytną nutę.

Ross nie czekał, aż kurier wstrzyma wierzchowca przed jego chatą, lecz przemierzył pokój w trzech susach i otworzył drzwi.

Na zewnątrz stał zwiadowca. Była to Marri.

Kobieta właśnie zsiadała, kiedy do niej dobiegł.

— Masz jakieś wiadomości? — Pytanie było oczywiście zbędne. Dziewczyna miała zaczerwienione policzki. Mogło to być spowodowane wciąż jeszcze ostrym powietrzem, ale wyraz twarzy i podniecenie w oczach miały inne źródło.

— Tak, kapitanie. Jeźdźcy, wielka kolumna jeźdźców.

— Konwój wozów? Pokręciła głową.

— Nie. Mają ze sobą juczne zwierzęta, ale one niosą zapasy tylko na jakieś kilka tygodni.

— Zmierzają na południe?

— Tak, i jadą szybko.

— Mówisz, że to długa kolumna?

— Stu wojowników i oficerowie. Ściągnął wargi.

— Mogą się podzielić i zostać na nizinie, żeby nas nękać.

— Wątpię, żeby mieli taki zamiar, kapitanie. Skład kolumny jest dziwny.

Prawdopodobnie jest wśród nich bardzo wielu oficerów. To dlatego wspomniałam o nich oddzielnie.

— Prawdopodobnie?

— Teren był za bardzo odsłonięty. Nie odważyliśmy się podjechać bliżej.

Ross popatrzył na Eveleen, stojącą obok wraz z pozostałymi oficerami.  
— Może chodzi o zmianę dowódców na froncie?  
— Możliwe — zgodziła się Eveleen. — Bardzo możliwe. Zanthor bardzo potrzebuje jakichś zwycięstw. Niewiele ich zakosztował w pierwszym roku wojny. Murdock znów zwrócił się do zwiadowcy.  
— Marri, czy to byli najemni wojownicy, czy jego własna drużyna?  
— Tylko ludzie z Dworu Kondora. Świetnie się prezentowali. Podziękował jej i zwrócił się do oficerów.  
— Jedzie oddział Eveleen i mój. Allran ubezpiecza Korytarz. Muszę mieć pewność, że nikt się nie prześliznie, jeśli to przynęta. Korvin umacnia przełęcz prowadzące do obozu. To mało prawdopodobne, ale być może to jest ich właściwy cel. Reszta zostaje tutaj. Bądźcie gotowi do wymarszu na wypadek, gdybyśmy was wezwali. W obozie zostawicie wtedy podwójnie wzmocnioną straż. Niech kurierzy przez cały czas będą gotowi na wypadek, gdyby trzeba było przekazać informację o rozwoju wydarzeń.

Allran A Aldar zachmurzył się, gdy usłyszał te rozkazy.

— To duża kolumna. Może powinieneś zabrać ze sobą jeszcze jeden oddział?

— Rozegram to tak, jak powiedziałem. Jeśli będzie potrzeba, wezwę pomoc, ale nie mogę zostawić nas bez obrony przed jakimś chytrym manewrem Zanthora. On wie najlepiej, że my przyczyniamy się najbardziej do jego bliskiego końca. Jeśli zamierza zmieniać losy wojny, to robi to właśnie teraz. Musimy być gotowi na jego wszystkie posunięcia, bo inaczej poniesiemy ogromne straty. — Na moment ściszył głos. — A możemy stracić wszystko.

## 26.

Partyzanci jechali szybko trasą wskazaną im przez Marri. Tędy mogli jechać następni kurierzy. Tak mobilny oddział wroga, którego cel pozostawał nieznany, mógł w każdej chwili zmienić kierunek jazdy. Kolumna nieprzyjaciela jechała jednak swoim pierwotnym szlakiem, nie oddalając się od środka niziny, trzymając się najdalej, jak to możliwe, od oskrzydających ją gór. Jeźdźcy rozwijali maksymalną szybkość, starając się przy tym oszczędzać wierzchowce.

Okolice, którą jechali, choć mniej dzika niż góry, była i tak dość surowa, szczególnie w miejscu, w którym nizina przechodziła w Lej. Teren pozwalał dowódcom partyzantów jechać blisko nieprzyjaciela bez zdradzania swojej obecności.

Oddział robił duże wrażenie. W ruchach wojowników widać było militarną biegiłość niezbyt często spotykaną nawet wśród żołnierzy domeni. Ich postawa emanowała spokojną pewnością siebie charakterystyczną dla doświadczonych weteranów.

Była w nich także duma. To byli ludzie, dzięki którym Zanthor dokonał swoich pierwszych podbojów, to oni stworzyli jego imperium zdolne utrzymać kolumny najemników, którzy obecnie przejęli na swoje barki główny ciężar wojny. Nie z ich winy najemni wojownicy nie zdołali utrzymać pędu, który oni nadali tej wojnie. Murdock skupił uwagę na oficerach.

Zmrużył powieki. Marri miała rację. Kolumna aż się od nich roiała.

Mogli być dowódcami oddziału, ale wyglądało na to, że kolumna wojowników Dworu Kondora jedzie jako ich ochrona. Znajdowali się w środku, osłaniany przez wojowników, choć ten typ ludzi trudno oskarżyć o tchórzostwo.

Większość przywódców wroga znana była partyzantom. Murdock skupił się na identyfikowaniu tych, których teraz widział. Dobór ludzi może zdradzić rodzaj misji. Ross był jednak coraz bardziej pewien, że kolumna jechała na front po to, żeby dokonać zmiany albo wzmocnienia struktury dowodzenia armii stacjonującej na południu.

To było śmiałe posunięcie w kontaktach z najemnikami, którzy mogli się okazać skrajnie nielojalni, gdyby odczuli, że ktoś zagraża ich pozycji albo przywilejom. Ale takie rzeczy robiono już wcześniej i to czasami z dobrym skutkiem. Dopóki zakontraktowany żołd wypłacany jest we właściwym czasie, ton Dworu Kondora może sobie pozwolić na przeprowadzanie swojej woli.

Ta myśl sprawiła, że agent mocniej zmarszczył brwi. Oddziały dowodzone przez tych ludzi mogą się okazać znacznie groźniejszym przeciwnikiem, niż spodziewają się dowódcy tona Gumiona.

Nagle zeszytniał. Jeden z jeźdźców przyciągnął jego wzrok. Był to barczysty mężczyzna o grubym karku, bardzo ciemnych, lekko falujących włosach — trzymał swój hełm w ręku — i ciemnym śladzie zarostu na brodzie, choć pora była względnie wczesna. Zanthor i Yoroc.

Po lewej stronie od Rossa dało się słyszeć wypowiedziane szeptem mocne przekleństwo. Po prawej stronie Eveleen wciągnęła głęboko powietrze.

Ross popatrzył na nią i serce mu zadrżało. Eveleen Riordan stała bez ruchu. Wyglądała raczej na jakąś wspaniałą rzeźbę niż na żywą istotę. Wzrok miała utkwiony we wrogim przywódcy. Ross nie wyobrażał sobie nawet, że jakkolwiek z członków jego gatunku stworzonych ręką Wielkiego Twórcy byłby w stanie żywić tak ogromną nienawiść. Nie szpeciła jej. Nie zmieniła rysów twarzy, ale przepalała ją na wskroś, emanowała z niej, potworna w swoim kontrolowanym bezruchu. Gdyby

Terranie mogli zabijać siłą woli, Zanthor i Yoroc rozpadłby się w tej chwili w proch.

Ross dał sygnał do odwrotu i cała piątka partyzantów w milczeniu zawróciła wierzchowce.

Wkrótce dotarli do towarzyszy. Wieść, że sam Zanthor jest w pobliżu, w zasięgu ich ręki, wywołała wśród zgromadzonych wojowników pomruk wściekłości pomieszanej z rozradowaniem, ale dowódca nie pozwolił na atak. Jeszcze nie teraz.

Ross zamierzał uderzyć na wroga, gdy ten zacznie rozbijać wieczorny obóz, kiedy większość ludzi zsiądzie z jeleni i nie będzie w pełni gotowa do walki, a wartownicy, jeśli nawet zostaną już rozstawieni, nie będą jeszcze zbyt czujni. Ross nie zapomniał męstwa, jakim wykazali się żołnierze Dworu Kondora, ani ceny, jaką przyszło zapłacić jego ludziom podczas ostatniej potyczki.

Chodziło mu nie tylko o oszczędzenie własnych ludzi. Jeśli udałoby mu się zaskoczyć wojowników Zanthora, to większość z nich zostałaby wycięta bez wielkich strat, jakich można się spodziewać, atakując świadomą niebezpieczeństwa, gotową do walki kolumnę. Murdock, podobnie jak Gurnion i Carlroc, nie lubił niepotrzebnej rzezi męźnych ludzi.

Partyzanci starannie zaplanowali czas przybycia tak, żeby szarża zaczęła się w momencie wyznaczonym przez dowódcę.

Ross zacisnął usta. Atak nie będzie tak skuteczny, jak z początku sądził. Dowódca sił Dworu Kondora rozstawił swoich ludzi na pozycjach trudnych do zdobycia, na łatwym do obrony wzniesieniu, z dobrą osłoną i widokiem na okolicę. Jeśli jednak partyzantom uda się uderzyć szybko i zgodnie z planem, to będą w stanie odnieść zwycięstwo. Gdyby szarża się opóźniła albo gdyby ich obecność wcześniej odkryto, musieliby szturmować pozycje wroga tak, jak szturmuje się fort, albo wycofać się.

W rachubę wchodziłby tylko odwrot, bez względu na chęć pojmania Zanthora. Kraina Szafiru nie mogła sobie pozwolić na trwanie żołnierzy w kosztownych atakach frontalnych. Podjazdowa taktyka nękania wroga dobrze im wychodziła przez całą kampanię i przyda się również obecnie, gdyby trzeba było poczekać, aż znajdą następną okazję do przeprowadzenia szarży. Jeśli szczęście będzie im sprzyjać, któremuś z łuczników uda się może ustrzelić i Yoroca z zasadzki, nawet gdyby nie byli w stanie podjąć otwartej bitwy.

Kapitan odwrócił się w siodle, żeby popatrzeć na swoich wojowników. Przez kilka sekund przyglądał im się tak intensywnie, że poczuli jego wzrok i zaczęli patrzeć na niego ze zdumieniem i skrępowaniem.

Musiał być pewien, że kontrolują swoją nienawiść. Gdyby było inaczej, mogliby zdradzić swoje pozycje.

Podniósł głowę. Źle ich ocenił. Żołnierze tej domeny byli nie gorsi od zawodowców wynajętych przez Gumiona i Carlroca czy od tych, którzy stanowią obsadę Projektu na rodzimej planecie Murdocka. Wymagano od nich teraz spokoju, więc byli spokojni, bez względu na uczucia żywione do władcy Dworu Kondora.

Serce biło mu szybko i mocno. Czekał na ich bitwa mogła zakończyć wojnę. Jeśli tylko uda im się zabić albo pojmać Zanthora...

Jego towarzysze nie gorzej od niego wiedzieli, co może przynieść to starcie dla ich domeny, dla wyspy, a może i dla całego Dominionu z układu Panny. To cud, że stali obok niego w lodowatym bezruchu i milczeniu.

Głęboko zaczerpnął tchu, żeby się uspokoić, i wyprostował się. Nie było lepszej chwili do zaatakowania wroga niż właśnie ta.

Jak w zwolnionym tempie podniósł do ust róg wojenny i zadął.

W swoim życiu Ross Murdock walczył w niejednej bitwie, ale rzadko zdarzało mu

się uczestniczyć w starciu tak zajadłym, w którym uczestnicy wykazywaliby się takimi umiejętnościami, taką determinacją i odwagą.

Żołnierze Dworu Kondora, zarówno wojownicy, jak i oficerowie, nie oddawali bez walki ani piędzi spływającej krwią ziemi. Ich odwaga nie zmalała, nawet gdy stało się jasne, że to partyzanci odniosą zwycięstwo.

Umiejętności Rossa wystawione były na ciężką próbę. Wyszukiwał oficerów, wiedząc, że ich śmierć osłabia nie tylko ich towarzyszy walki tutaj, na miejscu, ale przyczynia się do generalnej klęski najeźdźców. Jak stwierdził, wielu z jego przeciwników uzyskało szlify dzięki swojej odwadze i umiejętnościom, a nie z łaski albo przez urodzenie. Niełatwo było ich pokonać, a niektórzy z nich, wysadzani z siodła, zostawiali ślad na ciele Murdocka. Wkrótce jego ubranie było rozdarte i poplamione krwią w kilku miejscach. Tymczasem żołnierze Rossa łamali resztki oporu.

Zignorował rany. Żadna z nich nie była warta większej uwagi. Płonął w nim bitewny ogień i prawie nie odczuwał tych ran. Ból przyjdzie później, kiedy spokój wróci do jego ciała i umysłu. Na razie zaczął odczuwać tylko przedwczesne zeszywnienie, które utrudniało mu ruchy.

Zanthor także odczuł rany zadane przez wroga. Podobnie jak Terranin wspaniale władał bronią, wspaniale i ze śmiertelnością precyzją. Nikt, kto się z nim zmierzył, nie wytrzymał długo.

Obaj dowódcy od dawna usiłowali zmierzyć się w boju, lecz okoliczności zawsze rozdzielały ich podczas walki. W końcu jednak uwolnili się od przeciwników i otworzyła się przed nimi wolna droga.

Ross szykował się do szarży, gdy inny jeździec ruszył nagle na jego przeciwnika. — Za twój lud! — wyszeptał. Strach jak nóż ranił mu serce, ale wiedział, że jeśli odmówi Eveleen Riordan prawa do tej walki, to będzie to ich dzieliło przez dalsze lata ich wspólnego życia bez względu na to, jak będzie ono długie.

Ton Dworu Kondora zobaczył, że Murdock wstrzymał jelenia. Przyglądał się temu w osłupieniu. Dobrze wiedział, że ten przeklęty partyzant nie boi się z nim walczyć.

Zanthor zobaczył, kto rzucił mu wyzwanie, i zaśmiał się. Czy ta drobna dziewczynka naprawdę sądzi, że może się z nim zmierzyć, choćby nie wiem, jak była sprawna w partyzanckich sztuczkach?

Było mu jej niemal żal, gdy dał ostrogę swemu wierzchowcowi i ruszył w jej kierunku. Wolałby pokonać ją w innej walce.

Ich miecze się spotkały, ześlizgnęły po sobie i znów zgrzytnęły.

Rozbawienie Zanthora uleciało. Riordan była dobra, naprawdę dobra, i w walce potwierdzała swoją reputację mistrzyni walki. Walczyła w odmienny sposób od tych z Krainy Szafiru, tak że ani masa ciała, ani większy zasięg ramienia nie dawały mu nad nią przewagi.

To może się zmienić, jeśli ją zmęczy.

Nic z tego. Ta dziewczka nie dawała mu chwili wytchnienia, nie pozwalała mu zebrać sił do kolejnego ataku.

Pojedynek trwał dalej. Sam był coraz bardziej zmęczony, ale nadal nie był w stanie znaleźć słabego miejsca w jej obronie. Nie było nic, z czego mógłby skorzystać. Jej świetliste ostrze tańczyło jak szalone przed jego oczami, jak się wydawało bez wysiłku z jej strony, a na pewno bez jakichkolwiek błędów. Zanthor nie potrafił znaleźć żadnego schematu w sekwencji jej ciosów i zasłon, więc nie był w stanie bronić się ani atakować...

Miecz w rękę kobiety zatoczył małe kółko, lekko odbił w bok jego ciężki oręż i wystrzelił do przodu w jednym płynnym ruchu. Ostrze przeszło przez oko i mózg Zanthora.



## 27.

Murdock popatrzył na mężczyznę stojącego między dwoma partyzantami. Jeniec był młody, miał w przybliżeniu tyle samo lat co Ross, kiedy zaczął pracę w Projekcie. Budowa jego ciała była drobna, ale postawa dumna. Na podartym w walce mundurze nosił dystynkcje oficerskie. Rysów jego twarzy nie był w stanie ukryć nawet owinięty na czole szeroki bandaż.

Tarlroc I Zanthor. Dwóch innych synów zabitego tona zginęło w walce, ale ten dostał cios w czaszkę i wzięto go żywcem.

Murdock dowiedział się o tym jeńcu zaraz po zakończonej walce, ale miał jeszcze wiele do zrobienia — trzeba było zająć się rannymi, rozesłać patrole i rozstawić wartowników, żeby nie narazić się na kontratak. Należało wreszcie systematycznie przeszukać obozowisko Dworu Kondora. Zajęło mu to trochę czasu. Poza tym chciał, żeby przy przesłuchaniu obecni byli Gordon i Eveleen.

Na zewnątrz namiotu, w którym zasiedli dowódcy, słychać było głośne, pełne nienawiści okrzyki. Kiedy zrobiono wszystko, co można było zrobić dla żywych, zaczęto zbierać zabitych, żeby wyprawić im pogrzeb. Sądząc po zamieszaniu, znaleziono zwłoki Zanthora I Yoroka.

Tarlroc także zrozumiał znaczenie tych głosów. Przez chwilę wydawało się, że straci nad sobą panowanie, ale miał praktykę w ukrywaniu uczuć i wobec nieprzyjaciela prezentował beznamiętny wyraz twarzy i obojętną postawę.

Ross zauważył, że młodzieńcem targnęły emocje, które szybko opanował. Rozumiał ból spowodowany nagłą stratą ojca i braci, choć tych zmarłych nie żałował.

— Powiedźcie im, żeby się uspokoili — zwrócił się do dwóch strażników. — Niech się zajmą zmarłymi — naszymi i ich — i niech przygotowują rannych do drogi.

Kiedy tylko wartownicy wyszli, zwrócił się do jeńca:

— Twoi krewni będą pochowani wraz z resztą waszych poległych. Trzeba tak zrobić, żeby zapobiec zarazie. Nie będą zbezczeszczeni. A jeśli o ciebie chodzi, to chcę uzyskać kilka odpowiedzi.

— Nie możesz oczekiwać, że ci ich udzielię — odparł spokojnie I Zanthor z godnością przeczącą jego wiekowi. — Gdybym nawet je znał — dodał ze starannie wyuczoną goryczą. — Mój ojciec nie ujawniał planów do ostatniej chwili. Nawet ton dziedzic nie był o nich informowany.

Czy mają mu uwierzyć? To było prawdopodobne. Zanthor znany był z tego, że między jego decyzjami a ich wykonaniem nie upływało zbyt wiele czasu. Tak było już na długo przedtem, zanim wszedł na drogę prowadzącą do opanowania wyspy — i własnej śmierci.

Jeśli chodzi o Tarlroca I Zanthora, to był tylko cieniem swego ojca. Był typem urzędnika, a nie wojownika. Jedyne taka sytuacja, jak ostatnia tragiczna bitwa, zmusiła go do działania wbrew własnej naturze!

Tak czy inaczej, Dwór Kondora jest stracony, myślał tępo, i nie ma znaczenia, czy zachowa milczenie, czy będzie mówił. Ani nowy ton, ani jego drugi brat, który przeżył, nie mogą się równać z Zanthorem I Yorocem. Nie będą w stanie dalej poprowadzić wojny, nie mówiąc już o złupieniu Południa, nawet jeśli ich suweren zdradził któremuś z nich swoje zamiary, co było raczej nieprawdopodobne. Któryś z dowódców najemników mógłby może wziąć sprawy we własne ręce, kryjąc się za nowym, marionetkowym tonem, ale żaden z trzech komendantów nie zdołał uzyskać wyraźnej przewagi nad pozostałymi, więc nie sądził, żeby któryś z nich był w stanie przejąć teraz kontrolę i doprowadzić sprawę do pomyślnego końca.

Może od początku byli skazani na klęskę? Jeśli tak było, to Zanthor miał szczęście, że zginął teraz, choćby i z ręki tej obrzydliwej kobiety niewiele większej od dziecka, niż miałby zginąć później — i znacznie wolniej — skazany przez swoich wrogów.

Przepełniło go nagle uczucie straty i nienawiści.

— To te demony powinny były zginąć — wyszeptał przez zaciśnięte wargi. — To one zachęciły Zanthora do rozpoczęcia wojny, a potem wstrzymały pomoc, która mogłaby dać mu zwycięstwo.

Dławiący strach ścisnął serce Murdocka, ale tylko uniósł brwi.

— Czy starasz się usprawiedliwić Zanthora, mówiąc, że tylko słuchał głosów rozbrzmiewających w powietrzu wokół niego?

— Zanthor i Yoroc nie nagiął się do niczyjej woli, a jedyne głosy, które słyszał, pochodziły z gardeł, które można było ścisnąć i skruszyć.

— Mów dalej. — Tarloc milczał, ale Ross Murdock pochylił się do przodu. — Twierdzisz, że ci rzekomi sojusznicy zdradzili Zanthora przynajmniej w tym, że odmówili mu znaczącej pomocy. Powiedz nam, co się stało. To jedyny sposób, jaki ci został, żeby go pomścić.

I Zanthor przyjrzał się dokładnie Ognistej Ręce. Był zdecydowany, żeby nie kompromitować sprawy swego władcy ani wysiłków, choćby daremnych, swojego brata, ale ci wielkogłowi nie pochodzili z Dworu Kondora. Nie musiał być wobec nich lojalny.

Dowódcy partyzantów milczeli przez dłuższą chwilę, kiedy skończył opowiadać. Wreszcie Murdock wezwał straż czekającą na zewnątrz namiotu.

— Pilnujcie go dobrze — rozkazał. — I uważajcie, żeby mu się nic nie stało. Może przesłuchamy go jeszcze raz.

Zamknął oczy, gdy Dominianie opuścili namiot.

— Łysawcy — wyszeptał.

— Miło ich powitać — Eveleen Riordan przeszedł dreszcz. — Jednak ten człowiek bardziej mnie przeraża niż oni.

Jej oczy zapłonęły ogniem.

— Jego ojciec został zdradzony! I ani słowa o sąsiadach ojca ani o zmasakrowanych kobietach i dzieciach, ani o tych, którzy zginęli w bitwach za Dwór Kondora i przeciw niemu!

— Terra aż za dobrze zna ten rodzaj ludzi — powiedział ponuro Ashe. — Psychiatry...

— Do diabła z nimi, Gordonie, nie rań mi serca! — krzyknął Ross. — Tarloc i Zanthor i jego stary to nie były niewinne jagniątko prowadzone ku złemu przez dużych, złych Łysawców. Doskonale wiedzieli, co robią, i konsekwentnie realizowali to, co zamierzali.

— Właśnie. Tak samo czynią ludzie, o których mówiłem. Psychopaci, socjopaci, osobowości antyspołeczne — nazywaj ich, jak chcesz, są zdrowi na umyśle, są świadomi zła, które wyrządzają, tyle że ich to nie obchodzi. Prawie wszyscy nasi seryjni zabójcy są ludźmi tego rodzaju, podobnie jak większość wojskowych i politycznych potworów w ludzkiej skórze. Murdock opuścił oczy.

— Przepraszam, Gordon, ale co mamy teraz zrobić, a raczej — jak to mamy zrobić? Na Hawaice mieliśmy do dyspozycji magię Foanna, a i tak o mało nie zostaliśmy zmieceni. Tutaj jedyne, co mamy, to miecze i strzały przeciwko wszystkiemu, co przeciw nam mogą rzucić te diabły.

Archeolog pokręcił głową.

— Są twardzi, ale nie popełniają błędów i nie uważaj ich za niepokonanych. — Uśmiechnął się, widząc wyraz niedowierzania w oczach towarzyszy. — Po pierwsze, nie będziemy mieli do czynienia z czymś takim jak na Hawaice. Łysawcy musieli



tutaj wykorzystać lokalne zasoby ludzkie. Stąd wziął się cały ten zamęt. Tam było ich znacznie więcej. Tu mamy do czynienia z pięcioma...

— Tyłu I Zanthor widział naraz — wtrąciła Eveleen. — Idę o zakład o miesięczną gażę, że nie jest w stanie odróżnić jednego Łysawca od drugiego lepiej, niż my to potrafimy.

— Celna uwaga — zgodził się Murdock. — Ale myślę, że w tym punkcie Gordon ma rację. Zdaje się, że to mały oddział wysłany, żeby nakłonić Zanthora do odwołania za nich mokrej roboty. — Zacisnął usta, bo przykre wspomnienia przemknęły mu przez głowę. — Pięciu to i tak za dużo.

— Możemy zmniejszyć niebezpieczeństwo — powiedział Ashe. — Wiemy z twojego doświadczenia, a także z tego, co mówił I Zanthor, że można ich zaskoczyć i że wtedy nie są w stanie użyć swoich mocy mentalnych, bo umysły mają zajęte czym innym. Podczas bitwy na Hawaice długo zachowałem świadomość, dłużej niż ty, i jestem tego pewien. Musimy szybko i zdecydowanie uderzyć na nich tak, żeby nie dać im szansy na użycie ich broni mentalnej czy fizycznej. Przynajmniej teoretycznie mamy szansę na zwycięstwo.

Ross popatrzył spode łba na partnera.

— Z teorią jest pewien kłopot. Nie zawsze sprawdza się w praktyce. Gordon uśmiechnął się.

— Tylko od nas zależy, czy zadziała.

Dowódca partyzantów skinął głową. Był teraz śmiertelnie poważny.

— Oddział uderzeniowy musi być mały, prawdopodobnie będziemy to tylko my troje. Ostatni odcinek drogi będziemy musieli przebyć na piechotę. Tak właśnie Zanthorowi i Tarlocowi udało się ich zaskoczyć. Jeśli nie uzyskamy tej przewagi, to równie dobrze możemy teraz związać manatki i wracać do domu. Nasi Łysawcy albo nas spalą, albo unieruchomią, zanim w ogóle dotrzemy do ich obozu.

— Jeśli nadal tam są — powiedziała Eveleen.

— Nie ma powodu, dla którego nie miałyby ich tam być — Murdock zmarszczył czoło. — Jest jedna rzecz, która mnie zadziwia. Dlaczego tak długo tam siedzą? To nie są takie wstydlive chłopaki. Wszędzie, gdzie ich spotykaliśmy, byli bardzo aktywni. Dlaczego tutaj są tacy bierni?

— Chciałbym wiedzieć dlaczego, po co i jak w ogóle tutaj przybyli — dodał Gordon Ashe. — To ponad siedemset lat przed ich czasami.

Ta uwaga wstrząsnęła Murdockiem. Obliznął wargi.

— Podróż w czasie?

— Mają bardzo zaawansowaną technologię.

— Więc nie ma miejsca ani epoki, które byłyby od nich wolne...

— Przestańcie biadolić, dobrze? — powiedziała Eveleen. — Jest kilka możliwych wyjaśnień obecności Łysawców tu i teraz poza podróżą w czasie. Na przykład — natknęliśmy się na nich w pewnym etapie ich historii. Oni już dawno temu opanowali technikę podróży kosmicznych. To mogą być odkrywcy albo zespół wysłany tutaj, żeby zasiać ziarna późniejszego konfliktu.

Ashe pokiwał głową.

— To ma sens. Starają się nie zwracać na siebie uwagi.

— Może po prostu nie mogą zrobić nic więcej — zasugerował Murdock. — Z tego, co słyszeliśmy, wynika, że mają prawie od początku poważne kłopoty ze sprzętem. Udało im się dotrzeć na Dominion — a przynajmniej część zespołu tu dotarła. Przywieźli wyposażenie, zapasy i złoto, ale nie są w stanie sprowadzić reszty. Musi im brakować narzędzi, skoro do napraw używają laserów.

— Nie mówiąc o tym, że łatają wyposażenie metalami zdobytymi na miejscu i pewnie próbują wyprodukować z nich potrzebne części zamienne — zgodził się

Gordon.

— Żebracy zazwyczaj muszą się kontentować tym, co dostają, bez względu na to, czy proszą o jałmużnę, czy ją wymuszają — powiedziała Eveleen.

Zanthor I Yoroc musiał być wyjątkowo skąpym dobroczyńcą. Pewnie o mały włos nie zaprzepaścił swojej sprawy przez skąpstwo. Nawet Łysawcy nie są w stanie walczyć, jeśli nie mają środków.

— Może ratował przed nimi własną skórę. Szybko by go wykończyli, jak tylko przestałby być dla nich użyteczny. Tym bardziej że zarówno on, jak i jego syn okazali się odporni na kontrolę umysłu.

Porucznik odepchnęła krzesło od prowizorycznego stołu i wstała.

— Odpowiedź znajdziemy, gdy przeszukamy ich obóz. Zakładam, że przeżyjemy... Jak myślicie, czy I Zanthor będzie na tyle skłonny do współpracy, żeby nas tam zaprowadzić?

— Będzie współpracował — powiedział Murdock. — Przynajmniej w tej sprawie. Najwyraźniej kochał swego ojca, a poza tym został obrażony przez te diabły. My jesteśmy jedyną jego szansą, by mógł się zemścić.

— Chyba że naopowiadał nam bajek — pesymistycznie zauważyła Eveleen.

— To mało prawdopodobne. Zaprowadzi nas do nich, ale będziemy w opałach, jeśli ich nie przechytrzymy. Jednego możemy być pewni: Tarloc I Zanthor naprawdę ich spotkał. Zbyt wiele punktów w jego opowieści jest prawdziwych, żeby wszystko było kłamstwem.

## 28.

Dowódca partyzantów przedzierał się przez gęste krzaki, między którymi wiła się wąska ścieżka. To było to — kulminacja dwóch tygodni pełnych strachu i oczekiwania na kataklizm.

Wszystko się zgadzało, myślał, terrańscy agenci czasu jeszcze raz spotykają się z Łysawcami, żeby poskromić ich żądzę niszczenia. Jedyne problem w tym, że teraz zawisła nad nimi groźba klęski. Groźba śmierci, a nawet więcej — groźba zagłady Dominionu z układu Panny.

Tarloc I Zanthor, który szedł o kilka kroków z przodu, stanął i zaczekał na niego.

— Jeśli nie chcesz dać mi miecza, to daj mi chociaż nóż.

— Po prostu trzymaj się z dala, kiedy zaczną się kłopoty. O ile się zaczną.

— Nie ufasz mi?

— A ty zaufałyś nam? Dominionin zmrużył oczy.

— Wkrótce, być może, nie będziesz tak dumnie przemawiał, Ognista Ręko — odburknął. — O ile w ogóle będziesz w stanie mówić. Ci, których przyprowadziliśmy tu za pierwszym razem, nigdy już nie przemówili. Demony zamieniły ich w posągi.

— Zobaczmy, jak im pójdzie z nami, o ile te twoje demony tam w ogóle są.

Taka odpowiedź pasowała do odgrywanej roli, ale Ross Murdock i tak poczuł się lepiej, gdy to powiedział. Już wcześniej miał okazję zmierzyć się z tym wrogiem i za każdym razem uchodził z tego cało. Ta wiedza dodawała mu otuchy, była jego psychiczną tarczą, przygotowaniem do tego, co miało wkrótce nadejść.

Nowy przypływ strachu sprawił, że serce zaczęło mu bić mocniej. Byli prawie na miejscu. Jelenie zostawili kilkaset metrów dalej. Jeszcze godzina ostrożnego marszu i dotrą do obozu kosmitów.

Zacisnął pięści mimo wysiłków, żeby dłonie trzymać otwarte. Panie Czasu, czy Eveleen i Gordon też będą musieli przeżywać to samo? Czy to możliwe? Oni nigdy nie stali samotni na omiatanej wiatrem plaży oko w oko z dziką żądzą podboju...

Serce nadal waliło mu jak młot, ale umysł i emocje miał pod kontrolą. Tak musiało być. Siedział w kucki na skraju polany, o której mówił Tarloc, przed nim był jego cel.

Cztery cele. Piąty Łysawiec znajdował się poza polem widzenia. Niedobrze. To zapowiadało kłopoty, ale nic nie można było na to poradzić. Muszą uderzyć natychmiast, żeby wykorzystać czynnik zaskoczenia — jedyną szansę na zwycięstwo.

Agent czasu podniósł rękę, dając znak towarzyszom. W tym momencie puścili cięciwy i dwóch kosmitów upadło.

Murdock podniósł swój łuk, wziął strzałę i próbował naciągnąć cięciwę, ale to było tak, jakby walczył z powietrzem, które nagle zamieniło się w smołę. Zmusił się do działania, ale ręce tak mu się trzęsły, że nie był w stanie wycelować.

Co się dzieje z jego wolą? To Łysawcy, niech ich szlag trafi! Dwaj, którzy przeżyli, użyli mocy mentalnej, żeby unieruchomić napastników. Czuł, że coś szarpie jego umysł, że ciężą mu ręce i nogi. Nadal był w stanie się poruszać pomimo siły, z jaką Łysawcy atakowali jego umysł — prawdopodobnie poprzednie kontakty wzmocniły jego opór — ale zabrakło mu koordynacji potrzebnej do celnego strzelania.

Jęknął, gdy kosmici zmienili formę ataku, ból eksplodował mu w głowie. Ross znał te katusze. Zaczął je zwalczać tak, jak robił to, gdy stał na terrańskiej plaży, w epoce brązu.

Teraz było gorzej. Czuł, że cel Łysawców jest inny. Wtedy próbowali go opanować, teraz chcą wypalić jego umysł.

Jego towarzysze odczuwali ten sam nacisk. Usłyszał jęk Gordona i krzyk Eveleen, ale nie był w stanie przyjść im z pomocą. Sam był w trudnej sytuacji...

Łysawcy wyczuli zwycięstwo i nasilili atak. Murdock był teraz bezsilny. Jego wola nadal się nie poddawała, ale nie miał wpływu na swoje ciało.

— Nie, nie uda się wam — syknęła nagle Eveleen Riordan. Jej głos był niski i ochryply, ale wyraźny. — Nie ze mną.

Nagle presja zniknęła. Agent czasu zamrugnął zdziwiony, potem skupił wzrok na Łysawcach. Ku jego zaskoczeniu, jeden z Łysawców trzymał się za głowę, jakby z bólu nie do wytrzymania. Drugi poniechał ataku, a jego myśli zamieniły się w barierę ochronną wokół niego.

Murdock zaczerpnął tchu. Przypomniawszy sobie, co Foanna mówiła o umiejętnościach obronnych Eveleen, że ona też ma tarcze mentalne, ale że próba przebicia się przez nie sprawia więcej bólu niż w przypadku Murdocka. Wtedy Eveleen broniła się przed zbytnim zainteresowaniem istot, o których wiedziała, że są przyjazne. Teraz, przepelniona gniewem, strachem i nienawiścią, toczyła otwartą walkę.

Nie mogła w nieskończoność trzymać dwóch takich przeciwników w szachu. Murdock patrzyła jak mniej dotknięty siłą mentalną Eveleen przeciwnik sięga po pręt przypięty do pasa.

Ross wypuścił strzałę. Chybił, ale wystraszył kosmitę. To wystarczyło — Murdock rzucił się na niego i powalił na ziemię.

Kosmita zerwał się szybko, uderzył go mocno w pierś i też go przewrócił. Gdyby cios trafił go w gardło, jak zamierzał przeciwnik, Murdock wypadłby z walki na samym początku.

Ross był przygotowany na zażartą walkę. Pamiętał z pierwszego spotkania, lata temu, że ci kosmici są twardzi i silni mimo ich wiotkiego i na pozór kruchego ciała.

Łysawiec zdążył tymczasem wyjąć laser i zamierzał go właśnie użyć. Murdock chwycił go za rękę i zaczął ją wykręcać, starając się odwrócić broń od siebie.

Trzaskający syk, uderzenie zjadliwego światła i gorąca odrzuciły Murdocka do tyłu, zmuszając go do zwolnienia chwytu. Gotował się na śmierć, która teraz wydawała się nieuchronna, ale jego przeciwnik upadł na ziemię i leżał bez ruchu. Agent zobaczył dłaczego — połowa twarzy, czaszki i mózgu była wypalona.

Murdock nie tracił czasu. Odwrócił się na odgłos pojedynku.

Gordon Ashe i ostatni z Łysawców szepili się w walce. Każdy z nich usiłował chwycić drugiego za gardło.

Kosmita znał się na walce i był silny, ale zazwyczaj posługiwał się umysłem i bronią zabijającą na odległość. Terranin zaś miał za sobą długie i ciężkie treningi walki wręcz, które przechodził przed każdą misją. To doświadczenie dawało mu teraz przewagę.

Wszystko nagle się skończyło. Ashe uzyskał przewagę. Rozległ się dziwny, ostry trzask i wielki łeb Łysawca opadł na bok, zwisając groteskowo — kosmita miał złamany kark.

Archeolog pozostał na miejscu, ciężko oddychając. Murdock dopadł go w sekundę.

— Gordon? — zapytał z niepokojem. Tamten podniósł wzrok.

— Wszystko w porządku. — Wstał i rozejrzał się w poszukiwaniu reszty towarzyszy.

Eveleen Riordan wyłoniła się z krzaków otaczających polanę, prowadząc ze sobą bladego jak prześcieradło jeńca. Sama była bardzo blada, jej twarz wyglądała jak

napięta maska, ale natychmiast uklękła przy najbliższym obcym, wstała i przeszła do następnego.

Zmartwiła.

— Rossin! Gordon! On żyje!

Obaj mężczyźni podbiegli do niej. Spojrzała na nich.

— Nie sądzę, żeby długo pociągnął.

Ashe pokiwał ponuro głową. Jego strzała wystawała z klatki piersiowej obcego. Weszła głęboko. Krew, albo jakiś jej kosmiczny odpowiednik, pieniła się na ustach Łysawca. Była czerwona. To logiczne, jeśli chodzi o stworzenia oddychające tlenem — pomyślał archeolog. Ale bardziej na miejscu byłoby tu coś egzotycznego, jakiś zielony czy czarny płyn albo bezbarwna posoka.

Pacjent ciężko oddychał. Gordon odpinał dziwne zapięcia jego ubrania. Łysawiec otworzył oczy. Skupił na nim wzrok. Nie było w nim gniewu, nie było go również w słabym polu emocjonalnym emitowanym przez umierającego kosmitę. Ani gniewu, ani nienawiści, ani żalu, tylko pogarda, ogromne morze pogardy. Potem oczy zaćmiły się i Łysawcem wstrząsnął ostatni spazm.

## 29.

Ross łagodnie wziął Eveleen za ramię.

— Dziękuję.

Pokiwała tylko głową. Chwycił ją mocniej.

— Zrobiły ci coś? Kobieta wzięła się w garść.

— Nie. Nie na stałe. Tylko wtedy, gdy to się działo.

— Co się działo. Co one ci zrobiły?

— Nie wiem. Nie potrafię tego wyjaśnić. — Przerwała, potem znów zaczęła mówić, starannie dobierając słowa. — Jasne, że wiedziałam, co te dranie chciały zrobić, i byłam przerażona. Potem dostałam szału i ogarnęła mnie taka wściekłość, że zaczęłam z nimi walczyć. Zrozumiałam, że nie tylko wyrwałam się z ich chwytu, ale że ich atakuję, więc naparłam mocniej. Szybko mnie odepchnęli, ale wytrzymałam na tyle długo, żebyście ty i Gordon zdążyli na nich skoczyć.

To, że wygraliśmy graniczy z cudem, pomyślał Murdock. Eveleen stworzyła im szansę, ale i tak musieli mieć mnóstwo szczęścia. Albo raczej pomogła im słabość samych Łysawców. Słabość, którą będą mogli znów wykorzystać. Kosmici najwyraźniej wybrali jako broń swoje zdolności mentalne. Gdyby najpierw chwycili za lasery, cała historia najprawdopodobniej skończyłaby się inaczej. Z całą pewnością żadne z ich czworga nie byłoby teraz w jednym kawałku. Szlachetnym barbarzyńcom zazwyczaj niewiele pomagają ich miecze i strzały przeciwko ogromnie zaawansowanej technicznie broni nieprzyjaciela.

Ross schylił się nad ciałem kosmity, odpiął jego obładowany ekwipunkiem pas i ostrożnie zdjął go z ciała.

— Nasi jajogłowi chętnie się temu przyjrzą.

Ross starał się założyć pas na siebie, ale mimo że był szczupły, nie zdołał go zapiąć. Zrezygnował z prób i zapiął pas na talii żony.

Tarlroc obserwował ich. Wcześniej nic nie mówił, ale teraz dotknął zabitego Łysonia czubkiem buta.

— A więc demony są z krwi i kości. Popatrzyl na Terran.

— Wy sami jesteście demonami. Pokonaliście tamte ich własną bronią. — Dominionin wzdrygnął się. — Wiem teraz, że one wcześniej nie użyły wobec mnie całej swojej...

— Jesteśmy ludźmi, którzy walczą o to, żeby takimi pozostać — odparł szybko Ross, żeby przerwać ten potencjalnie niebezpieczny tok rozumowania.

— Rossin, podejdź tutaj, dobrze?

Ross popatrzył w stronę archeologa. Ściszył głos.

— Eveleen, miej oko na tego szczeniaka, a ja pójdę sprawdzić, czego chce Gordon.

Wystarczyło, żeby I Zanthor wyślizgnął się im, rozpędził ich jelenie i pojechał do swoich. Wzniciłby polowanie na nich, gdy byliby uwięzieni bez wierzchowców, bez zapasów i wsparcia, głęboko na terytorium Dworu Kondora.

— Zrobi się — odparła. — Nie mam zamiaru odwracać się do niego plecami.

Gordon Ashe kucnął przy jednym z dwóch obalonych filarów.

— Popatrz tylko — powiedział do Murdocka.

Ross aż zagwizdał. Zostało jeszcze sporo do naprawy, ale zrobiono już tyle, że był w stanie rozpoznać konstrukcję, na którą patrzył.

— Składali stary model 1B portalu czasu! Gordon pokiwał głową.

— Musieli skopiować to żywcem z tej instalacji, którą zniszczyli. Nic dziwnego, że wpadli w kłopoty. Była ustawiona specjalnie na warunki Terry i każdy poziom

prowadził bezpośrednio do następnego poziomu naszej historii. To prawie niewiarygodne, że udało im się tak daleko zajechać, zanim nastąpił wybuch.

— To wyjaśnialoby, dlaczego nic nie zrobili, kiedy Zanthorowi zaczęło się źle powodzić. Zabrakło im wyposażenia, żeby odegrać jakąś aktywniejszą rolę, a on nie dał im materiałów, których potrzebowali, żeby nawiązać kontakt ze swoimi czasami.

— Tak właśnie sobie to wyobrażam.

— Dlaczego nikt od nich nie przybył, żeby ich zabrać?

— Może nie zdążyli albo ci tutaj brali udział w jakiegoś rodzaju niebezpiecznym eksperymencie. Myślę, że raczej to drugie, skoro tak długo zdani byli tylko na siebie.

— Do tej pory nie wykazywali zainteresowania podróżami w czasie — powiedział Ross. — W przeciwnym przypadku dawno już zajęliby się tym i zrobiliby wszystko, żebyśmy my nie wpadli na ten pomysł.

— Miejmy nadzieję, że nic się nie zmieni w tej kwestii... — Padnij!

Murdock zanurkował za filar, pociągając za sobą partnera. Błyskawica niebieskiego światła uderzyła w miejsce, w którym przed chwilą obaj stali.

Ross zaklął. Piąty Łysawiec! Zapomniał o nim jak jakiś cholerny dureń. Teraz wszyscy będą musieli zapłacić za jego pomyłkę. Ten kosmita zdawał się rozumieć, na czym polegał błąd jego towarzyszy. Zaatakował ich laserem. W tej sytuacji ludzie stali jak nieruchome cele na otwartej przestrzeni. Kosmita nawet nie usiłował się kryć. Wiedział, że usmaży ich wszystkich, zanim zdążą sięgnąć po łuki.

Nagle Tarloc i Zanthor skoczył. Laser wypalił, trafił go dokładnie w korpus, ale pęd popchnął go dalej. Dominionin wpadł na odzianą na niebiesko postać, zacisnął swe ręce na gardle kosmity i pociągnął go za sobą na ziemię.

Broń wypaliła powtórnie. Ciało I Zanthora drgnęło i zeszywniało, ale jego palce, pod wpływem szoku, zacisnęły się jeszcze bardziej.

Gdy Terranie ich dopadli, było po wszystkim. Tarloc nadal ścisnął Łysawca za gardło. Ross odwrócił go niezgrabnie, starając się zachować jak największą ostrożność.

Dominionin otworzył oczy. Murdockowi zrobiło się niedobrze. Niewiele zostało z Tarloca, a mimo to żył...

— Demon? — I Zanthor wypowiedział to słowo bezgłośnie.

— Martwy. Dostałeś go. Groteskowo się uśmiechnął. — Pomściłem...

Umarł.

Agent czasu z trudem wstał i szybko przeszedł przez polanę, żeby oddalić się od towarzyszy.

Pozwolili mu zostać samemu przez dłuższą chwilę. Potem Ashe podszedł do niego.

— Ross?

— Okazało się w końcu, że to dzielny chłop.

— Tak.

Murdock odwrócił się, żeby spojrzeć na świeże pobojowisko. Wykrzywił usta.

— On był jak ja — powiedział zduszonym głosem. — Gdyby Projekt mnie nie złapał albo gdybym na samym początku podjął kilka błędnych decyzji...

Gordon popatrzył na niego z bliska.

— Nie pochlebiaj sobie, przyjacielu. Był z ciebie prawdziwy mały chuligan, straszny spryciarz i łobuz, ale nigdy nie byłeś nawet trochę podobny do I Zanthora. Jemu brakowało doświadczenia i może także talentu, żeby ujawnić swoje potencjalne możliwości, ale pod każdym innym względem to był wykapany ojciec. Jesteś zdolny do nienawiści, ale nie do obojętności ani, jak myślę, do okrucieństwa.

Murdock opanował się. Łysawcy ponieśli klęskę, przynajmniej w tej rundzie, ale oni troje nadal byli samotnymi partyzantami w kraju wroga.

— Skończyliśmy już tutaj?

— Chciałbym sprawdzić jeszcze te kopuły. Potem zabierzemy, co się da, a resztę spalimy. — Archeolog westchnął. — Ludziska w Projekcie będą rozczarowani, ale nie możemy ryzykować i zostawiać tutaj czegokolwiek, co mogłoby się przydać naszym przyjaciołom z kosmosu albo ludziom z Dworu Kondora.



## 30.

Wojna nie skończyła się natychmiast, ale upadek Dworu Kondora — po śmierci jego tona — był tylko kwestią czasu. Żaden z pozostałych przy życiu synów Zanthora I Yoroca, podobnie jak żaden z dowódców najemników, nie dysponował ani siłą osobowości, która pozwoliłaby mu skupić wokół siebie innych, ani siłą oręża, która zapewniłaby mu kontrolę nad nimi. W ten sposób front rozpadł się na kilka mniejszych odrębnych armii, niezbyt ściśle ze sobą powiązanych.

Nadal trzymali się jednak razem, bo tylko dzięki temu mogli mieć nadzieję na uratowanie czegokolwiek z osiągnięć kampanii, która w przeciwnym razie mogłaby się zmienić w totalną klęskę. Jednak chaos panujący wśród dowódców na pewno nie przyczyniał się do wzmocnienia woli walki żołnierzy i tak już zmęczonych i zdemoralizowanych po mroźnej i głodnej zimie, tym bardziej, że coraz mocniej naciskający ich konfederaci zyskiwali stopniowo przewagę w wojnie.

Partyzanci nadal urządzali wypadki, choć już nie tak często, bo front nadal był poza Korytarzem i aktywność nieprzyjaciela ograniczała się do nizin.

I te działania miały się wkrótce zakończyć, bo kwestią czasu, może nawet kilku tygodni, było przeniesienie działań na ziemie Dworu Kondora. W ten sposób przynajmniej część okropności wojny, z którymi zetknęli się ich sąsiedzi, stałaby się udziałem najeźdźców.

Eveleen usiadła przy końcu stołu Rossa.

— Luroc mówi, że tonowie gorąco spierają się o podział łupów — powiedziała, żeby wciągnąć go w rozmowę, choć temat był mu lepiej znany niż jej.

— Lepiej zaczekaliby do końca wojny.

Uśmiechnęła się. Takiej odpowiedzi mogła się od niego spodziewać. Oczy jej pociemniały.

— Jak sądzisz, czy wywiążą się z obietnic wobec nas? — zapytała go zniecierpliwiona.

— Liczebnie jesteśmy znacznie słabsi niż najmniejsza ze skonfederowanych domen.

— Dadzą nam to, co się należy. Ton I Carlroc i większość ludzi z jego otoczenia nie mają zwyczaju łamać danego słowa, a nam przecież przysięgali.

— Większość, ale nie wszyscy — zauważyła Eveleen. — Sam mówiłeś, że I Loran nie wierzy niektórym z nich.

— Ma po temu powody, sądząc z tego, co widziałem, ale nie martw się. Zrobią to, co inni. Wiedzą, że Jeran A Murdoc zgniółby ich na miazgę, gdyby się nie podporządkowali, nawet jeśli żaden z nich by nie zareagował. Najemnicy bardzo nie lubią, kiedy ktoś oszukuje ich kolegów po fachu przy podziale łupów. Nie chcą żadnych precedensów. Luroc nie raz mówił, że dostanę pokaźną część tego, co zyska Kraina Szafiru.

Kobieta odetchnęła z ulgą.

— Miło mi to słyszeć. Obawiałam się, że będziemy mieli do czynienia z niebezpieczeństwem ze strony naszych obecnych sojuszników, kiedy tylko Dwór Kondora się podda.

— Czy ty nikomu nie ufasz, Eveleen E.A. Riordan? — zapytał Ross z pewnym rozbawieniem.

— Gdy pomyślę o historii Terry, to nie — odparła szorstko. Eveleen uśmiechnęła się łagodnie, zapominając o wcześniejszych obawach.

— Są już plany odbudowy wioski i warowni. Będą solidne i piękne, znacznie lepsze i wygodniejsze od starych.

— Cóż za radość — odparł drwiąco.

Jego głos był ostry, prawie gniewny. Spojrzała na niego ze zdumieniem, ale nie odpowiedział na jej pytające spojrzenie. Wstał i podeszedł do okna.

Podeszła do niego.

— Ross, nie chcesz, żeby tu zapanowało normalne życie?

— Oczywiście, że chcę. Przecież o tym wiesz.

— Więc o co chodzi? — zapytała. — Przez ostatnie tygodnie często bywałeś ponury, podczas gdy reszta z nas nabrała nadziei.

Popatrzył na nią, jakby jej nie dostrzegając.

— To nerwy, poruczniku — powiedział w końcu. — Tylko to. — Nagle odwrócił się do drzwi. — Jedź ze mną!

Kobieta poszła za nim. Partyzanci trzymali jelenie zawsze osiodłane, gotowe do drogi. Pospieszyła do miejsca, gdzie uwiązane były ich wierzchowce, szepcząc po drodze dziękczynną modlitwę za to, że było jeszcze dość wcześnie, by mogła jechać na Iskrze. Tylko ten jeleń był w stanie dotrzymać kroku łani Ognistej Ręki. Murdock czekał na nią na granicy obozu, ale była pewna, że zaraz ruszy, skoro dosiadła już wierzchowca.

Gdy Ashe zobaczył, że jego partner dosiada jelenia, pobiegł w jego kierunku. Widać było wyraźnie, nawet dla kogoś, kto znał go niezbyt dobrze, że Murdock ma jakieś poważne problemy.

Eveleen powstrzymała go zdecydowanym ruchem głowy, kiedy się odwróciła. Ross nic by nie powiedział, gdyby oboje przy nim byli. Sama nie była pewna, czyjej zaufa, choć prosił, żeby z nim pojechała. Domyślała się zresztą, jakie targają nim wątpliwości. Ross Murdock musiał podjąć decyzję, co więcej, musiał to zrobić już teraz: czy połączyć swój los z Dominionem, gdzie dowiódł swoich możliwości i zaszedł wysoko, czy też wracać na Terę, do Projektu. To nie był przypadek Karary. Murdock się nie odmienił. On urósł, zaczął być świadom swych nowych możliwości, ale mimo tej wiedzy i pozycji, którą teraz zajmował, wybór wcale nie był łatwiejszy.

Kiedy zobaczył, że żona dosiadła już jelenia i jest gotowa pojechać za nim, skierował Lady Gay w stronę drzew i spiął ją ostrogą, jakby szybkość mogła go uwolnić od udreki i odpędzić jego słabość.

Nie wstrzymywał jelenia, nie zwalniał biegu, dopóki nie dotarł do wysoko położonego miejsca, w którym tyle miesięcy temu spotkał się z Eveleen. Zsiadł i czekał na nią na szczycie.

Skąpany w łagodnym świetle słońca bladezielony, wiosenny świat wokół i poniżej niego był piękny, ale jego piękno nie poruszyło go w najmniejszym stopniu.

Usłyszał zbliżającego się jelenia Eveleen i stanął obok Lady Gay, ale nie odwrócił się w stronę nadjeżdżającej.

Raczej poczuł, niż zobaczył, że podeszła do niego. Eveleen stała bez słowa przez kilka sekund, żeby dać mu czas na zebranie myśli, ale Ross nie był w stanie zacząć mówić.

— Ross — powiedziała wreszcie łagodnie. — Proszę, pozwól sobie pomóc. Nie mogę znieść, że tak się zadręczasz.

Z początku nie odpowiadał, w końcu wzruszył ramionami.

— Jak ci już mówiłem, wydawało mi się, że wiem, czego chcę. Okazało się, że jest inaczej.

— Ross... Odwrócił się do niej.

— Kiedy byliśmy tu poprzednim razem, prosiłem, żebyś została ze mną.

— Tak. Teraz nie chcesz już tu zostać? Zamknął oczy.

— Chcę całym sercem, duszą i umysłem! — Przycisnął palcami skronie, aż do bólu. — Chcę mieć Krainę Szafiru, Eveleen, i nie mogę jej dostać. To prawda, co

powiedziałem Allranowi. Jestem najemnikiem i wkrótce nie będzie tu dla mnie roboty, nie będzie dla mnie miejsca.

Nagle spojrzął na nią swymi zbyt jasnymi oczami.

— Czy to ty, czy Gordon wiedział, że tak będzie? Pochyliła głowę.

— Tak. To nie Dominion cię pociąga, ale Kraina Szafiru. Oboje chcieliśmy, by oszczędzono ci tej strony losu najemnika, przynajmniej na razie.

Znów podniosła wzrok i ich oczy się spotkały.

— Nadal możesz być dobry w tym rzemiośle. Jesteś dobry, a przy pewnej dozie szczęścia za kilka lat zostaniesz komendantem.

Zacisnął usta.

— Widzę coś okropnie odpychającego w rozbijaniu łbów bliźnim dla własnej przyjemności i zysku. — Skrzywił się. — Zdaje się, że muszę mieć cel w tym, co robię.

Murdock wzruszył ramionami.

— I tak nie mógłbym zostać. Schrzanilem robotę, a raczej — schrzaniliśmy robotę. Jeśli to się jeszcze raz zdarzy, Terra może zniknąć. I wtedy my też znikniemy, a wszystko, co zrobiliśmy dla tych sympatycznych ludzi, może okazać się złudą.

Westchnął głęboko.

— Nie, Eveleen E.A. Riordan — powiedział zmęczonym tonem — musimy wrócić na Terrę, a tam nie mamy ani rangi, ani sławy. Myślę, że wiedziałem o tym od dawna, tylko nie miałem odwagi, żeby to przyznać.

Agent czasu miał smutne oczy. Opuszcza kraj, który kochał, a wkrótce straci prawdopodobnie także wszystko inne.

Nie było sensu zwlekać, skoro to i tak nadejdzie.

— Czy nasz związek nadal jest aktualny? — zapytał bez ogródek.

— Za kogo ty mnie, u diabła, masz, Rossie Murdocku? — wybuchnęła.

Wściekłością płonęły jej głos, twarz i całe ciało.

— W każdym razie nie za idiotkę — odparł spokojnie. — Tutaj było wspaniale, umieliśmy się w tym odnaleźć. W domu tak nie będzie. Zwyczajny Ross Murdock to nic szczególnego. Chcę ci właśnie jasno powiedzieć, że możesz się ode mnie uwolnić. Nie chcę próbować cię uwiązać...

— Zakochałam się w „zwyczajnym Rossie Murdocku” na długo przedtem, zanim powstał Ognista Ręka... A może jesteś jednym z tych, którzy uważają, że nie zrobili dobrego interesu na małżeństwie? Na Terrze nie przysporzę ci wielkiej chwały ani nie powiększę konta w banku.

— Nie!

Jego gniew wystarczył, żeby rozproszyc tę obawę. Eveleen zmrużyła oczy, a na usta wkradł się jej uśmiezek myśliwego.

— Mój drogi, daleko mi do tego, żeby cię opuścić. Tak daleko, że mam zamiar w domu powtórzyć ceremonię zaślubin według prawa Terry i to tak szybko, jak tylko się da.

— Co takiego?

Kobieta przez kilka sekund nic nie mówiła. Potem zlitowała się i roześmiała łagodnie.

— Nie będziesz musiał iść do ołtarza ubrany jak przedsiębiorca pogrzebowy — obiecała — ale ślub kościelny jest ważny. I chcę, żeby przy tym byli mój ojciec i brat... Ross?

Murdock wiedział, że musi się na to zgodzić. To dla niej znaczyło tak wiele. Do diabła, uległby, gdyby nawet zażądała pełnej gali.

— Co tylko zechcesz, poruczniku. Nie mam nic przeciwko temu, żeby publicznie pokazać, że złowiłem najpiękniejszą kobietę.

Murdock pocałował ją delikatnie i poszedł w stronę wierzchowców.  
— Lepiej już wracajmy. Jest jeszcze wiele do zrobienia, zanim wezwiemy transport.

Następne trzy miesiące pełne były zajęć, aż wreszcie Ross Murdock znów stanął na wąskim grzbiecie wzgórza. Serce miał ciężkie, czuł, jakby jego ciężar ciągnął go do samego jądra planety. Wkrótce przybędzie helikopter i wtedy na zawsze utraci tę piękną ziemię i wszystko, co się z nią wiąże.

Obok niego stał Gordon. Nic nie mówił, ale trzymał rękę na ramieniu przyjaciela.

— Cieszę się teraz, że wstawiłem się za Kararą — powiedział nagle Ross.

— Była szczęśliwa — Ashe spojrzał na niego. — Ja też, jak sadzę. I bardzo mi przykro, że z tobą jest inaczej, Ross, ale cenię naszą przyjaźń. Nie chcę jej stracić.

Murdock zmusił się do uśmiechu.

— Przyzwyczajanie się do nowego partnera musi być trudne.

— Cholernie trudne... Eveleen też będzie mi brak. W przyszłości będzie stanowić jeden z najistotniejszych elementów naszego zespołu.

Gordon zauważył jego ostre spojrzenie.

— Wątpię, żeby znów wysłali ją do szkoły. Jest za dobra. Murdock spojrzał w dół zbocza, gdzie czekała jego żona. Bała się rozstania z Lurocem i Loranem i swoim jeleniem.

Zamknął oczy. Ta rozłąka była równie bolesna, jak rana, która omal go nie zabiła...

Jedynie tonowi Krainy Szafiru powiedzieli o swoim nieuchronnym wyjeździe. Nalegał, że ich odprowadzi w kierunku wzgórza tak daleko, jak mu na to pozwolą. Wracając, zabrał ze sobą wierzchowce, które tak dobrze im służyły. Przyrzekł, że wszystkie trzy będą puszczane wolno do stada zarodowego i nigdy więcej człowiek nie powie im na wojnę ani nie będą używane do ciężkiej pracy. One też służyły Krainie Szafiru z niespotykaną odwagą. Domena nagrodzi je za to, skoro nie może oddać należnych honorów tym, którzy na nich jeździli.

Ross gwałtownie podniósł głowę. W spokojnej dominiońskiej atmosferze słychać było wyraźne dźwięki dochodzące z oddali.

Opanował go gwałtowny smutek. Obawiał się, że nad nim nie zapanuje. Zrozpaczony zwrócił się do archeologa.

— Kiedy dotrzemy do portalu, to będzie tylko szybki skok, jeden strzał i jesteśmy w naszym czasie, na pokładzie statku, a potem w domu, prawda? Nie będziemy musieli tutaj zostać?

— Nie chcesz wiedzieć, czy nam się powiodło? — zapytał zaskoczony Ashe.

— Powiedzą nam o tym. Ja chcę zapamiętać ten Dominion, a nie ucywilizowaną, zurbanizowaną nowoczesną planetę, gdzie nawet nie zachowała się pamięć o Lurocu i Allranie oraz wszystkich innych, jakby ich nigdy nie było.

Gordon popatrzył uważnie na Rossa.

— Tak — powiedział spokojnie. — Zgadzam się z tobą. Postaram się, żeby było tak, jak chcesz.

## 31.

Agenci czasu przeszli przez portal do epoki, w której się urodzili. Znaleźli się w jakimś budynku. Ross zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi, ale nagle stanął, jakby zatrzymała go jakaś przemożna siła.

— My... ja muszę tam pójść — powiedział. — Do Krainy Szafiru albo do tego, co kiedyś nią było.

Gordon popatrzył na niego ostro. — Mówiłeś...

— Wiem, ale jeśli jej nie zobaczę, to przez całe życie będę za nią tęsknił i wszędzie jej szukał — zawahał się. — Myślisz, że nam pozwolą?

— Słyszałeś, co mówił pilot. Udało nam się ocalić całą tę cholerną planetę. Wątpię, żeby miejscowi ważniacy nie wypełnili tak prostej prośby... przełaż przez drzwi, Ognista Ręko! Za parę minut się dowiemy, jak to wygląda.

Archeolog westchnął, kiedy Eveleen złapała go za ramię i powstrzymała go. Wyglądała tak, jakby chciała go zamordować.

— Gordon — syknęła.

— On ma rację, Eveleen. I tak to robi. Musi to zrobić, a jeśli będziemy go powstrzymywać, to uzna, że nie może na nas liczyć w potrzebie.

— Więc módlmy się oboje, Gordonie O Asheanie. Nie chcę widzieć, jak Ross popełnia harakiri.

— Ja też nie, poruczniku.

Murdock zaniknął oczy. Helikopter był pozbawiony okien i nie można było podziwiać krajobrazu.

Połączony port lotniczy i kosmiczny, z którego wystartowali, okazał się częścią zurbanizowanego obszaru, ale Murdock domyślał się, że na współczesnym Dominonie są zarówno miasta, jak i obszary nie tknięte techniką. Co znajdowało się na wyspie, o którą niegdyś toczył takie ciężkie boje? Nie miał odwagi postawić tego pytania.

Eveleen ścisnęła go za rękę, Ashe przysunął się bliżej z drugiej strony. Ich ramiona spotkały się w milczącej deklaracji wsparcia. Na chwilę jego obawy zmalowały. Starali się mu pomóc, jak tylko umieli. Reszta to czas i przeznaczenie.

A co, jeśli tego już nie ma, zastanawiał się zrozpaczony Murdock? Całego ładu wraz z jego politycznymi podziałami. Przełknął ślinę. Fakt, że Dominion z układu Panny przetrwał, był ich zwycięstwem. Jego rozum akceptował to, ale przecież nie cały Dominion podbił jego serce, tylko jedna, maleńka jego część. Taka, jaka była przed stuleciami...

Napiął mięśnie. W ruchu helikoptera dała się wyczuć zmiana. Zaczynali opadać.

Eveleen wyszła za Rossem przez wąskie drzwi. Maszyna przywiozła ich tam, gdzie chcieli, ale wylądowała nie na szczycie, tylko u podnóża wzniesienia, żeby uniknąć silnych podmuchów wiatru wiejącego nad grzbietem. Tyle przynajmniej zostało z warunków, jakie pamiętali z przeszłości.

Zaczęli się wspinać. Murdock szedł pierwszy, jego towarzysz o kilka kroków za nim. Sam stok, roślinność wokół nie wydawały się szczególnie obce. Instruktorka walki modliła się żarliwie, żeby krajobraz, który wkrótce zobaczą, był równie mało zmieniony. Nie będzie taki sam, tego nie można było oczekiwać, ale, Panie Czasu, spraw, żeby był podobny, żeby był żywy. Ten jej mężczyzna zawsze musi się gdzieś pchać, zawsze musi się czymś dręczyć. Gordon miał rację. On musi to zrobić, ale jeśli zastanie tylko oskałpowaną ziemię, to może w nim coś się załamać — tego Eveleen

się bała — duch, serce.

Weszli na szczyt. Ross Murdock zobaczył krajobraz, na który patrzył w cierpieniu zaledwie przed paroma godzinami, a zarazem nieomal wieczność temu.

Ostre westchnienie, prawie szloch, wyrwało mu się z piersi. Czas dokonał niewielkich zmian w pejzażu, który leżał u jego stóp, więcej zmienili ludzie, ale królestwo przyrody trwało tutaj nadal, niezmiennie, ocalałe w swej istocie.

Oczy zaszyły mu mgłą. Próbował je przetrzeć i jednocześnie ukryć ten gest.

Może to było tylko zaćmienie wzroku, ale na moment, na sekundę, a może dwie na współczesny krajobraz nałożył się inny. Lewa ręka Rossa wyciągnęła się ku niemu bezwiednie. Pokryte bliznami palce zagięły się, jakby chciał przyciągnąć ku sobie to, co zobaczył

— Ten kraj — wyszeptał — jest mój!

Podniósł głowę. Powiedział prawdę, potwierdził oczywistość To, co miał teraz przed swoimi oczami — i przed oczami swojej duszy, było jego na wieki.

## 32.

Ross obejrzał z satysfakcją półki pokrywające ściany. Razem z Eveleen zajęli mieszkanie z dwiema sypialniami. W tym pokoju miały być ich książki, te, które teraz mają, i te, które dojdą z czasem. Niektóre rzeczy, których dowiedział się dzięki swym na pozór przypadkowym lekturom, okazały się użyteczne na Dominionie. Wiedział, że ani on, ani jego żona nie zwolnią tempa tych nieoficjalnych badań nad interesującymi ich tematami.

Jakby w odpowiedzi na tę myśl otworzyły się drzwi i weszła Eveleen Riordan. Nadal nosiła kremowobiałą garsonkę i wyglądała oszałamiająco pięknie mimo ciężkiego dnia, jaki miała za sobą.

— Przypuszczałam, że cię tu znajdę — powiedziała. — Jutro zaczniemy wypełniać te regały. Mamy bardzo dużo roboty przez najbliższe dwa tygodnie. Killgariess był tak uprzejmy i dał nam wolne.

— Uprzejmy? Mamy prawo do urlopu.

— Cóż, tak naprawdę to nie mamy uprawnień do tak dużego mieszkania, możemy więc podziękować majorowi przynajmniej za to.

— Skoro panna młoda jest taka śliczna, to jakże mógłby odmówić nam porządnego prezentu ślubnego? — odparł Murdock.

Roześmiał się po cichu do siebie. Połowa mężczyzn w Projekcie pluła sobie teraz w brodę. Zdolności i wyniosłość Eveleen zaślepiły skutecznie ich spojrzenie na inne sprawy. Nawet on sam był ślepy. Dopiero teraz jego koledzy popatrzyli na nią inaczej, a cieszył się z ich zazdrosnych spojrzeń.

— Skoro mówimy o prezentach ślubnych — powiedziała — oto mój podarek dla ciebie.

Ross wziął od niej długie, wąskie, ładnie opakowane pudełko. Potrząsnął nim i zaczął rozwiązywać wstążkę.

— Musiałaś użyć tyle taśmy — zrzędził.

— Żeby było ładniej — odparła. — Pośpiesz się. Wiozłam to z sobą aż z Krainy Szafiru. Kazałam to zrobić specjalnie dla ciebie.

Nie zwlekał już i otworzył pudełko. Było w nim coś, co wyglądało jak skórzany pasek, cienki i elastyczny, a przy tym bardzo szeroki. Brakowało mu sprzączki. Patrzył na prezent zdezorientowany i aż zaczerpnął tchu, gdy zrozumiał, do czego ma służyć.

Kobieta gorliwie przytaknęła.

— Przykryje twój pas wysadzany klejnotami. Będiesz go mógł nosić i nikt się nie dowie. Nie możesz ciągle chować go pod ubraniem jak średniowieczny pas pokutny.

Spojrzała na niego zaniepokojona.

— Podoba ci się, Rossie? Zegarek byłby bardziej tradycyjny.. Roześmiał się i objął ją ramionami.

— Bardzo mi się podoba, poruczniku Riordan. Żałuję, że nie ma podobnej wyobraźni. — Nosiła już perły, które jej ofiarował.

— Jestem tradycjonalistką — odpowiedziała — przynajmniej w ni których sprawach.

Dzwonek u drzwi frontowych sprawił, że rozdzielili się.

— Otwarte! — krzyknął Murdock.

W kilka chwil później dołączył do nich Gordon Ashe. Spojrzał z zachwytem na półki.

— Długo nie pozostaną puste — skomentował.  
— Nie zostaną — zgodził się jego partner. Lekki nastrój go opuścił. — Co nowego, Gordonie?

Wiedzieli, rzecz jasna, że Dominion z układu Panny i jego mieszkańcy przetrwali. Powiedział im o tym nieprawdopodobny entuzjazm, z jakim powitali ich koledzy, ale Ashe nie zwlekał długo z przygotowaniem zespołu do następnej wyprawy, odkąd wrócili ze wzgórze. Było wiele spraw — niezauważalnych i wielkich, które mogły ulec zmianie, odkąd skierowali historię planety na inne tory. A jeśli wydarzyło się coś okropnego? Dominianie mogli nawet tego nie wiedzieć...

Szeroki uśmiech Ashe'a rozwiął jego obawy.

— Jedyne zmiany to zmiany na lepsze, przynajmniej dla Dominian. Zgrana z nich teraz paczka, przybyło im trochę, starego dobrego terrańskiego ducha, choć nie są tak wojowniczy, jak byli. Stali się też cholernie twardzi w negocjacjach handlowych. Wiele wysiłku trzeba z naszej strony, zanim wydobędziemy z nich to, czego chcemy.

— Nie mogę powiedzieć, że przykro mi o rym słuchać — odezwała się Eveleen. — Zawsze lepiej nam się wiodło z takimi, którzy potrafią nam stawić czoła niż z mięczakami.

W oczach Ashe pojawiły się isierki.

— Jest coś jeszcze, coś bardzo osobistego. Ross chętnie dał się złapać w te sidła.

— A co takiego?

— Pamiętają o nas, przyjaciele.

— Co? — zapytał z niedowierzaniem Ross. — To niemożliwe, Gordonie. Minęły tysiąclecia...

— Dominianie zawsze słynęli z wprost fanatycznego przywiązania do swojej historii. Nic się pod tym względem nie zmieniło, gdy planeta ożyła na nowo. Materiały historyczne zaczęli gromadzić w tak wczesnym okresie swoich dziejów, że nadal jesteśmy postaciami historycznymi, chociaż otacza nas aureola legendy... Ognista Ręka na przykład, chociaż jego czyny przekazano w sposób dość realistyczny, postrzegany jest jako połączenie Robin Hooda i świętego Michała Archanioła.

Ross aż jęknął, a Eveleen wybuchnęła śmiechem.

— A co ze mną? — zapytała.

— Ty jesteś Brunhildą, ale ze szczęśliwym zakończeniem. Eveleen zrobiła do niego minę.

— A co z tobą, uzdrowicielu O Asheanie?

— Zostałem Merlinem — oznajmił wielkopańskim tonem. — Tyle że zamiast czarodziejską różdżką wymachuję skalpelem i torbą z ziołami.

— Co z Lurocem? — zapytał cicho Ross.

— Król Artur, którego okrągły stół nigdy nie pękł... Zanthorowi I Yorocowi nie przyprawiono, co prawda, rogów, ogona i kopytek, ale i tak możecie się domyśleć, jak jest wspominany i za kogo uważany.

Archeolog usiadł na składanym krześle, jedynym meblu w pokoju poza pustymi regałami.

— Obawiam się, że czeka nas mały kłopot w związku z tą naszą nowo nabytą sławą.

Popatrzył na Rossa i Eveleen. Nagle spoważniał.

— To znaczy też, że teraz uznano nas za najlepszy zespół Projekt za jego kosmicznych mediatorów. Kiedy znów nas wyślą, będzie to o wielkiego i trudnego — jeśli oboje nadal macie ochotę na dalsze misji

Eveleen Riordan wzruszyła ramionami. Gest ten wyglądał bardzo dziwnie w połączeniu z uroczystym ślubnym strojem podkreślającym jej kobiecość.

— Nie mam ochoty wracać do szkółki w charakterze nauczycieli Mam niejakie



uzdolnienia i sądzę, że należałoby z nich skorzystać.

— Ross? — łagodnie zapytał Ashe. — Żadna z naszych poprzednich misji nie była łatwa, a te, które nas czekają, będą jeszcze gorsze. Jeśli chcesz odejść, nikt nie będzie miał ci tego za złe. Spłaciłeś swój dług z naddatkiem.

Murdock popatrzył w stronę pustych półek, ale jakby ich nie widział. Przerazenie, gdy biegł w dół rzeki, spalona ręka, nigdy nie kończący się strach, że na zawsze zostanie na wygnaniu, pułapka Hawaiki, świeże krwawiące ciągle rany wspomnień z Dominionu, z opuszczonej niedawno Krainy Szafiru... Tak, spłacił swój dług.

Inni zapłaciliby, gdyby on tego nie zrobił.

Odwrócił głowę.

— Wchodzę w to, Gordonie. Ja też mam niejaki uzdolnienia, a praca dla Projektu jest równie dobra, jak każda inna okazja, żeby z niej skorzystać.